

# Eugenia Grandet



HONORÉ BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

# Eugenia Grandet

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## OD TŁUMACZA

*Eugenia Grandet* powstała ściśle sto lat temu, w r. 1833: to tak dojrzałe, zrównoważone dzieło wyszło spod pióra trzydziestoczteroletniego młodego człowieka. Balzac wchodzi w tym momencie w pełnię swej twórczości. Wyzwała się z rozczochranego romantyzmu, którego tyle jest jeszcze w epizodach *Historii Trzynastu*, i z obcego jego duchowi *swedenborgizmu*, i z polityki dydaktycznej podanej trochę na surowo w *Lekarzu wiejskim*. Coraz bliższy jest odczytania w sobie swej prawdziwej myśli twórczej, która niebawem buchnie w nim świadomością olbrzymiego dzieła *Komedii ludzkiej*. Już przedtem wśród dość nierównych jego utworów znajdowały się drobne klejnoty, takie jak *Proboszcz z Tours* (1832), ale *Eugenia Grandet* rozpoczyna szereg wielkich jego arcydzieł.

Powstanie tej powieści schodzi się z najpełniejszym i najszcześniejszym okresem życia osobistego pisarza, z pierwszymi upojeniami wielkiej miłości. Pisze *Eugenię* w chwili, gdy po kilkunastomiesięcznej korespondencji, ma się spotkać pierwszy raz ze swoją nieznaną *Cudzoziemką*, Ewą Hańską. 9 sierpnia r. 1833 pisze jej do Nefchâtel:

„Pracuję obecnie nad *Eugenią Grandet*, która ukaże się w *Europe littéraire*, podczas gdy będę w podróży...”

Biuletyny o tej książce znajdujemy w dalszych listach:

„*Eugenia Grandet*, jeden z moich najbardziej skończonych utworów, jest w połowie. Jestem z niej bardzo rad. *Eugenia Grandet* niepodobna jest do żadnej z rzeczy, które stworzyłem dotąd. Począć *Eugenię Grandet* po *Ferragusie* — bez próżności, to jest dowód talentu”.

(9 października)

„*Eugenia Grandet* jest czarująca: dostaniesz ją niedługo w Genewie”.

(13 października)

„*Eugenia Grandet* to będzie duży tom. Zachowam dla ciebie rękopis. Są tam strony napisane w bólu. Należy do ciebie, jak ja cały”.

(12 listopada)

Są w tej *Eugenie* karty natchnione wprost stosunkiem do Ewy Hańskiej. I tak ładna scena, gdy Eugenia przynosi kuzynowi swój skarbczyk, jest reminiscencją tysiąca franków, z którymi ofiarowała się Ewa w czasie jednej z wielu katastrof Balzaka. „Aniele ukochany, bądź tysiąc razy błogosławiona za swoją kroplę rosy, za swoją ofiarę: jest dla mnie wszystkim i jest niczym. Sama widzisz, co to jest tysiąc franków, kiedy trzeba dziesięć tysięcy miesięcznie. Jeśli znajdę dziewięć tysięcy, znajdę i dwanaście. Ale byłbym

chciał, odczytując ten rozkoszny ustęp twego listu, móc zanurzyć rękę w morzu, dobyć z niego wszystkie perły i usiać nimi twoje piękne czarne włosy...”

I wreszcie, tuż przed wyjazdem do Genewy, gdzie kochankowie mieli się spotkać po raz drugi:

„Jakże ja parskam, jak biedny niecierpliwy koń! Pragnienie widzenia ciebie rodzi we mnie rzeczy, które zwykle nie przychodzą mi do głowy. Poprawiam szybciej. Dajesz mi nie tylko siłę znoszenia trudności życia, dajesz mi i talent, a przynajmniej łatwość. Trzeba kochać, Ewo moja ukochana, aby opisać miłość Eugenie Grandet, miłość czystą, olbrzymią, dumną! Och, droga, dobra, boska moja Ewo, co za ból nie móc ci powiedzieć co wieczór robiłem, mówiłem i myślałem...”

(1 grudnia 1833)

Może te płomienne inwokacje, świadczące, ile samego siebie kładł Balzac w swoje najbardziej obiektywne na pozór utwory, ocieplą trochę posępne domostwo starego skąpca z Saumur. Co do reszty, odsyłam czytelnika do przedmów, którymi opatrzyłem trzydzieści kilka dotychczas wydanych tomów *Komedii ludzkiej*.

Warszawa, w marcu 1933.

## EUGENIA GRANDET

Istnieją w niektórych miastach prowincjonalnych domy, których widok rodzi melancholię, podobną tej, jaką budzą najposępniejsze klasztory, najbardziej jednostajne stopy lub najsmutniejsze ruiny. Może jest w owych domostwach wraz i cisza klasztoru, i ugór stepu, i szkielety ruin. Życie i ruch są tam tak spokojne, że obcy mógłby sądzić, że domy te są wręcz niezamieszkałe, gdyby nie spotkał naraz bladego i zimnego spojrzenia nieruchomej istoty, której wół mnisza twarz wychyli się z okna na odgłos kroków nieznanego.

Te znamiona melancholii posiada fizjonomia pewnego domu w Saumur, na końcu stromej ulicy, która wiedzie przez miasto do zamku. Ulica ta, dziś mało uczęszczana, gorąca w lecie, zimna w zimie, miejscami ciemna, odznacza się dźwięcznością drobnego bruku, zawsze czystego i suchego, ciasnotą swej krętej kolei, ciszą domów, które należą do starego miasta i nad którymi wznoszą się wały.

Budowle te, liczące trzy wieki, są jeszcze mocne, mimo że zbudowane z drzewa; a rozmaitość ich kształtów przydaje oryginalności tej części Saumur w oczach antykwariuszy i artystów. Trudno, mijając je, nie podziwiać olbrzymich belek, których rogi rzeźbione są w dziwaczne postacie i wieńczą czarną płaskorzeźbą parter większości tych domostw. Poprzeczne bale pokryte są łupkiem i rysują się błękitną linią na wątych murach takiego domu, zakończonego dachem w kształt gołębnika, uginającym się od lat, o gontach przegniłych i wygiętych od słońca i deszczu. Deseczki w oknach są zużyte i szerniałe, z zaledwie widocznymi delikatnymi rzeźbieniami i wydają się zbyt lekkie na ciemne gliniane doniczki, z których strzelają goździki albo róże biednej robotnicy. Dalej widać drzwi opatrzone olbrzymimi gwoździami, w których duch naszych przodków zaklął domowe hieroglify, niepodobne<sup>1</sup> do odcyfrowania. Jakiś protestant wypisał tam swoje credo albo jakiś stronnik ligi przeklął Henryka IV. Może jakiś mieszczanin wyrzył tam swoje godności, chwałę swego zapomnianego urzędu. Jest tam cała historia Francji. Obok jakiegoś trzęsącego się domu, na którym rzemieślnik uczcił swój hebel, wznosi się pałac szlachcica, gdzie na łuku kamiennej bramy widać jeszcze ślad jego herbu, skruszonego rozmaitymi rewolucjami, które od 1789 wstrząsały krajem.

Na tej ulicy mieszkania parterowe kupców to nie są ani sklepy, ani magazyny; entuzjasta średniowiecza odnalazłby tam warsztat naszych ojców w całej jego naiwnej prostocie. Te niskie sale, które nie mają ani szyldu, ani gablotki, ani witrażu, są głębokie, ciemne, bez żadnej zewnętrznej lub wewnętrznej ozdoby. Drzwi są grubo okute; górna ich część

<sup>1</sup>niepodobny — tu: niemożliwy. [przypis edytorski]

otwiera się do wewnątrz, dolna zaś, uzbrojona dzwonkiem, jest w ustawicznym ruchu. Powietrze i światło dochodzą do tej wilgotnej nory albo górą drzwi, albo też przestrzenia między sklepieniem, podłogą i przymurkiem, gdzie umieszczone są mocne okiennice, zdejmowane rano, zakładane wieczór i opatrzone żelaznymi sztabami. Przymurek ten służy za wystawę towaru.

Tu nie ma żadnej szarlatanerii. Zależnie od rodzaju handlu, wystawa składa się z dwóch szaflików pełnych soli i sztokfisz, z paru paczek żaglowego płótna, lin, mosiądzu wiszącego u stropu, z obręczy wzdłuż muru lub kilku sztuk sukna na półkach.

Skoro wejdziesz, dziewczyna czyściutka, tryskająca młodością, w białej chusteczce, z czerwonymi rękami, porzuca swoją robótkę, woła ojca lub matkę, którzy przychodzą i obsługują cię wedle życzenia, flegmatycznie, uprzejmie lub opryskliwie, zależnie od swego charakteru, za dwa grosze lub za dwadzieścia tysięcy franków. Ujrzyś tam handlarza klepek, siedzącego przed bramą i młynkującego palcami wśród pogwarki z sąsiadem. Na pozór ma tylko pospolite deszczki i parę paczek łąt; ale warsztat jego obsługuje wszystkich bednarzy w całym Anjou<sup>2</sup>; wie co do jednej sztuki, ile może być potrzeba beczek, kiedy zbiór jest dobry; promień słońca bogaci go, słońce go rujnuje: w ciągu jednego rana beczki warte są jedenaście franków albo spadają do sześciu. W tych stronach, jak w Turenii, zmiany atmosferyczne regulują życie handlowe. Winiarze, właściciele ziemscy, handlarze drzewa, oberżyści, marynarze, wszyscy wypatrują promienia słońca; kładąc się wieczór spać, drżą, aby się nie dowiedzieli rano, że w nocy był przymrozek; boją się deszczu, wiatru, suszy, pragną wody, gorąca, chmur na zawołanie. Toczy się nieustanny pojedynek między niebem a ziemskimi interesami. Barometr zasmuca, rozchmurza, weseli na przemian fizjonomie. Z jednego końca tej starożytnej ulicy na drugi słowa: „Ależ mamy cudowny czas!” biegną od bramy do bramy. I każdy odpowiada: „Pada deszcz, ale luidorów!” wiedząc, ile mu ich przynosi promień słońca albo deszcz, gdy przyjdzie w porę.

W sobotę koło południa, kiedy jest ładnie, nie dostaniesz ani za grosz towaru u tych dzielnych kupców. Każdy spieszy do swej winnicy, do swojej zagrody i spędza dwa dni na wsi. Tam — skoro wszystko jest przewidziane: kupno, sprzedaż, zysk — kupcy mogą dziesięć godzin dziennie obrócić na wywczas, na obserwacje, plotki, szpiegowanie się wzajemne. Gospodyni nie kupi kuropatwy, aby sąsiedzi nie spytali męża, czy była dobrze upieczona. Młoda dziewczyna nie wystawi głowy oknem, aby jej nie widziały wszystkie próżnujące grupy. Sumienia są tam przejrzyste, tak samo jak nie mają tajemnic te niedostępne, czarne i milczące domy. Życie upływa przeważnie na powietrzu, każda rodzina siada przed bramą, tam śniada, tam jada, tam się kłóci. Nie przejdzie ulicą nikt, aby mu się nie przyjrano. Toteż niegdyś, kiedy obcy przybywał do miasta na prowincji, drwiono z niego od bramy do bramy. Stąd trefne powiastki, stąd przydomek kpiarzy dawany mieszkańcom Angers, mistrzom w obracaniu językiem.

Dawne pałace starego miasta zajmują górną część tej ulicy, niegdyś zamieszkałej przez okoliczną szlachtę.

Smutny dom, w którym spełniły się wypadki tego opowiadania, był właśnie jednym z takich mieszkań, czcigodnych zabytków epoki, gdy ludzi i rzeczy cechował ów charakter prostoty, którą francuskie obyczaje tracą z każdym dniem.

Idąc zakrętami tej malowniczej drogi, której każdy zaułek budzi wspomnienia i której ogólne wrażenie pogrąża w zadumie, spostrzegasz dość ciemne zagłębienie, w którym ukryta jest brama domu należącego do pana Grandet. Niepodobna ocenić dźwięku tych słów, o ile się nie zna życiorysu pana Grandet.

Pan Grandet zażywał w Saumur reputacji, której przyczyn i skutków nie rozumieją osoby obce obyczajom prowincji. Pan Grandet, jeszcze nazywany przez niektórych *ojciec Grandet* (ale liczba tych starców malała z każdym dniem), był w roku 1789 majstrem bednarskim bardzo dostatnym, umiejącym pisać, czytać i rachować. Gdy Republika wystawiła na sprzedaż w okręgu Saumur dobra kleru, bednarz, wówczas liczący czterdzieści lat, ożenił się właśnie z córką bogatego handlarza desek. Grandet, skupiwszy całą swą gotowiznę oraz posag żony — razem dwa tysiące ludwików — udał się do powiatu, gdzie przy pomocy dwustu ludwików, ofiarowanych przez jego teścia surowemu republikańnowi, nadzorującemu sprzedaż dóbr narodowych, nabył za grosze — legalnie, jeżeli

Interes, Własność,  
Mieszczanin, Rewolucja

<sup>2</sup>Anjou — Andegawenia; prowincja we Francji, której głównym miastem jest Angers. [przypis edytorski]

nie uczciwie — najpiękniejsze winnice w całym okręgu, stare opactwo i kilka folwarków. Mieszkańcy Saumur nie byli zbyt rewolucyjni; toteż Grandet uchodził za człowieka śmiałego, republikanina, patriotę, za umysł lgnący do nowych idei, podczas gdy bednarz lgnął po prostu do winnicy. Mianowano go członkiem zarządu powiatu Saumur, a pokojowy jego wpływ dał się odczuć politycznie i handlowo. Politycznie — popierał *byłą* szlachtę i całą swoją mocą przeszkodził sprzedaży dóbr emigrantów; handlowo — dostarczył armii republikańskiej tysiąc czy dwa tysiące beczek białego wina i kazał się spłacić wspaniałymi łąkami należącymi do klasztoru. Za konsulatu imię Grandet zostało merem; zarządzał miastem roztropnie, swą winnicą jeszcze lepiej; za cesarstwa, został *panem Grandet*. Napoleon nie lubił republikanów: zastąpił pana Grandet, który miał opinię eks-jakobina, wielkim właścicielem, szlachcicem, przyszłym baronem cesarstwa. Pan Grandet pożegnał się z honorami gminnymi bez żalu. Przeprowadził — w interesie miasta — znakomite drogi, które wiodły do jego posiadłości. Jego dom i jego dobra, bardzo korzystnie oszacowane, płaciły umiarkowany podatek. Od czasu sklasyfikowania poszczególnych folwarków winnice Grandeta, dzięki tej nieustannej czujności, stały się *czołem* okolicy: wyrażenie techniczne, na oznaczenie szczepów dających najlepsze wino. Mógłby się ubiegać o krzyż Legii Honorowej.

Działo się to w roku 1806. Pan Grandet miał wówczas pięćdziesiąt siedem lat, a żona jego około trzydziestu siedmiu. Jedyne ich córka, owoc małżeńskiej miłości, miała lat dziesięć. Pan Grandet, którego Opatrzność chciała z pewnością pocieszyć po urzędowej niełasce, odziedziczył kolejno w ciągu tego roku najpierw po pani Gaudinière, z domu La Bertellière, matce pani Grandet; następnie po starym panu La Bertellière, ojcu nieboszczki, i jeszcze po pani Gentillet, babce macierzystej, trzy spadki, których suma nie była znana nikomu. Skąpstwo tych trojga starców było tak wielkie, że od dawna gromadzili pieniądze po to, aby się im przyglądać potajemnie. Stary pan La Bertellière nazywał wszelką lokatę marnotrawstwem, znajdując większe oprocentowanie w widoku złota niż w lichwie.

Saumur oceniało więc sumę oszczędności wedle dochodu z ziemi. Pan Grandet zyskał wówczas nowy tytuł szlachectwa, którego nasza mania równości nie zatrze nigdy; stał się *najwyżej opodatkowanym* w powiecie. Uprawiał sto morgów winnicy, co mu dawało w urodzajnym roku siedemset do ośmiuset beczek wina. Miał trzynaście folwarków, stare opactwo, gdzie przez oszczędność zamurował okna, łuki, witraże, co je ocaliło od zniszczenia. Miał sto dwadzieścia siedem morgów łąk, gdzie rosło wżwyz i wszierz trzy tysiące topoli zasadzonych w roku 1793. Wreszcie dom, w którym mieszkał, należał do niego. Tak szacowano jego widzialny majątek.

Co się tyczy kapitałów, tylko dwie osoby mogły z grubsza ocenić ich wysokość: jedną był pan Cruchot, rejent trudniący się lichwiarskimi lokatami pana Grandet; drugą pan des Grassins, najbogatszy bankier w Saumur, w którego obrotach winiarz uczestniczył do woli i potajemnie. Mimo że stary Cruchot i des Grassins posiadali ową głęboką dyskrecję, która rodzi na prowincji zaufanie i majątek, okazywali publicznie panu Grandet tyle szacunku, że ludzie mający zmysł spostrzegawczy mogli ocenić wysokość kapitałów eks-mera wedle uniżoności, jakiej był przedmiotem. Nie było w Saumur człowieka, który nie byłby przekonany, że pan Grandet ma swój prywatny skarbczyk, schowek pełen luidorów, i że kosztuje nocą niewymownych rozkoszy, jakie daje widok masy złota. Skąpcy mieli niemal pewność tego, widząc oczy starca, którym — zdawałoby się — złoty metal udzielił swej barwy. Wzrok człowieka nawykłego wyciskać ze swoich kapitałów olbrzymi procent nabiera z czasem, jak wzrok rozpustnika, gracza lub dworaka, pewnych nieokreślonych nawyków, drgnień ukradkowych, chciwych, tajemniczych, które nie uchodzą baczności jego współwyznawców. To tajemny język, to jakby wolnomularstwo namiętności.

Pan Grandet budził więc uniżony szacunek, do jakiego miał prawo człowiek, który nie był winien nic nikomu nigdy; który jako stary bednarz i stary winiarz zgadywał ze ścisłością astronoma, kiedy trzeba było przygotować na swój zbiór tysiąc beczek, a kiedy tylko pięćset; który nie chybił ani jednej spekulacji, zawsze miał beczki na sprzedaż wtedy, kiedy beczka była warta więcej od spodziewanego zbioru, mógł schować swój zbiór do piwnicy i czekać chwili, aż odda beczkę po dwieście franków, podczas gdy drobni właściciele dawali swoje po sto. Jego słynny zbiór z roku 1811, przezornie zmagazynowany i sprzedawany powoli, przyniósł mu przeszło dwieście czterdzieści tysięcy franków.

Bogactwo, Plotka

Mówiąc językiem finansów, pan Grandet miał coś z tygrysa i z węża-dusiciela; umiał się położyć, zwinąć, przyglądać długo swej ofercie, skoczyć na nią; następnie otwierał paszczę swej sakiewki, wchłaniał porcję talarów i kładł się spokojnie jak wąż, który trawi — nieruchomy, zimny, metodyczny. Kiedy przechodził, nikt nie spojrział na niego bez uczucia podziwu, połączonego z szacunkiem i strachem. Czyż każdy mieszkaniec Saumur nie uczył pazura jego stalowych szponów? Temu rejent Cruchot dostarczył pieniędzy na kupno ziemi, ale na jedenaście od sta<sup>3</sup>; innemu pan des Grassins przyjął weksle, ale ze strasliwym dyskontem. Mało było dni, w których nazwiska pana Grandet nie wymieniono by czy to na rynku, czy też wieczorem wśród rozmowy. Dla paru osób majątek starego winiarza był przedmiotem patriotycznej dumy. Toteż niejeden kupiec, niejeden oberżysta, mówili do obcych z niejakim zadowoleniem: „Proszę pana, mamy tutaj paru milionerów; ale, co się tyczy pana Grandet, on sam nie zna cyfry swego majątku”.

W roku 1816 najwytrawniejsi rachmistrze w Saumur oceniali posiadłości ziemskie starego na blisko cztery miliony; ale ponieważ przeciętnie od 1793 aż do 1817 musiał z nich wyciskać rocznie po sto tysięcy franków, przypuszczalnie więc posiadał w gotowiznie sumę prawie równą wartości ziemi. Toteż kiedy po partyjce bostona lub po jakiejś pogwarce o winnicach rozmowa zesłała na pana Grandet, ludzie świadomi powiadali: „Stary Grandet?... Stary Grandet musi mieć pięć do sześciu milionów”. „Jesteś pan mądrzejszy ode mnie, bo ja nigdy nie mogłem się doliczyć cyfry” — odpowiadał na to Cruchot albo des Grassins, posłyszawszy te słowa. Kiedy jaki paryżanin mówił o Rotszyldach albo o panu Lafitte, mieszkańcy Saumur pytali, czy są tak bogaci jak Grandet. Jeżeli paryżanin rzucił z lekceważącym uśmiechem odpowiedź twierdzącą, spoglądali po sobie, potrząsając z niedowierzaniem głową.

Tak znaczny majątek okrywał złotym płaszczem wszystkie czynności tego człowieka. Jeżeli zrazu pewne właściwości jego życia wystawiały go na śmieszność i drwiny, z czasem śmieszności i drwiny zużyły się. W najmniejszych swoich postępkach pan Grandet miał za sobą niezachwiany autorytet. Jego słowa, ubranie, gesty, zmrużenie oka były prawem dla okolicy, gdzie każdy, wystudiowawszy go tak jak przyrodnik studiuje działanie instynktu w zwierząt, mógł poznać głęboką i niemą mądrość jego najłżejszego ruchu.

— Zima będzie ostra — powiadano. — Stary Grandet włożył futrzane rękawiczki, trzeba zbierać. Stary Grandet kupuje dużo klepek: będzie wino tego roku.

Pan Grandet nie kupował nigdy mięsa ani chleba. Dzierżawcy jego przynosili mu co tydzień zapas kapłonów, kur, jaj, masła i zboża. Miał młyn, którego lokator musiał, jako dodatek do czynszu, wziąć od niego pewną ilość zboża, a oddać mu otręby i mąkę. *Wielka Nanon*, jego jedyna służąca, mimo że już niemłoda, piekła sama w sobotę chleb dla domu. Pan Grandet ułożył się ze straganiarzami, swymi lokatorami, którzy mu dostarczali jarzyn. Co do owoców, zbierał ich tyle, że znaczną część kazał sprzedawać na targu. Drzewo na opał wycinał u siebie albo też brał ze starych na wpół zgniłych zarośli, które zbierał na skraju swoich pól; dzierżawcy zwozili mu je do miasta, składali przez uprzejmość do drewnutni i zadowalali się podziękowaniem. Jedyne jego znane wydatki to był święcony opłatek, ubranie żony i córki oraz opłata za ich miejsca w kościele; światło, zasługi *Wielkiej Nanon*, bielenie rondli, podatki, naprawa budynków i koszty uprawy. Miał sześć morgów świeżo nabytego lasu, którego straż poruczył gajowemu sąsiada, przyrzekłszy mu wynagrodzenie. Dopiero od czasu tego nabytku jadał dziczyznę.

Obejście tego człowieka było bardzo proste. Mówił mało. Na ogół wyrażał swoje myśli za pomocą krótkich zdań, wypowiedzianych łagodnie. Od czasu Rewolucji — epoki, w której ściągnął na siebie uwagę — pocziwiec jękał się w nużący sposób, skoro tylko miał dłużej mówić lub podtrzymać jakąś dyskusję. To jękanie się, mętność wysłowienia, obfitość słów, w których topił swoją myśl, jego pozorny brak logiki, przypisywany brakowi wykształcenia, były udane i znajdują dostateczne wytłumaczenie w toku tej opowieści. Poza tym cztery zdania, ścisłe niby formuły algebraiczne, służyły mu zazwyczaj do objęcia i rozwiązania wszystkich życiowych i handlowych trudności. „Nie wiem, nie mogę, nie chcę, zobaczymy”. Nie powiadał nigdy ani *tak* ani *nie* i nie pisał. Kiedy ktoś do niego mówił, słuchał spokojnie, trzymając podbródek w prawej ręce i wyrabiał sobie w każdej rzeczy zdanie, od którego już nie odstępował. Długo rozważał najmniejszą transakcję.

<sup>3</sup>na jedenaście od sta (daw.) — określenie procentu kredytu a. zysku. [przypis edytorski]

Kiedy po fachowej rozmowie przeciwnik wydał mu sekret swoich planów, myśląc, że go ma w ręku, odpowiadał: „Nie mogę nic postanowić, nie poradziwszy się żony”. Żona, którą doprowadził do kompletnego helotyzmu, była w interesach jego najwygodniejszym parawanem.

Nigdy nie bywał u nikogo; ani nie przyjmował zaproszeń, ani nie zapraszał na obiad; nie robił nigdy hałasu, zdawało się, że oszczędza wszystko, nawet ruch. Nie niszczył nic u innych przez szacunek dla własności. Jednakże mimo łagodności jego głosu, mimo jego umiarkowanego obejścia mowa i obyczaje bednarza zdradzały dobitnie jego charakter, zwłaszcza w domu, gdzie się mniej krępował. Pod względem fizycznym Grandet liczył pięć stóp wzrostu, krępy, barczysty, z łydkami mającymi dwanaście cali obwodu; przeguby grube, szerokie ramiona, twarz okrągła i smagła, ospowata, podbródek gładki, wargi proste, zęby białe. Oczy miały ów spokojny i drapieźny wyraz, jaki lud przypisuje bazyliżkowi; czoło, zmarszczone poprzecznie, posiadało charakterystyczne guzy; żółtawe i siwiejące włosy połyskiwały srebrem i złotem, jak powiadali młodzi ludzie, którzy jeszcze nie znali doniosłości żartu z pana Grandet. Nos, gruby ma końcu, dźwigał żylastą narośl, o której nie bez racji powiadano, że w niej siedzi chytróść starego. Fizys ta zdradzała niebezpieczny spryt, chłodną uczciwość, egoizm człowieka nawykłego skupiać swoje uczucia w rozkoszach skąpstwa oraz w jedynej istocie, która była dla niego czymś: w córce Eugenii, wyłącznej jego spadkobierczyni. Zachowanie, wzięcie, chód, wszystko świadczyło w nim zresztą o owej wierze w siebie, którą daje nawyk ciągłego sukcesu. Toteż, mimo iż na pozór łatwy i miękki, pan Grandet miał charakter ze stali.

Zawsze ubrany był jednak. Kto go widział dziś, widział go takim, jakim był od roku 1791. Grube trzewiki zawiązane na skórzane sznurowadła, szorstkie wełniane pończochy, krótkie spodnie z grubego brunatnego sukna ze srebrnymi sprzączkami, aksamitna kamizelka w żółte i białe prążki, zapięta na dwa rzędy guzików, obszerny, brązowy surdut z wielkimi połami, czarny krawat i kwakerski kapelusz. Rękawiczki, iście żandarmskie, trwały do dwóch lat; aby ich nie brukać, składał je na rondzie kapelusza metodycznym gestem. Poza tym, Saumur nie wiedziało nic więcej o tej osobistości.

Jedynie sześciu mieszkańców miało wstęp do tego domu. Najznaczniejszym z trzech pierwszych był bratanek pana Cruchot. Od czasu swojej nominacji na prezydenta trybunału pierwszej instancji w Saumur, młody ten człowiek przydał do zwykłego Cruchot szlachetniejsze de Bonfons i silił się dać drugiemu nazwisku pierwszeństwo. Podpisywał się już C. de Bonfons. *Strona* na tyle niezręczna, aby go nazwać panem Cruchot, spostrzegła się rychło na audyencji o swej niezręczności. Sędzia popierał tych, którzy go nazywali panem prezydentem, ale najwdzięczniejszym ze swoich uśmiechów nagradzał pochlebców, którzy go tytułowali panem de Bonfons. Pan prezydent liczył sobie trzydzieści trzy lata, posiadał dobra de Bonfons (*Boni Fontis*), dające siedem tysięcy rocznie, czekał na spadek po stryju rejencie i po stryju księdzu Cruchot, kanoniku kapituły św. Marcina w Tours, których obu uważano za ludzi dość bogatych. Ci trzej Cruchot, wspierani znaczną ilością krewniaków, spokrewnieni z dwudziestoma rodzinami w mieście, tworzyli stronnictwo, jak niegdyś Medyceusze we Florencji; i jak Medyceusze, Cruchotowie mieli swoich Pazzi.

Pani des Grassins, matka syna dwudziestotrzyletniego, przychodziła bardzo pilnie na partyjkę do pani Grandet, spodziewając się ożenić swego kochanego Adolfa z panną Eugenią. Pan des Grassins, bankier, popierał energicznie zabiegi żony, oddając tajemne usługi staremu skąpcowi i zawsze przybywając w porę na pole bitwy. Ci trzej des Grassins mieli również swoich stronników, swoich krewniaków, swoich wiernych aliantów.

Ze strony Cruchotów ksiądz, Talleyrand tej rodziny, skutecznie wspierany przez brata swego rejenta, walczył o każdą piędź ziemi z bankierową i silił się zapewnić bogaty mariaż swemu bratankowi. Ta podziemna walka między Cruchotami a des Grassins, której ceną była ręka Eugenii, namiętnie zajmowała rozmaite koła miasta Saumur. Czy panna Grandet wyjdzie za pana prezydenta, czy za pana Adolfa des Grassins? Na to pytanie jedni odpowiadali, że pan Grandet nie da córki ani jednemu, ani drugiemu. Eks-bednarz, żarty ambicją, szuka — powiadano — za zięcia jakiegoś para Francji, któremu trzysta tysięcy franków renty pozwoli przelknąć wszystkie przeszłe, obecne i przyszłe becзки Grandetów. Inni odpowiadali, że państwo des Grassins są szlachtą, że są bardzo bogaci, że pan Adolf jest ładny chłopiec, i że, o ile się nie ma na widoku jakiego siostrzeńca samego papieża,

związek tak poczesny winien zadowolić ludzi wyrosłych z niczego, człowieka, którego całe Saumur widziało z heblem w ręku i który w dodatku nosił czerwoną jakobińską czapkę. Najrozsądniejsi robili uwagę, że pan Cruchot de Bonfons ma wstęp do domu o każdej porze, gdy jego rywal bywa tam tylko w niedziele. Jedni twierdzili, że pani des Grassins, jako bardziej zażyła z paniami Grandet niż Cruchotowie, może im zaszczyć pewne poglądy, które prędzej czy później wydadzą owoce. Na co drudzy odpowiadali, że ksiądz Cruchot jest człowiek niezmiernie zręczny i że — z jednej strony kobieta, z drugiej ksiądz — partia jest równa. Mają po partii, powiadał dowcipniś z Saumur. Natomiast starzy i wytrawni saumurczycy twierdzili, że Grandetowie są zbyt szczywni, aby wypuścić majątek z rodziny, i że panna Grandet z Saumur wyjdzie za syna pana Grandet z Paryża, bogatego grosisty win. Na co cruchotyści i grassyniści odpowiadali: „Po pierwsze, bracia nie widzieli się ani dwóch razy w ciągu trzydziestu lat. Po wtóre, pan Grandet z Paryża ma wielkie pretensje dla swego syna. Jest merem okręgu, posłem, pułkownikiem Gwardii Narodowej, sędzią trybunału handlowego, nie chce znać Grandetów z Saumur i ma nadzieję skojarzyć się z jakimiś napoleońskimi książętami.

Czegóż nie opowiadano o młodej herytierze<sup>4</sup>, o której mówiono na dwadzieścia mil wokoło, nawet w dylizansach publicznych między Angers a Blois?

Z początkiem roku 1818, cruchotyści odnieśli widoczną przewagę nad grassynistami. Młody margrabia de Froidfond, zmuszony realizować swoje kapitały, wystawił na sprzedaż majątek Froidfond, słynny ze swego parku, wraz ze wspaniałym zamkiem, folwarkami, rzekami, stawami, lasami, wartości trzech milionów. Rejent Cruchot, prezydent Cruchot, ksiądz Cruchot, wspierani przez swoich popleczników, umieli zapobiec parcelacji. Rejent dobił z młodym człowiekiem cudownego targu, wmawiając weń, że będzie miał masę spraw sądowych z nabywcami, zanim zrealizuje cenę parcel; lepiej sprzedać całość panu Grandet, człowiekowi odpowiedzialnemu, mogącemu zresztą wypłacić się w gotowiźnie. Piękne margrabstwo de Froidfond skierowało się do przelyku pana Grandet, który, ku wielkiemu zdumieniu Saumur, wyłożył sam całą sumę, po potrąceniu dyskonta i załatwieniu formalności. Interes ten miał rozgłos aż do Nantes i Orleanu. Pan Grandet odwiedzał swój zamek, przesiadłszy się na wózek, który tam wracał. Rzuciwszy na swą posiadłość okiem właściciela, wrócił do Saumur pewien, że ulokował swoje kapitały na pięć procent i przejęty wspaniałą myślą zaokrąglenia margrabstwa Froidfond przez połączenie z nim wszystkich swoich posiadłości. Potem, aby na nowo napełnić swój skarbiec, niemal próżny, postanowił wyciąć w pień swoje lasy i spieniężyć topole na łąkach.

Łatwo teraz zrozumieć pełne znaczenie tego słowa: *dom pana Grandet*; ten dom szary, zimny, milczący, położony w górze miasta i zasłonięty ruinami okopów. Dwa filary i sklepienie tworzące oścież bramy, były, jak i dom, z tufu, białego kamienia właściwego brzegom Loary, a tak miękkiego, że przeciętne jego trwanie nie przekracza dwustu lat. Nierówne i liczne dziury, które działanie klimatu wyżłobiło dziwacznie, dawały łukowi i murom bramy wygląd ślimakowatych kamieni architektury francuskiej i niejaki podobieństwo z przedsiönkiem więziennym. Nad łukiem znajdowała się długa płaskorzeźba z twardego kamienia, przedstawiająca cztery pory roku, postacie zżarte już i szerniałe. Nad tą płaskorzeźbą wystawała plinta, na której bujała przygodna roślinność; żółte pomurniki, powoje, babka i mała wiśnia, już dosyć wysoka. Masywna dębowa brama, brunatna, wyschła, popękana, wątpła na pozór, była wzmocniona systemem spójń, tworzących symetryczne desenie. Kwadratowe okienko, zakratowane, małe, ale z prętami gęstymi i czerwonymi od rdzy, zajmowało środek drzwi i służyło, aby tak rzec, za punkt oparcia dla młotka, który był do niego przywiązany łańcuszkiem i którym uderzało się w wyszczerzoną główkę dużego gwoźdźca. Ten podługowaty młotek podobny był do wielkiego wykrzyknika: badając go uważnie, antykwariusz odnalazłby niejaki ślady pociesznej twarzy, którą przedstawiał niegdyś, a którą zatarło długie użycie. Przez to okienko, przeznaczone do rozpoznawania swoich w czasie wojen domowych, ciekawi mogli spojrzeć w głębi ciemnej i zielonkawej sieni, kilka zużytych stopni, którymi wchodziło się do ogrodu okolonego malowniczo murem grubym, wilgotnym, pełnym szczelin i mizerynych pędów. Mur ten należał do okopów, na których wznosiły się ogrody paru sąsiednich domostw.

<sup>4</sup>*herytier*a (daw.) — posażna panna, dziedziczka znacznego majątku. [przypis edytorski]



Na parterze najznaczącą ubikacją<sup>5</sup> była sala, do której wejście prowadziło wprost z bramy. Mało kto zna rolę *sali* w miasteczkach prowincji. Jest to zarazem przedpokój, salon, gabinet, buduar i jadalnia; sala jest teatrem życia domowego, wspólnym ogniskiem. Tam balwierz z sąsiedztwa przychodził dwa razy na rok ostrzyć włosy panu Grandet; tam wchodzili dzierżawcy, proboszcz, podprefekt, młynarczyk. Pokój ten, którego dwa okna wychodziły na ulicę, miał podłogę z tarcic; szare ściany ze staroświeckimi gzymsami całe były wyłożone drzewem; sufit tworzyły bale, również malowane szaro, odstępy zaś między nimi wypchane były poźółkłymi pakułami. Stary mosiężny zegar, inkrustowany szylkretem, zdobił kominek z białego, grubo rzeźbionego kamienia, nad którym znajdowało się zielonkawe lustro, którego szlifowane brzegi odbijały smugę światła wzdłuż gotyckiej stalowej ramy. Dwa miedziane, złożone żyrandole zdobiące rogi kominka miały podwójne zastosowanie: kiedy się zdjęło róże, które służyły im za profitki i których lodyga wyrastała z błękitnego marmurowego postumentu zdobnego starą miedzią, piedestał ten tworzył lichtarz na co dzień. Dywanowe obicie starożytnych foteli przedstawiało bajki La Fontaine'a, ale trzeba było wiedzieć o tym, aby odgadnąć treść, tak kolory były wyblakłe, a twarze podziurawione naprawkami. W czterech rogach sali znajdowały się kredensy uwienieczone brudnymi półeczkami. Stary stół do gry, którego wierzch tworzył szachownicę, stał między oknami. Nad tym stołem znajdował się barometr z czarną obwódką i listewkami ze złożonego drzewa, na którym muchy igrały tak swobodnie, że złożenie stało się mitem. Na wprost kominka dwa pastelowe portrety miały przedstawiać dziadka pani Grandet, starego pana La Bertellière, jako porucznika gwardii francuskiej oraz nieboszczkę panią Gentillet jako pasterkę. Okna były zdobne czerwonymi firankami, podpiętymi jedwabnym sznurem. Zbyt uczona ta dekoracja, tak mało harmonizująca z obyczajem Grandetów, nabyta była wraz z domem, tak samo jak tremo, zegar, wyściełane meble i kredensy.

We framudze okna bliżej drzwi stało trzciniowe krzesło, którego nogi wspierały się na podstawkach, aby podnieść panią Grandet na wysokość, z której mogła obserwować przechodniów. Wypelzły<sup>6</sup> wiśniowy stolik do roboty wypełniał framugę, a krzeselko Eugenii było tuż obok.

Od piętnastu lat wszystkie dni matki i córki upływały spokojnie w tym miejscu w ustawicznej pracy, od kwietnia do listopada. Pierwszego listopada mogły się przenieść na leże zimowe do kominka. W ten dzień dopiero Grandet pozwalał, aby zapalono ogień, który kazał gasić trzydziestego pierwszego marca, nie zważając na pierwsze chłody wiosny ani jesieni. Ogrzewaczka napełniona żarem przynoszonym z kuchni, który przemyciała im sprytnie Nanon, pomagała paniom Grandet przetrwać najchłodniejsze ranki i wieczory w kwietniu i październiku. Obie panie miały staranie o całą bieliznę domową i wypełniały tak skrętnie swoje dni tą pracą, że kiedy Eugenia chciała wyhaftować kołnierzyk dla matki, musiała odkradać czas z godzin snu, oszukując ojca, aby zdobyć światło. Od dawna skąpiec wydzielał świece łożowe córce i Nanon, tak jak wydzielał co rano chleb i prowiant potrzebny na codzienne potrzeby.

Wielka Nanon była może jedyną istotą ludzką zdolną pogodzić się z despotyzmem swego pana. Całe miasto zazdrościło jej państwu Grandet. *Wielka Nanon*, tak nazwana z powodu swego grenadierskiego wzrostu, służyła u Grandeta od trzydziestu pięciu lat. Mimo że brała tylko sześćdziesiąt funtów za usługę, uchodziła za jedną z najbogatszych służących w Saumur. Te sześćdziesiąt funtów składane od trzydziestu pięciu lat pozwoliły jej świeżo umieścić cztery tysiące funtów na dożywocie u reagenta Cruchot. Ten owoc długiej i wytrwałej oszczędności Nanon zdawał się olbrzymi. Każda służąca, widząc, że biedna sześćdziesięcioletnia kobieta ma chleb na starość, zazdrościła jej, nie myśląc o ciężkiej niewoli, w jakiej go zdobyła. Mając dwadzieścia dwa lata, biedna dziewczyna nie mogła znaleźć miejsca, tak fizjognomia jej zdawała się odrażająca. Wrażenie to było z pewnością niesprawiedliwe; fizys jej spotkałaby się z pewnością z pełnym uznaniem na ramionach grenadiera gwardii; ale we wszystkim trzeba, jak powiadają, proporcji. Zmuszona opuścić spalony folwark, gdzie pasła krowy, przybyła do Saumur, aby szukać służby, ożywiona owym zapalem, który nie lęka się niczego.

<sup>5</sup>ubikacja (z łac. *ubicato*: usytuowany, umiejscowiony) — tu: miejsce. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>wypelzły — wypłowiwały, wytarty. [przypis edytorski]

Stary Grandet zamierzał wówczas się żenić i zakładał gospodarstwo. Ta wzgardzona dziewczyna zwróciła jego uwagę. Znając się jako bednarz na sile fizycznej, wyczuł korzyści, jakie będzie mógł wyciągnąć z żeńskiej istoty o herkulesowej budowie, wspartej na nogach niby sześćdziesięcioletni dąb na korzeniach, silnej w sobie, barczystej, z rękami drwala i z uczciwością równie krzepką jak jej cnota. Ani brodawki strojące tę marsową fizys, ani ceglasta cera, ani żylaste ramiona, ani łachmany Nanon nie przestraszyły bednarza, będącego jeszcze w wieku, w którym serce dostępne jest wzruszeniu. Odział ją, obuł, odkarmił, dał jej pensję i zatrudnił ją, nie znęcając się nad nią zbyt. Znalazszy takie przyjęcie, Nanon płakała potajemnie z radości i przywiązała się szczerze do bednarza, który zresztą wyzyskiwał ją istic feudalnie. Nanon robiła wszystko: gotowała, piekła chleb, prała bieliznę w rzece, odnosiła ją na plecach, wstawiała o świcie, kładła się późno, dawała jeść robotnikom w porze winobrania, dozorowała ich; bronila jak wierny pies dobra swego pana; wreszcie, żywiąc doń ślepe zaufanie, poddawała się bez szemrania jego najdzikszym kaprysom. W sławnym roku 1811, kiedy winobranie było niezmiernie pracowite, Grandet zdecydował się po dwudziestu latach służby dać Nanon swój stary zegarek; jedyny prezent, jaki kiedy otrzymała od niego.

Mimo że jej dawał swoje stare buty (dobre były na nią!) niepodobna uważać kwartalnej darowizny butów Grandeta za prezent: zanadto były zużyte. Potrzeba uczyniła tę biedną dziewczynę tak skąpą, że w końcu Grandet polubił ją niby psa, a Nanon pozwoliła sobie włożyć na szyję obrożę opatrzoną kolcami, które jej już nie kłuły. Mimo iż Grandet krajał chleb zbyt oszczędnie, nie skarżyła się na to; wesoło uczestniczyła w higienicznych korzyściach, jakie dawał surowy obyczaj domu, gdzie nikt nigdy nie chorował. Przy tym Nanon należała do rodziny: śmiała się, kiedy się śmiał Grandet, smuciła się, marzła, grzała się, pracowała z nim razem. Ileż słodkich pociech mieści się w tej równości! Nigdy pan nie odmawiał służącej winnego grona ani śliwek lub brzoskwiń znalezionych pod drzewem. Podjedz sobie, Nanon, powiadał w latach, w których gałęzie uginały się pod owocami, tak że dzierżawcy musieli nimi karmić świnie.

Dla wiejskiej dziewczyny, która za młodu zaznała tylko złego traktowania, dla biedoty przygarniętej przez litość dwuznaczny śmiech starego Grandet był prawdziwym promieniem słońca.

Zresztą proste serce i ciasna głowa Nanon zdolne były pomieścić tylko jedno uczucie i jedną myśl. Od trzydziestu pięciu lat wciąż widziała samą siebie zjawiającą się pod warsztatem ojca Grandet boso, w łachmanach i wciąż słyszała bednarza, jak jej mówi:

— Czego chcesz, serdeńko?

I wdzięczność jej była ciągle młoda.

Niekiedy Grandet, myśląc o tym, że biedna istota nigdy nie usłyszała najmniejszego pochlebnego słówka, że nie zna żadnego ze słodkich uczuć, jakie budzi kobieta i że będzie mogła stanąć kiedyś przed obliczem Boga czysta jak sama Najświętsza Panienska, Grandet, zdjęty litością, powiadał, patrząc na nią:

— Pocziwa ta biedna Nanon!

Wykrzyknikowi jego zawsze towarzyszyło nieopisane spojrzenie, jakim mu odpowiadała stara służąca. Słowa te, powtarzane od czasu do czasu, tworzyły od dawna łańcuch nieprzerwanej przyjaźni, której każdy taki wykrzyknik przydawał jedno ogniwo. Ta litość, kryjąca się w sercu Grandeta i brana za dobrą monetę przez leciwą dziewczynę, miała w sobie coś okropnego. Ta okrutna litość skąpca, która rodziła tysiąc rozkoszy w sercu starego bednarza, była dla Nanon jej porcją szczęścia. Któż nie powtórzy: „Biedna Nanon!”. Bóg pozna swoich aniołów po drgnieniach głosu i po ich tajemnych żalach.

Było w Saumur wiele domów, gdzie służące lepiej traktowano, a gdzie mimo to państwo nie mieli żadnej satysfakcji. Toteż pytano powszechnie:

— Co oni robią, ci Grandet, że Nanon taka jest do nich przywiązana? Poszłaby za nich w ogień!

Kuchnia jej, której zakratowane okna wychodziły na podwórze, była zawsze czysta, zmieciona, zimna, prawdziwa kuchnia skąpca, gdzie nic się nie marnowało. Kiedy Nanon pomyślała talerze i statki, kiedy schowała resztki obiadu, zgasiła ogień, wówczas opuszczała kuchnię, oddzielną sienią od jadalni, i szła do mieszkania prząść przy państwu. Jedna lojówka starczyła na wieczór dla całej rodziny.

Służąca sypiała w głębi sieni, w ciupce oświetlonej małym okienkiem. Tęgie zdrowie pozwalało jej bezkarnie mieszkać w tej norze, skąd mogła słyszeć najłżejszy hałas, dzięki ciszy panującej w dzień i w nocy. Jak brytan pilnujący domu musiała spać tylko na jedno ucho i odpoczywać, czuwając.

Opis innych części mieszkania wiąże się z wydarzeniami tej opowieści; zresztą, opis tej sali, w której odbijał się cały przepych domu, może dać zawczasu obraz nędzy wyższych pięter.

W roku 1819, w połowie listopada, z zapadnięciem wieczoru, Wielka Nanon zapaliła pierwszy raz ogień. Jesień była bardzo piękna. Ów dzień był to dzień uroczysty, dobrze znany cruchotystom i grassynistom. Toteż sześcioro przeciwników gotowało się wyruszyć w pełnym rynsztunku, aby się spotkać w sali i prześcigać się na dowody przyjaźni. Rano całe Saumur widziało panią i pannę Grandet w towarzystwie Nanon, jak udawały się do parafialnego kościoła na mszę; każdy przypominał sobie, że to jest dzień urodzin panny Eugenii. Toteż obliczając porę, o której obiad się kończył, rejent Cruchot, ksiądz Cruchot i pan C. de Bonfons wyprzedzili państwa des Grassins z powinszowaniami. Wszyscy trzej przynieśli olbrzymie bukiety, zerwane w swoich małych cieplarniach. Nasada bukietu, który miał wręczyć prezydent, była pięknie zawinięta w białą atlasową wstążkę ze złotymi frędzlami.

Rano pan Grandet — wedle zwyczaju obowiązującego w pamiętne dni imienin i urodzin Eugenii — zachodził do niej, gdy była jeszcze w łóżku i wręczał jej uroczyste swój ojcowski upominek, składający się, od trzynastu lat, z rzadkiej sztuki złota. Pani Grandet dawała córce suknię letnią lub zimową, wedle okoliczności. Te dwie suknie oraz sztuki złota, które dostawała na Nowy Rok i w dzień imienin ojca, stanowiły dochodzik sięgający jakichś stu talarów, na którego wzrost Grandet patrzył z przyjemnością. Czyż to nie znaczyło przelewać swoje pieniądze z jednej kieszeni do drugiej i zaprawiać niejako do skąpstwa swoją spadkobierczynię, której kazał czasem zdawać sobie sprawę z jej skarbu, niegdyś pomnażanego przez państwa La Bertellière, powiadając:

— To będzie twój tuzin ślubny.

*Tuzin* jest to starożytny obyczaj, jeszcze przechowywany święcie w niektórych okolicach w centrum Francji. W Berry, w Anjou, kiedy młoda dziewczyna wychodzi za mąż, rodzina jej lub rodzina męża daje jej sakiewkę, w której znajduje się, zależnie od zamożności, dwanaście sztuk albo dwanaście tuzinów sztuk lub też dwanaście setek sztuk srebra albo złota. Najbiedniejsza pastuszka nie wyszłaby za mąż bez swego tuzina, choćby się miał składać z groszaków. Dziś jeszcze mówią w Issoudun o jakimś tuzinie ofiarowanym bogatej dziedzicze, zawierającym sto czterdzieści cztery złote portugaly. Papież Klemens VII, wuj Katarzyny Medycejskiej, wydając ją za Henryka III, ofiarował jej dwa tuziny starożytnych medali złotych ogromnej wartości.

W czasie obiadu ojciec, rad, że jego Eugenia jeszcze piękniejsza jest w nowej sukni, wykrzyknął:

— Skoro dziś imieniny Eugenii, zapalmy na kominku. To będzie dobra wróżba.

— Panienka z pewnością wyjdzie za mąż w tym roku, ani chybi — rzekła Wielka Nanon, zabierając resztki gęsi, tego bażanta bednarzy.

— Nie widzę dla niej partii w Saumur — odparła pani Grandet, patrząc na męża nieśmiałym wzrokiem, który — zważywszy jej wiek — świadczył o zupełnej niewoli małżeńskiej, w jakiej jęczała biedna kobieta.

Grandet popatrzył na córkę i wykrzyknął wesoło:

— Dziecina ma dziś dwadzieścia trzy lata; trzeba będzie niedługo się nią zająć.

Eugenia i matka wymieniły porozumiewawcze spojrzenie.

Pani Grandet była to kobieta chuda i sucha, żółta jak cytryna, niezręczna, powolna, jedna z tych kobiet, które wydają się stworzone na ofiary tyranii. Miała grube kości, gruby nos, grube czoło, wylupiaste oczy i przedstawiała na pierwszy rzut oka podobieństwo z owymi zdębiałymi owocami, które już nie mają soku. Zęby miała czarne i rzadkie, twarz pomarszczoną, brodę w kształcie kalosza. Była to przezacna kobieta, prawdziwa La Bertellière. Ksiądz Cruchot umiał od czasu do czasu powiedzieć jej, że była za młodu wcale niczego i pani Grandet wierzyła mu. Anielska słodycz, rezygnacja owada dręczonego przez dzieci, rzadka pobożność, niezmaczona pogoda duszy, dobre serce, zyskiwały jej po-

wszechne współczucie i szacunek. Mąż nie dawał jej nigdy więcej niż sześć franków naraz na drobne wydatki. Mimo że śmieszna na pozór, ta kobieta, która w posagu i w spadkach wniosła Grandetowi więcej niż trzysta tysięcy franków, czuła się zawsze tak bardzo upokorzona zależnością i niewolą, przeciw którym łagodność jej nie pozwalała się buntować, że nigdy nie poprosiła ani o jeden grosz, ani nie uczyniła najmniejszej uwagi przy podpisywaniu aktów, które przedkładał jej rejent Cruchot. Ta niedorzeczna i skryta duma, to szlachectwo duszy wciąż ranionej i deptanej przez męża, górowały w postępowaniu tej kobiety.

Pani Grandet nosiła stale zieloną lewantynową<sup>7</sup> suknię, którą przywykła kłaść prawie cały rok; dalej dużą białą bawełnianą chustkę, słomkowy kapelusz i prawie zawsze miała na sobie czarny fartuch. Mało wychodząc z domu, niewiele używała trzewików. Nigdy nie potrzebowała niczego dla siebie. Toteż Grandet, zdjęty niekiedy wyrzutem i przypominając sobie, ile upłynęło od czasu, jak dał żonie sześć franków, żądał zawsze *na szpilki* dla niej przy sprzedaży rocznego zbioru. Kilka dukatów ofiarowanych przez Holendra lub Belga, nabywcę winobrania, stanowiły najpewniejszy roczny dochód pani Grandet. Ale kiedy dostała swoich pięć dukatów, mąż mówił często, tak jakby mieli wspólną sakiewkę:

— Czy nie mogłabyś mi pożyczyć parę groszy?

I biedna kobieta, szczęśliwa, że może coś uczynić dla człowieka, którego spowiednik przedstawiał jej jako władcę i pana, oddawała mu w ciągu zimy owych parę dukatów otrzymanych na szpilki.

Kiedy Grandet wydobywał z kieszeni pięciofrankówkę przeznaczoną miesięcznie na drobne wydatki, nici, igły i tualetę córki, wówczas, zapiąwszy już surdut, nie omieszkał nigdy zapytać żony:

— A ty, matka, nie potrzebujesz czegoś?

— Pomyślę — odpowiadała pani Grandet, ożywiona uczuciem macierzyńskiej godności.

Stracona wzniosłość! Grandet uważał, że jest bardzo wspaniałomyślny wobec żony. Filozof, który spotka takie Nanon, takie panie Grandet, Eugenie, czy nie ma prawa sądzić, że ironia jest podstawą charakteru Opatrzności?

Po tym obiedzie, w czasie którego pierwszy raz była mowa o małżeństwie Eugonii, Nanon poszła przynieść butelkę nalewki z pokoju pana Grandet i omal nie przewróciła się, wracając.

— Niedorajdo — rzekł jej pan — i ty chcesz upaść tak jak drugie?

— Proszę pana, to ten stopień na schodach się rusza.

— Ona ma rację — rzekła pani Grandet. — Powinieneś go już dawno naprawić. Wczoraj Eugenia o mały włos nie zwichnęła nogi.

— No — rzekł stary Grandet, widząc błądność Nanon. — Skoro to dziś urodziny Eugonii i skoro o mały włos nie upadła, wypij kieliszek nalewki dla pokrzepienia.

— Dalibóg, zarobiłam na to — rzekła Nanon. — Na moim miejscu niejedna byłaby stłukła butelkę, ale ja prędzej bym sobie złamała rękę, niż bym ją upuściła.

— Biedna Nanon — rzekł Grandet, nalewając jej *cassis*<sup>8</sup>.

— Uderzyłaś się? — rzekła Eugenia, patrząc na nią ze współczuciem.

— Nie, zatrzymałam się, zapałam się w sobie.

— No więc, skoro to urodziny Eugonii, naprawię wam ten schodek. Wy nie umiecie stapać bokiem, tam gdzie jest jeszcze dobry.

Grandet wziął świecę, zostawił żonę, córkę i służącą bez innego światła prócz kominka rzucającego żywe blaski i poszedł do drewni, aby przynieść deski, gwoździe i narzędzia.

— Pomóc panu? — zawołała Nanon, słysząc, że pan jej tłucze się na schodach.

— Nie, nie; znam się na tej robocie — odparł eks-bednarz.

W chwili, gdy Grandet sam naprawiał spróchniałe schody i gwizdał co sił, przypominając sobie młode lata, trzej Cruchotowie zapukali do drzwi.

— To pan, panie Cruchot? — spytała Nanon, patrząc przez kratę.

— Tak — odparł prezydent.

<sup>7</sup>*levantynowy* — z taniego, cienkiego jedwabiu. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*cassis* — nalewka z czarnych porzeczek. [przypis edytorski]

Nanon otworzyła drzwi. Blask ognia odbijający się od sklepienia pozwolił trzem panom Cruchot znaleźć wejście do sali.

— Ho, ho, panowie z powinszowaniami — rzekła Nanon, czując zapach kwiatów.

— Darujcie, panowie — krzyknął Grandet, poznając głos przyjaciół. — Zaraz idę. Ja tam nie jestem dumny, sam naprawiam stopień na schodach.

— Prosimy, prosimy, panie Grandet; każdy ma prawo burmistrzować w swoim domu — rzekł sentencjonalnie prezydent, śmiejąc się sam z aluzji, której nikt nie zrozumiał.

Pani Grandet i jej córka wstały. Prezydent, korzystając z ciemni, rzekł do Eugenii:

— Czy pozwoli mi pani, w dniu swego urodzenia, życzyć sobie ciągu lat szczęśliwych i kontynuacji zdrowia, którym się cieszysz?

Wręczył bukiet kwiatów rzadkich w Saumur; następnie, ujmując herytierę za łokcie, ucałował ją z obu stron w szyję z zapalem, który zawstydził Eugenię. Prezydent, który podobny był do wielkiego zardzewiałego gwoźdźca, myślał, że w ten sposób zdobywa jej serce.

— Niech się pan nie krępuje — rzekł Grandet, wchodząc. — Jaki pan gorący w uroczyste święta, panie prezydencie!

— Z panną Eugenią — odparł ksiądz Cruchot, uzbrojony w swój bukiet — każdy dzień byłby świętem.

Ksiądz pocałował Eugenię w rękę. Co się tyczy rejenta, ten ucałował po prostu dziewczynę w oba policzki i rzekł:

— Czas leci, mościa panno. Co rok dwanaście miesięcy.

Stawiając z powrotem świecę, Grandet, który nigdy nie poniechał konceptu i powtarzał go do sytości, kiedy mu się zdawał zabawny, rzekł:

— Skoro to urodziny Eugenii, zapalmy świeczniki.

Zdjął starannie ramiona kandelabrow, włożył profitki, wziął od Nanon świeczkę owiniętą w papier, osadził ją w otworze, umocował, zapalił i usiadł koło żony, spoglądając kolejno na przyjaciół, na córkę i na dwie świece.

Ksiądz Cruchot, niewielki człeczyna, pulchny i tłusty, z rudą i płaską peruką, z twarzą wesolej starej kobietki, rzekł, wysuwając nogi obute w grube trzewiki ze srebrnymi klamrami:

— Czy państwo des Grassins jeszcze nie byli?

— Jeszcze nie — rzekł stary Grandet.

— Ale mają przyjść? — rzekł stary rejent, krzywiąc twarz podziurkowaną jak durszlak.

— Tak myślę — odparła pani Grandet.

— Winobranie skończone? — zwrócił się do Grandeta prezydent de Bonfons.

— Całkiem — odparł stary winiarz, wstając i przechadzając się po sali, przy czym wydymał pierś ruchem tak pełnym dumy, jak to słowo *calkiem*.

Przez drzwi korytarza, który prowadził do kuchni, ujrzał Wielką Nanon przy ogniu, gotującą się sjaść do kołowrotka, aby się nie mieszać do zabawy.

— Nanon — rzekł, wychylając się na korytarz. — Zgaś ogień i światło i chodź tu do nas. Do kata, wystarczy przecież sali dla nas wszystkich.

— Ale państwo będą mieli gości.

— A cóżeś ty gorszego od nich? I oni są z żebra Adama, jak i ty.

Grandet podszedł do prezydenta i rzekł:

— Czy pan sprzedał swoje wino?

— Dalibóg nie, zachowam je dla siebie. Jeżeli teraz wino jest dobre, za dwa lata będzie jeszcze lepsze. Właściciele, wie pan o tym, przysięgli sobie utrzymać umówioną cenę: w tym roku Belgowie nie dadzą nam rady. Jeżeli odjadą, ano cóż, to wrócą.

— Tak, ale trzymajmy się dobrze — rzekł Grandet tonem, który przejął dreszczem prezydenta.

„Czyżby on pertraktował?” — pomyślał Cruchot.

W tej chwili uderzenie młotka oznajmiło państwa des Grassins, a przybycie ich przerwało rozmowę rozpoczętą między panią Grandet a księdzem.

Pani des Grassins była to kobietka żywa, pulchna, biała i różowa, z tych, które dzięki surowemu życiu prowincji i notliwym przyzwyczajeniom zachowały się jeszcze młodo w czterdziestym roku. Są to niby ostatnie jesienne róże, których widok robi przyjemność, ale których płatki mają jakiś chłód, a zapach ulotnił się. Ubierała się dość dobrze,

zapisywała mody z Paryża, dawała ton miastu Saumur i urzędowała wieczory. Mąż jej, eks-kwatermistrz gwardii cesarskiej, ciężko ranny pod Austerlitz i spensjonowany, zachował mimo swego szacunku dla Grandeta pozór wojskowej otwartości.

— Dobry wieczór, Grandet — rzekł do winiarza, podając mu rękę i przybierając ton wyższości, którym miażdżył zawsze Cruchotów. — Panno Eugenio — rzekł do córki, skłoniwszy się wprzód matce — jest pani zawsze piękna i cnotliwa, nie wiem doprawdy, czego można by pani życzyć.

Następnie wręczył małą szkatułkę, którą niósł jego służący, a która zawierała paproć z Przylądka Dobrej Nadziei, kwiat świeżo przywieziony do Europy i bardzo rzadki.

Pani des Grassins ucałowała czule Eugenię, uściśniła jej rękę i rzekła:

— Adolf wręczy ci mój drobny upominek.

Młody blondyn, błądy i wąty, o dość dobrych manierach, nieśmiały na pozór, ale który przepułał w Paryżu, ponad swoją pensję, osiem czy dziesięć tysięcy franków, posunął się do Eugenii, ucałował w oba policzki i podał jej neseser do robótek z przyborami z pozłacanego srebra, szczerą tandeta, mimo tarczy, na której gotyckie E. G., dosyć starannie wyryte, mogło dawać złudzenie umyślnej roboty. Otwierając puzderko, Eugenia uczuła ową niespodzianą i zupełną radość, od której młode dziewczyny rumienia się i drżą z przyjemności. Popatrzyła na ojca, jak gdyby pytając, czy jej wolno przyjąć, na co pan Grandet rzekł: „Weź, moje dziecko” — tonem, który byłby przyniósł zaszczyt aktorowi. Trzej Cruchotowie stanęli w osłupieniu, widząc radosne i żywe spojrzenie, jakie zwróciła na Adolfa des Grassins bogata dziedziczka, dla której podobny zbytek był czymś niesłychanym.

Pan des Grassins podał staremu Grandet tabakę, wziął też szczyptę, strząsnął ziarenka, które padły na wstążeczkę Legii Honorowej w klapie błękitnego surduta, po czym spojrział na Cruchotów, jak gdyby mówiąc:

— No, niechże który z was to sparuje!

Pani des Grassins zwróciła oczy na błękitne słoje, w których znalazły się bukiety Cruchotów, szukając z udaną naturalnością ich podarków. W tym drażliwym momencie ksiądz Cruchot opuścił towarzystwo, które siadło w krąg przy ogniu i zaczął się przechadzać w głębi sali ze starym Grandet. Gdy tylko dwaj starcy znaleźli się koło okna w pewnym oddaleniu od państwa des Grassins, ksiądz rzekł do ucha skąpca:

— Ci ludzie wyrzucają pieniądze przez okno.

— Co mi to szkodzi, jeżeli wpada do mojej piwnicy — odparł winiarz.

— Gdybyś pan chciał dać złote nożyczki swojej córce, miałbyś na to środki — rzekł ksiądz.

— Ja jej daję coś lepszego niż nożyczki — odparł Grandet.

„Mój bratanek jest ryfa” — myślał ksiądz, spoglądając na prezydenta, którego zjeżone włosy nie dodawały wdzięku ogorzalej fizjonomii. — „Czy nie mógł wymyślić jakiegoś głupstewka, które miałyby pewną wartość?”

— Zagramy sobie z panią, pani Grandet — rzekła pani des Grassins.

— Jesteśmy wszyscy razem, *mogemy* zrobić dwa stoły...

— Skoro to urodziny Eugenii, zróbcie generalną loteryjkę, dzieci też zagrają.

I stary bednarz, który nie grał nigdy w żadną grę, wskazał córkę i Adolfa.

— No, Nanon, ustaw stoły.

— Pomożemy pannie Nanon — rzekła wesoło pani des Grassins uszczęśliwiona radością, jaką sprawiła Eugenii.

— Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa — rzekła posażna jedynaczka. — Nie widziałam czegoś tak pięknego.

— To Adolf przywiózł z Paryża i sam wybrał — szepnęła jej pani des Grassins do ucha.

„Kręć, kręć, przekłeta intrygantko” — powiadał sobie prezydent. — „Spróbujcie tylko mieć jaki proces, nigdy wasza sprawa nie będzie dobra”.

Rejent, siedząc w kącie, patrzył spokojnie na księdza i powiadał sobie:

„Mogą się na głowie postawić, majątek mój, mego brata i mego bratanka wynosi razem milion sto tysięcy. Oni mają co najwyżej pół tego i mają córkę: mogą robić prezenty, jakie zechcą; panna i prezenty, wszystko będzie kiedyś nasze”.

O wpół do dziesiątej ustawiono dwa stoliki. Piękna pani des Grassins zdołała usadowić syna koło Eugenii. Aktorzy tej sceny, pasjonującej, mimo że pospolitej na pozór, opatrzeni w pokratkowane kartki z cyframi i w szklane liczmany, udawali, że słuchają konceptów starego rejenta, który nie przepuścił ani jednego numeru bez jakiegoś dowcipu; ale wszyscy myśleli o milionach starego Grandet. Stary bednarz patrzył z satysfakcją na różowe pióra, na świeżą tualetę pani des Grassins, na marsową głowę bankiera, na Adolfa, prezydenta, rejenta i księdza, i powiadał sobie w duchu:

„Są tutaj dla moich dusiów. Przychodzą się tu nudzić dla mojej córki. He, he, moja córka nie będzie ani dla jednych, ani dla drugich; wszyscy ci ludzie służą mi tylko za wędkę.”

Ta rodzinna zabawa w starym, szarym salonie, licho oświetlonym dwiema świeczkami, te śmiechy, którym towarzyszył kołowrotek Nanon, śmiechy szczere jedynie na ustach Eugenii lub jej matki; te małostki połączone z tak wielkimi interesami; ta młoda dziewczyna, podobna do owych ptaków nieznających swej wysokiej ceny, prześladowana, osaczona znakami przyjaźni, które brała za dobrą monetę — wszystko przydawało tej scenie smutnego komizmu. Czyż to nie jest zresztą scena wszystkich czasów i wszystkich miejsc, ale sprowadzona do swego najprostszego wyrazu?

Twarz Grandeta wyzyskującego fałszywą przyjaźń dwóch rodzin, ciągnącego z niej olbrzymie zyski, górowała nad tym dramatem i oświetlała go. Czyż to nie był jedyny nowoczesny bóg, w którego świat wierzy, Pieniądz w swej wszechpotędze, wyrażony jedną fizjognomią? Szlachetniejsze uczucia grały tam podrzędną rolę; ożywiały trzy czyste serca — Nanon, Eugenii i jej matki. A i to, ileż ciemnoty w ich naiwności! Eugenia i jej matka nie wiedziały nic o majątku Grandeta; szacowały sprawy świata jedynie w świetle swoich błędnych pojęć; nie ceniły pieniędzy, ani nie gardziły nimi, nawykłe się bez nich obchodzić. Ich uczucia, poniewierane bez ich wiedzy, ale żywe, sekret ich istnienia, wszystko to robiło z nich ciekawy wyjątek w tym zebraniu ludzi, których życie było czysto materialne. Okropna dola człowieka! Nie ma dla niego szczęścia, które nie płynęłoby z jakiejś niewiedzy.

W chwili gdy pani Grandet wygrała szesnaście su, największą stawkę, o jaką kiedykolwiek grano w tej sali i kiedy Wielka Nanon śmiała się z uciechy, widząc, że jej pani zgarnia tak potężną sumę, rozległ się młotek u bramy, robiąc taki hałas, że kobiety podskoczyły na krzesłach.

— To nie mieszkaniec Saumur tak puka — rzekł rejent.

— Jak można walić w ten sposób — rzekła Nanon. — Czy on chce rozwalić drzwi?

— Cóż to za kaduk? — wykrzyknął Grandet.

Nanon wzięła jedną z dwóch świec i poszła otworzyć razem z panem Grandet.

— Mężu, mężu! — krzyknęła żona, która parta nieokreślonym uczuciem lęku rzuciła się ku drzwiom.

Wszyscy gracze popatrzyli po sobie.

— Może byśmy tam poszli — rzekł pan des Grassins. — To pukanie wydało mi się jakieś złowróżbne.

Pan des Grassins zaledwie przelotnie dostrzegł fizjognomię młodego człowieka, za którym szedł posługacz z biura dylizansów, niosąc dwie ogromne walizy i wlokąc worki w pościelą. Grandet obrócił się żywo do żony i rzekł:

— Żono, idź do loteryjki. Pozwól mi rozmówić się z panem.

Następnie zatrzaskała żywo drzwi do sali, gdzie podnieceni gracze zajęli z powrotem miejsca, ale już nie grali.

— Czy to ktoś z Saumur? — spytała pani des Grassins męża.

— Nie, to podróżny.

— Może przybywać tylko z Paryża. W istocie — rzekł rejent, wyjmując stary zegarek gruby na dwa palce i podobny do holenderskiego okrętu — jest dziewiąta. Dalibóg, dylizans paryski nie spóźnia się nigdy.

— Czy to młody człowiek? — spytał ksiądz Cruchot.

— Tak — odparł des Grassins. — Ma toboły, które muszą ważyć co najmniej trzysta kilo.

— Nanon nie wraca — rzekła Eugenia.

— To musi być jakiś krewny państwa — wtrącił prezydent.

— Grajmy — rzekła łagodnie pani Grandet. — Poznałam z głosu, że mąż jest porirytowany, może nie byłby rad, widząc że mówimy o jego sprawach.

— Panno Eugenio — rzekł Adolf do sąsiadki. — To będzie z pewnością wasz kuzyn Grandet, przystojny chłopiec, którego widziałem na balu u Nucingenów.

Adolf nie dokończył, bo matka przystąpiła mu nogę; po czym prosząc go głośno o dwa su do puli, szepnęła mu do ucha:

— Siedź cicho, ciemiego.

W tej chwili Grandet wszedł bez Nanon, której kroki wraz z krokami posługacza rozległy się w dziedzińcu. Za nim wszedł podróżny, który od paru chwil wzniecał tyle ciekawości i zaprzętał tak żywo wyobraźnię, że jego przybycie w dom i jego spadnięcie w ten cały światek można by porównać ze ślimakiem w ulu lub z wpuszczeniem pawia na jakieś mizerne wiejskie podwórko.

— Usiądź pan koło ognia — rzekł Grandet.

Zanim usiadł, obcy młodzian skłonił się z wdziękiem zgromadzeniu. Mężczyźni wstali, odpowiadając grzecznym ukłonem; kobiety odkłoniły się ceremonialnie.

— Zimno panu — rzekła pani Grandet. — Przybywa pan z pewnością z...

— Oto kobiety — rzekł stary winiarz, przerywając czytanie listu, który trzymał w ręce. — Pozwól panu odpocząć.

— Ależ ojczcie, pan może potrzebować czego — rzekła Eugenia.

— Ma język — odparł surowo winiarz.

Jeden tylko nieznajomy zdumiony był tą sceną. Inne osoby przywykły do despotycznego tonu starego. Mimo to, skoro padły te dwa pytania i dwie odpowiedzi, nieznajomy wstał, obrócił się plecami do ognia, podniósł nogę, aby ogrzać podeszwę buta i rzekł do Eugenii:

— Dziękuję ci, kuzynko, jadłem obiad w Tours. I — dodał, patrząc na pana Grandet — nie potrzeba mi niczego, nie jestem nawet zmęczony.

— Pan przybywa ze stolicy? — spytała pani des Grassins.

Pan Karol (tak się nazywał syn paryskiego Grandeta), słysząc to pytanie, wziął małą lornetkę zawieszoną na szyi, przyłożył ją do prawego oka, aby się przyjrzeć temu, co jest na stole i osobom siedzącym przy nim, zlustrował dość impertynencko panią des Grassins i odrzekł, stwierdziwszy wszystko:

— Tak, pani. Grają państwo w loteryjkę; proszę, ciociu, grajcie państwo dalej; to taka wesoła gra, szkoda ją przerywać...

„Byłam pewna, że to kuzynek” — pomyślała pani des Grassins, zerkając na niego.

— Czterdzieści siedem! — wykrzyknął stary ksiądz. — Niechże pani znaczy, pani des Grassins, czy to nie pani numer?

Pan des Grassins położył liczman na karcie swojej żony, która zdjęta smutnymi przecuciami spoglądała kolejno na paryskiego kuzyna i na Eugenię, nie myśląc o loteryjce. Od czasu do czasu młoda dziedziczka rzucała ukradkowe spojrzenia na swego kuzyna, a żona bankiera mogła w nich łatwo odkryć przyływ zdziwienia i ciekawości.

Pan Karol Grandet, piękny dwudziestodwuletni młodzieniec, tworzył w tej chwili szczególny kontrast z pocziwymi prowincjałami, których wyraźnie drażniło jego arystokratyczne wzięcie i którzy obserwowali go, aby się z niego wyśmiewać. To wymaga wytłumaczenia. W dwudziestym drugim roku młodzi ludzie są jeszcze dość bliscy dziecięctwa, aby się bawić dzieciństwami. Tak więc na stu spomiędzy nich znalazłoby się może dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy zachowaliby się tak, jak się zachował Karol Grandet. Na parę dni przed tym wieczorem ojciec oznajmił mu, aby się udał na kilka miesięcy do brata jego do Saumur. Może paryski Grandet myślał o Eugenii? Karol, który zjawił się na prowincji pierwszy raz, postanowił wystąpić tam z wyższością modnego eleganta, zmiażdżyć cały powiat swoim zbytkiem, stać się tam epoką i wprowadzić wyrafinowania Paryża. Aby wszystko wyrazić jednym słowem, chciał poświęcić w Saumur więcej czasu niż w Paryżu na szlifowanie sobie paznokci i przestrzegać wyszukania stroju, które czasami młody elegancjusz porzuca dla zaniedbania niepozobawionego wdzięku.

Karol zabrał więc najładniejszy strój myśliwski, śliczną fuzję, śliczny kordelas, śliczne futerały paryskie. Wziął z sobą kolekcję najbardziej pomysłowych kamizelek; szare, białe, czarne, złociste, nakrapiane, dziane, pasiaste, szalowe albo proste z wywijanym kołnierzem, zapinane pod szyję, ze złotymi guzikami. Wziął wszystkie odmiany kołnierzyków



i krawatów modnych w owej epoce. Wziął dwa fraki od Buissona i najwykwintniejszą bieliznę. Wziął ładny złoty nesoser, upominek matki. Wziął wszystkie błahostki dandyśa, nie zapominając czarującego sekretarzyka do pisania, ofiarowanego przez najmiłą z kobiet (dla niego przynajmniej), wielką damę, której mówił *Anetko* i która w tej chwili podróżowała, po małżeńsku, nudnie, po Szkocji, jako ofiara podejrzeń, dla których trzeba było poświęcić na chwilę swoje szczęście. Wziął także dużo ślicznego papieru listowego, aby pisać do niej raz na dwa tygodnie. Słowem, cały arsenał drobiażdżków paryskich, możliwie najkompletniejszy, gdzie od rajtpejczy<sup>9</sup> służącej jako wstęp do pojedynku, aż do pięknej pary pistoletów, które go kończą, znajdowały się wszystkie narzędzia rolnicze, jakimi młody próżniak posługuje się do orania swego życia. Ojciec polecił mu, aby jechał sam i skromnie; przyjechał więc w dyliżansie pocztowym, zatrzymanym dla niego samego, dosyć zadowolony, że nie zniszczy rozkosznego powoziku podróżnego zamówionego, aby jechać naprzeciwko Anety, swojej wielkiej damy, która... etc., i z którą miał się spotkać w czerwcu na wodach w Baden.

Karol spodziewał się zastać ze sto osób u stryja, polować konno w stryjowskich lasach, słowem, żyć życiem wielkiego właściciela. Nie spodziewał się, że go zastanie w Saumur, gdzie pytał o niego jedynie po to, aby spytać o drogę do Froidfond; ale dowiedziawszy się, że jest w mieście, spodziewał się, że go znajdzie w pałacu. Aby się godnie pokazać u stryja — w Saumur czy we Froidfond — włożył strój podróżny najbardziej zalotny, najskromniej wyszukany, najbardziej *uroczy* — aby użyć wyrazu, który w owej epoce streszczał wszystkie doskonałości przedmiotu lub człowieka. W Tours fryzjer przyszedł zafryzować mu piękne ciemne włosy; zmienił bieliznę, włożył czarny atlasowy krawat skombinowany z okrągłym kołnierzem, aby wdzięcznie uwydatnić swoją białą i uśmiechniętą buzię. Podróżny surducik, na wpół zapięty, rysował kibić i odsłaniał kaszmirową szalową kamizelkę, pod którą znajdowała się druga kamizelka biała. Zegarek, od niechcenia wsadzony do kieszeni, wisiał na krótkim złotym łańcuszku u butonierki. Szare spodnie zapinane były z boku, a deseń haftowany czarnym jedwabiem zdobił szwy. Karol kręcił z wdziękiem laseczką, której złota rzeźbiona gałka nie kaziła świeżości szarych rękawiczek. Czapeczka była w najlepszym smaku. Paryżanin, tylko paryżanin z najwyższej sfery, mógł się tak ubrać, nie popadając w śmieszność i dać harmonię wszystkim tym głupstewkom, podpartym zresztą dzielną miną człowieka, który ma piękne pistolety, pewne oko i Anetę.

A teraz, jeśli chcecie zrozumieć wzajemne zdumienie Saumurczyków i młodego paryżanina, jeśli chcecie dokładnie ujrzeć żywy blask, jaki elegancja podróżnego rzuciła w krąg w szare cienie sali i twarzy tworzących ten obraz rodzinny, spróbujcie sobie wyobrazić Cruchotów. Wszyscy trzej zażywali tabakę i od dawna nie troszczyli się o to, aby unikać kapek i małych czarnych pyłków, które pstrzyły żabot ich zrudziałych koszul, z wywinętymi kołnierzami i żółtawymi zakładkami. Ich miękkie krawaty zwijały się w sznurek natychmiast po zawiązaniu. Olbrzymie zapasy bielizny, które pozwalały im pracować jedynie co pół roku i trzymać ją po szafach, zostawiały jej czas przybrania szarych i smutnych tonów. Była w tych ludziach doskonała harmonia bezwzględna i starzyzna. Twarze ich, równie zwiędłe jak suknie, były wytarte, równie pomięte jak ich spodnie, zdawały się zużyte, wyschłe i skrzywione. Zupełne zaniedbanie reszty stroju, niedokładnego, nieświeżego, jak zwykle na prowincji, gdzie ludzie dochodzą wreszcie do tego, że przestają stroić się dla siebie wzajem, licząc się z ceną rękawiczek, zgadzało się z obojętnością Cruchotów. Wstręt do mody był jedynym punktem, na którym grassyniści i cruchotyści rozumieli się doskonale.

Kiedy paryżanin przykładał do oczu lornetkę, aby badać osobliwe sprzęty tej sali, belki pułapu, lamperie, na których ślady much wystarczyłyby, aby wypunktować *Encyklopedię metodyczną* i *Monitora*, równocześnie gracze w loteryjkę podnosili nosy i przyglądali mu się z ciekawością, z jaką oglądaliby żyrafę. Pan des Grassins i jego syn, którym wygląd modnia nie był obcy, przyłączyli się wszelako do zdziwienia swoich sąsiadów; bądź że podlegali nieuchwytnemu działaniu powszechnego nastroju, bądź że potwierdzali go, powiadając swoim krajanom spojrzeniem pełnym ironii:

— Patrzcie, tacy są ci paryżanie.

<sup>9</sup>rajtpejczyca (z niem.) — pejcz używany do konnej jazdy. [przypis edytorski]

Mogli zresztą obserwować Karola swobodnie, bez obawy narażenia się panu domu. Grandet był pogrążony w długim liście, który trzymał w ręce; dla odczytania go, wziął jedyną świecę ze stołu, nie troszcząc się o gości ani o ich zabawę.

Eugenia, której typ podobnej doskonałości — tak stroju, jak osoby — był zupełnie nieznaną, brała kuzyna za jakąś istotę, która zstąpiła z niebiańskich regionów. Oddychała z rozkoszą zapachem, jaki wydzielaly te lśniące i kręcące się tak wdzięcznie włosy. Chciałaby dotknąć białej skóry tych ślicznych cieniutkich rękawiczek. Zazdrościła Karolowi jego małych rąk, jego cery, świeżości i delikatności rysów. Wreszcie — o ile ten obraz może streścić wrażenia, jakie młody elegant zrobił na młodej dziewczynie zajętej bez ustanku naprawianiem pończoch, łataniem garderoby ojca, dziewczynie, której życie upłynęło pod tymi brudnymi firankami, z widokiem rzadkich przechodniów oglądanych raz na godzinę w tej cichej ulicy — obraz kuzyna obudził w jej sercu wzruszenia owej subtelnej rozkoszy, jaką budzą w młodym człowieku fantastyczne twarze kobiet, rysowane przez Westalla w *Keepsake* angielskim i wyryte przez Findena rylcem tak zręcznym, że człowiek się obawia, aby, dmuchnąwszy na welin, nie zdmuchnął tych niebiańskich zjawisk.

Karol wyjął z kieszeni chusteczkę wyhaftowaną przez wielką damę podróżującą po Szkocji. Widząc to arcydzieło wypracowane z miłością w godzinach straconych dla miłości, Eugenia spojrzała na kuzyna, aby sprawdzić, czy on go naprawdę użyje. Maniery Karola, jego ruchy, sposób, w jaki ujmował lornetkę, jego rozmyślna furfanteria, wzgarda dla nesesu, który tak olśnił bogatą dziedziczkę, a który wydał mu się oczywiście śmiesznym gratem, słowem — wszystko, co raziło państwa Cruchotów i des Grassins, podobało jej się tak bardzo, że nim zasnęła, długo musiała marzyć o tym feniksie kuzynków.

Numery ciągnięto wolno, ale niebawem przerwano loteryjkę. Weszła Wielka Nanon i rzekła głośno:

— Proszę pani, trzeba dać prześcieradła na pościel dla tego pana.

Pani Grandet udała się za Nanon. Pani des Grassins rzekła wówczas cicho:

— Odbierzmy stawki i skończmy loteryjkę.

Każdy wyjął dwa su ze starego wyszczerbionego spodka, gdzie je włożył, po czym towarzystwo wstało gromadnie i zbliżyło się do ognia.

— Skończyliście? — rzekł Grandet, nie przerywając sobie czytania.

— Tak, tak — rzekła pani des Grassins, siadając koło Karola.

Eugenia, kierowana jedną z owych myśli, które rodzą się w sercu młodych dziewcząt, kiedy uczucie zagości w nich raz pierwszy, opuściła salę, aby pomóc matce i Nanon. Gdyby ją wziął na spytki zręczny spowiednik, z pewnością by się przyznała, że nie myślała ani o matce, ani o Nanon, ale że ją dręczyła nieprzeparta chęć rzucenia okiem na pokój kuzyna, aby się zająć jego poduszką, poprawić to i owo, ustrzec przed jakimś zapomnieniem, aby wszystko przewidzieć i uczynić pokój, o ile możebna, wykwinnym i czystym. Eugenia czuła już, że ona jedna zdolna jest pojąć gust i myśli kuzyna. W istocie przybyła bardzo szczęśliwie, aby dowieść matce i Nanon, które wracały, myśląc, iż zrobiły wszystko, że wszystko jest dopiero do zrobienia. Poddała Wielkiej Nanon myśl, aby wygrzać prześcieradła; sama przykryła stół serwetą i poleciła pilnie służącej, aby zmieniała tę serwetę co rano. Przekonała matkę o konieczności rozpalenia dobrego ognia na kominku i skłoniła Nanon, aby, nic nie mówiąc ojcu, wniosła duży pęk drzewa na korytarz. Wywlekła z jakiegoś kąta jadalni tackę ze starej laki, pochodzącą z sukcesji po nieboszczyku La Bartellière; wzięła także stamtąd rżniętą kryształową szklankę, wypełzłą złoconą łyżeczkę, starożytny flakon, na którym były wyryte amorki i ustawiła wszystko triumfalnie na kominku. Więcej się w niej zrodziło myśli w ciągu kwadransa, niż ich miała od czasu, jak żyła na świecie.

— Mamo — rzekła — kuzyn nie będzie mógł znieść zapachu lojówki. Gdybyśmy kupili świecę?...

Poszła lekka jak ptaszek wyciągnąć z sakiewki talara, którego otrzymała na miesięczne wydatki.

— Masz, Nanon, leć prędko.

— Ale co powie ojciec?

Tę straszliwą wątpliwość podniosła pani Grandet, widząc córkę uzbrojoną w cukierniczkę ze starej sewrskiej porcelany, przywiezioną przez pana Grandet z zamku Froidfond.

— Skądże ty weźmiesz cukru? Oszalałaś?  
— Mamo, Nanon kupi i cukru razem ze świecą.  
— Ale ojciec?  
— Czyby to było przyzwoite, żeby jego bratanek nie mógł się napić szklanki wody z cukrem? Zresztą, ojciec nie będzie widział.

— Ojciec widzi wszystko — rzekła pani Grandet, potrząsając głową.

Nanon wahala się, znała swego pana.

— Ależ idź, Nanon, skoro to moje urodziny.

Nanon parsknęła grubym śmiechem, słysząc pierwszy żart, jaki młoda jej pani pełniła w życiu i usłuchała. Podczas gdy Eugenia i jej matka siliły się upiększyć pokój przeznaczony przez pana Grandet dla jego bratanek, Karol stał się przedmiotem względów pani des Grassins, która mizdrzyła się do niego.

— Jest pan bardzo odważny — rzekła. — Opuszczać rozkosze zimowe stolicy po to, aby zagrzebać się w Saumur! Ale jeżeli pana widok nasz nie przestraszył zbyt, zobaczy pan, że i tu można się bawić.

Puściła do niego istic prowincjonalne oko. Z przyzwyczajenia na prowincji kobiety nakładają oczom swoim tyle rezerwy i oględności, że dają im jakąś łakomą pożądlivość, podobną oczom księży, którym wszelka przyjemność zda się kradzieżą lub grzechem. Karol czuł się tak obco w tej sali, tak daleko od obszernego zamku i sutej egzystencji, jaką przypuszczał zobaczyć u stryja, że, przyglądając się bacznie pani des Grassins, ujrzał wreszcie na wpół wyblakły obraz paryskich twarzy. Odpowiedział z wdziękiem na to pośrednie zaproszenie; wywiązała się rozmowa, w której pani des Grassins zniżała stopniowo głos, aby go dostroić do charakteru wynurzeń. Była u niej i u Karola jednakowa potrzeba zwierzeń. Toteż, po paru chwilach zalotnej rozmowy i żarcików serio, zrećzna mieszkanka prowincji mogła mu powiedzieć bez obawy, aby jej słowa doszły uszu innych osób, które mówiły o sprzedaży wina — przedmiocie obchodzącym w tej chwili całe Saumur:

— Jeżeli pan raczy nas odwiedzić, sprawi pan z pewnością tyleż przyjemności memu mężowi, co mnie. Nasz salon jest jedyny w Saumur, gdzie pan spotka wraz wielkie kupiectwo i szlachtę. Należymy do obu tych towarzystw, które chcą się spotykać tylko w naszym domu, bo się tam bawią. Mój mąż — mówię to z dumą — cieszy się jednakim poważaniem u jednych i u drugich. Toteż postaramy się obronić pana od nudów. Gdyby pan tkwił u pana Grandet, Boże, cóż by się z panem stało! Stryj pański to kutwa, który myśli tylko o swoim winie, stryjenka to dewotka, która nie umie skleić dwóch myśli, a pańska kuzynka to gąska bez wychowania, pospolita, bez posagu, która trawi życie na cerowaniu ścierek.

„Niczego kobietka” — powiadał sobie w duchu Karol, odwzajemniając przymilne minki pani des Grassins.

— Zdaje mi się, żono, że ty chcesz wziąć pana w niewolę — rzekł, śmiejąc się, gruby bankier.

Na tę uwagę rejent i prezydent rzucili jakieś uszczypliwe słówka, ale ksiądz, spojrzawszy na nich chytrze, streścił ich myśli, biorąc niuch tabaki i podając w krąg tabakierkę:

— Któż by lepiej od pani — rzekł — mógł temu młodemu panu robić honory Saumur.

— He, he, jak to ksiądz rozumiesz? — spytał pan des Grassins.

— W sensie najzaszczytniejszym dla pani, dla miasta Saumur i dla młodego pana — odparł chytry starzec, obracając się w stronę Karola.

Nie zwracając na nich na pozór najmniejszej uwagi, ksiądz Cruchot umiał odgadnąć rozmowę Karola i pani des Grassins.

— Proszę pana — rzekł wreszcie Adolf do Karola tonem, który silił się na swobodę. — Nie wiem, czy pan mnie sobie przypomina, miałem przyjemność być pańskim *vis à vis* na balu u baronostwa de Nucingen...

— Ależ tak, oczywiście — odparł Karol zdziwiony, że jest przedmiotem uwagi całego towarzystwa.

— To pani syn? — spytał pani des Grassins.

Ksiądz popatrzył złośliwie na matkę.

— Tak — rzekła.

— Bardzo pan młodo był w Paryżu — dorzucił Karol, zwracając się do Adolfa.

— Cóż pan chce — rzekł ksiądz. — Wyprowadzimy ich do Babilonu tuż po odłączeniu. Pani des Grassins objęła księdza spojrzeniem zdumiewająco głębokim.

— Trzeba znać prowincję — ciągnął dalej kanonik — aby spotkać kobiety trzydziestokilkuletnie równie świeże jak pani, mające synów, którzy są licencjatami prawa. Zdaje mi się, że jeszcze widzę ów wieczór, kiedy to młodzi ludzie i damy wchodzili na krzesła, aby patrzeć, jak pani tańczy — ciągnął ksiądz, zwracając się w stronę swego żeńskiego przeciwnika. — Dla mnie pani sukcesy są tak żywe, jakby to było wczoraj...

„Och, stary ladaco” — rzekła w duchu pani des Grassins — „czyżby on mnie przejrzał?”

„Zdaje się, że będę miał wielkie powodzenie w Saumur” — rzekł sobie Karol, rozpinając surdut, zakładając rękę za kamizelkę i puszczając wzrok w przestrzeń w pozie, jaką lordowi Byronowi dał Chantrey.

Nieuwaga starego Grandet lub raczej zajęcie, z jakim zagłębił się w liście, nie uszły bacności ani reagenta, ani prezesa, którzy starali się odgadnąć treść pisma z niedostrzegalnych drgnień twarzy winiarza, w tej chwili silnie oświeconej świeczką. Winiarz utrzymywał z trudem spokój fizjonomii. Zresztą każdy może sobie wyobrazić tajone wzruszenia tego człowieka, kiedy czytał ten nieszczęsny list.

„Mój bracie, będzie niebawem dwadzieścia trzy lata, odkąd się nie widzieliśmy. Ostatnim przedmiotem naszego spotkania było moje małżeństwo, po którym rozstaliśmy się wesoło. To pewne, iż nie mogłem wówczas przewidywać, że ty będziesz kiedyś podporą rodziny, której pomyślność wówczas podziwiałeś. Kiedy ten list znajdzie się w twoich rękach, mnie już nie będzie. W położeniu, jakie zajmowałem, nie chciałem przeżyć hańby bankructwa. Trzymałem się do ostatniej chwili na skraju przepaści, wciąż mając nadzieję, że się utrzymam. Trzeba runąć! Połączone bankructwo mego agenta giełdowego i mego reagenta Roguin<sup>10</sup> unoszą moje ostatnie zasoby i nie zostawiają mi nic. Ku mej rozpacz, winien jestem blisko cztery miliony, mogąc przedstawić ledwo dwadzieścia pięć procent aktywów. Wina moje, zamagazynowane, przechodzą w tej chwili rujnującą zniżkę wskutek obfitości i jakości waszych zbiorów. Za trzy dni Paryż powie: »Grandet był łajdakiem«. Obleką mnie, uczciwego człowieka, w całun hańby.

Wydieram synowi i nazwisko, które płamię, i majątek jego matki. Nie wie nic o tym ten biedny chłopiec, którego ubóstwiam. Pożegnaliśmy się czule. Nie wiedział, na szczęście, że ostatnie krople mego życia wyciekały w tym pożegnaniu. Czy nie będzie mnie kiedyś przeklinał? Mój bracie, mój bracie, przekleństwo dzieci to straszna rzecz; one mogą apelować od naszych przekleństw, ale ich klątwa jest nieodwołalna.

Słuchaj, jesteś moim starszym bratem, winien mi jesteś pomoc: spraw, aby Karol nie rzucił gorzkiego słowa na mój grób. Mój bracie, gdybym do ciebie pisał krwią i łzami, nie byłoby w tym więcej bólu, niż go wkładam w ten list: wówczas płakałbym, krwawiłbym się, byłbym trupem, nie cierpiałbym już więcej; ale cierpię i patrzę na śmierć suchym okiem. Jesteś więc ojcem Karola. Nie ma rodziny ze strony matki, wiesz czemu. Czemuż nie usłuchałem przesądów społecznych? Czemu uległem głosowi miłości? Czemu zaślubiłem naturalną córkę magnata? Karol nie ma rodziny. O, mój synu, mój synu nieszczęśliwy!

Słuchaj, bracie, nie błagałem cię o nic dla siebie; zresztą majątek twój nie jest może dość znaczny, aby wytrzymać obciążenie trzech milionów; ale błagam cię dla syna! Wiedz to, mój bracie: ręce moje złożyły się błagalnie z myślą o tobie. Bracie, umierając, powierzam ci Karola. Patrzę na swoje pistolety bez bólu, z myślą, że ty posłużysz mu za ojca. Karol mnie bardzo kochał; byłem dla niego taki dobry, nie sprzeciwiałem mu się nigdy, nie będzie mnie przeklinał. Zresztą, zobaczysz go; on jest łagodny, wdał się w matkę, nie sprawi ci nigdy zmartwienia. Biedne dziecko, przywykł do zbytku, nie

<sup>10</sup>rejent Roguin — [postać występuje też w innej powieści Balzaka; red. WL] *Cezar Birotteau*. [przypis tłumacza]

zna żadnego z wyrzeczeń, na które nas obu skazała nędza naszych młodych lat. I oto jest zrujnowany... samotny. Tak, wszyscy przyjaciele odwrócą się od niego; i to ja będę przyczyną jego upokorzeń. Ach, chciałbym mieć ramię dość silne, aby go wysłać jednym ciosem do nieba, do matki. Szaleństwo!

Wracam do mego nieszczęścia, do nieszczęścia Karola. Posłałem go zatem do ciebie, byś go przygotował oględnie i do mojej śmierci, i do jego przyszłego losu. Bądź ojcem dla niego, ale dobrym ojcem. Nie wrywaj go zbyt nagle z próżniaczego życia, zabiłbyś go. Błagam go na kolanach, aby się zrzekł wiarygodności, do jakich mógłby rościć sobie prawo jako spadkobierca swojej matki. Ale to zbyt uczciwa prośba; on ma honor i odczuje, że nie powinien się przyłączać do moich wierzycieli. Zrób, aby we właściwym czasie zrzekł się sukcesji po mnie. Poucz go o twardych warunkach życia, na jakie go skazuję, a jeśli zachowa czułość dla mnie, powiedz mu w moim imieniu, że nie wszystko dla niego stracone. Tak, praca, która ocaliła nas obu, może mu wrócić fortunę, którą mu wydzieram, o ile zechce słuchać głosu ojca, który chciałby dla niego wstać na chwilę z grobu.

Niech jedzie, niech się puści do Indii. Mój bracie, Karol jest chłopak uczciwy i dzielny. Kupisz mu ładunek towaru; raczej umarłby, niż miałby ci nie oddać funduszu, który mu pożyczysz, bo pożyczysz mu, bracie, inaczej ścigałyby cię wyrzuty. Och, gdyby moje dziecko nie znalazło u ciebie pomocy ani serca, prosiłbym wiecznie pomsty u Boga za twoją nieczułość. Gdybym mógł ocalić trochę gotowizny, byłbym mu wręczył jakąś kwotę na poczet majątku matki; ale wypłaty z końca miesiąca pochłonęły wszystkie moje zasoby.

Nie chciałbym umierać w niepewności co do losu mego dziecka; chciałbym czuć święte obietnice w uścisku twojej ręki; ale brak mi czasu. Podczas gdy Karol będzie w drodze, muszę sporządzić bilans. Staram się dowieść rzetelnością swego upadku, że nie było w tej klęsce ani mojej winy, ani nieuczciwości. Czyż to nie znaczy pracować dla Karola? Bądź zdrow, bracie. Niech wszystkie błogosławieństwa Boga spłyną na ciebie za wspaniałomyślną opiekę, którą ci powierzam i którą przyjmiesz, nie wątpię o tym. Jest głos, który będzie się modlił za ciebie bez ustanku na owym świecie, w którym wszyscy mamy się znaleźć kiedyś i gdzie ja już jestem”.

*Wiktor Anioł Wilhelm Grandet*

— Rozmawiacie państwo? — rzekł stary Grandet, składając starannie list i chowając go do kieszeni.

Popatrzył na bratanka z miną pokorną i nieśmiałą, pod którą skrywał swoje wzruszenia i rachuby.

— Ogrzałeś się?

— Wybornie, drogi stryjasku.

— No i co, a gdzież są kobiety? — rzekł stryj, zapominając już, że bratanek nocuje u niego.

W tej chwili Eugenia i pani Grandet weszły.

— Wszystko przygotowane na górze? — spytał stary, odzyskując spokój.

— Tak, ojczce.

— No i cóż, chłopcze, jeżeli jesteś zmęczony, Nanon zaprowadzi cię do twego pokoju. Ba, ba, to nie będzie apartament firyka, ale darujesz biednym winiarzom, którzy nigdy nie śmierdzą groszem. Podatki zjadają wszystko.

— Nie chcemy być natrętni, Grandet — rzekł bankier. — Może masz do pogadania z bratankiem, życzymy wam dobrej nocy. Do jutra.

Na te słowa zebrani wstali, każdy ukłonił się na swój sposób. Stary rejent poszedł do sieni po latarkę i zapalił ją, ofiarując się państwu des Grassins z odprowadzeniem. Pani des Grassins nie przewidziała wypadku, który miał zakończyć tak wcześnie wieczór i służący jej nie zjawił się jeszcze.

— Zrobi mi pani ten zaszczyt, aby przyjąć moje ramię? — rzekł ksiądz Cruchot do pani des Grassins.

— Dziękuję księdzu — odparła sucho. — Mam syna.

— Nie jestem kompromitujący dla dam — rzekł ksiądz.

— Podaj ramię księdzu Cruchot — rzekł mąż.

Ksiądz pociągnął piękną panią dość żywo, aby się znaleźć o kilka kroków przed małą karawaną.

— Bardzo przystojny ten młody człowiek — rzekł, ściskając jej ramię. — *Żegnaj mi, ostatni ranku mój!* Trzeba wam się pożegnać z panną Grandet; Eugenia będzie dla tego paryżanina. O ile ten kuzynek nie zakocha się w jakiej paryżance, wasz Adolf znajdzie w nim rywala naj...

— Niechże ksiądz da pokój. Ten młody człowiek spostrzeże rychło, że Eugenia jest gąską bez wdzięku. Czy się jej ksiądz przyjrzał? Była dziś żółta jak pigwa.

— Zwróciła pani może na to uwagę kuzynkowi?

— Pewnie, że nie robiłam sobie ceremonii.

— Niech pani zawsze siada koło Eugenii, a nie będzie pani potrzebowała zbyttno obrzydzać temu młodemu człowiekowi jego kuzynki; sam z siebie zrobi porównanie, które...

— Przede wszystkim obiecał się do mnie na obiad pojutrze.

— Och, gdyby pani chciała... — rzekł ksiądz.

— Co niby ksiądz chce, żebym chciała? Czy ksiądz chce mi dawać gorszące rady? Nie po to dożyłam trzydziestu dziewięciu lat z reputacją bez skazy, Bogu dzięki, aby ją niweczyć, nawet choćby chodziło o królestwo Wielkiego Mogola. Jesteśmy oboje z księdzem w wieku, w którym się rozumie rzeczy w pół słowa. Jak na duchownego ksiądz ma w istocie pomysły trochę dziwne. Pfe! To jest godne *Faublasa*.

— Czytała pani *Faublasa*?

— Nie, proszę księdza, chciałam powiedzieć: *Niebezpiecznych związków*.

— A, to książka nieskończenie bardziej moralna — rzekł ksiądz, śmiejąc się. — Ale pani mnie robi tak przewrotnym jak dzisiejsza młodzież. Chciałem po prostu panią...

— Niechże ksiądz śmie mi powiedzieć, że mi ksiądz nie myślał doradzać brzydkich rzeczy! Czy to nie jest jasne? Gdyby ten młody człowiek, który jest bardzo przystojny (przynaję), zalecał się do mnie, nie myślałby o swojej kuzynce. W Paryżu, wiem o tym, są dobre matki, które się poświęcają w ten sposób dla szczęścia i majątku dzieci; ale my jesteśmy na prowincji, księżę kanoniku.

— Tak, pani.

— I — dodała — nie chciałabym, ani sam Adolf nie chciałby stu milionów kupionych za tę cenę...

— Pani, ja nie mówiłem o stu milionach. Pokusa byłaby może ponad siły nas obojga. Jedynie sądzę, że uczciwa kobieta może sobie pozwolić, bez złej intencji, na małe niewinne kokieterie, które stanowią cząstkę obowiązków towarzyskich i które...

— Myśli ksiądz?

— Czyż nie powinniśmy, proszę pani, starać się być mili jedni drugim? Pozwoli pani, że utrę nos. Zapewniam panią — podjął ksiądz — że on patrzył na panią z miną nieco bardziej rozanieloną, niż kiedy patrzył na mnie; ale przebaczam mu, że wolał piękność od starości...

— Jasne jest — mówił prezydent swoim grubym głosem — że paryski Grandet przysłał swego syna do Saumur w intencjach najzwyczajniej matrymonialnych.

— Ależ w takim razie ten kuzynek nie spadłby jak bomba — odparł rejent.

— To nic nie znaczy — rzekł pan des Grassins — stary jest taki skryty.

— Mężu, słyszysz, zaprosiłam tego młodego człowieka na obiad. Będziesz musiał poprosić państwa de Larsonnière i państwa du Hautoy wraz z piękną panną du Hautoy oczywiście; byle się tego dnia ładnie ubrała. Przez zazdrość matka ubiera ją tak źle. Mam nadzieję, panowie, że zrobicie nam ten zaszczyt i przyjdziecie — dodała, zatrzymując pochód, aby się obrócić do panów Cruchot.

— Jest pani w domu — rzekł rejent.

Skłoniwszy się trojgu des Grassins, trzech Cruchotowie wrócili do siebie, rozwijając ten geniusz analizy, jaki posiadają mieszkańcy prowincji, aby rozważyć pod wszelkim kątem

wielkie wydarzenie tego wieczoru, zmieniające wzajemne stosunki cruchotystów i grasynistów. Przedziwny rozsądek kierujący postępkami tych wielkich rachmistrzów, dał im uczuć konieczność doraźnego przymierza przeciw wspólnemu wrogowi. Czyż nie powinni wspólnie przeszkodzić Eugenii w zakochaniu się w kuzynie, a Karolowi w myśleniu o kuzynce? Czyż paryżanin zdołałby się oprzeć przewrotnym insynuacjom, słodkawym potwarzom, obmowie spowitej w pochwały, naiwnym zaprzeczeniom, które miały nieustannie krążyć dokoła niego, aby go oszukać?

Kiedy rodzina znalazła się sama w sali, stary Grandet rzekł do bratanka:

— Trzeba iść spać. Za późno jest, aby rozmawiać o sprawach, które cię tu sprowadzają; jutro znajdziemy odpowiednią chwilę. W południe jemy tu trochę owoców, okruszynkę chleba i pijemy szklanek białego wina; obiad jemy jak paryżanie, o piątej. Taki porządek. Jeśli chcesz obejrzeć miasto lub okolicę, jesteś wolny jak ptak. Darujesz, że moje interesy nie zawsze pozwolą mi towarzyszyć ci. Wszyscy tutaj może ci będą powtarzali, że ja jestem bogaty; pan Grandet to, pan Grandet owo. Niech sobie gadają, takie gadania nie psują mi kredytu. Ale faktem jest, że nie mam grosza, pracuję w moim wieku jak młody czeladnik, który ma za cały majątek lichy ośnik i parę tęgich rąk. Zobaczysz może niedługo sam, co kosztuje talar, kiedy go trzeba wypocić. No, chodźmy. Nanon, świeca?

— Mam nadzieję, mój bratanku, że znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba — rzekła pani Grandet — ale gdyby ci czegoś brakowało, możesz zawołać Nanon.

— Droga stryjenko, nie ma obawy, wziąłem, zdaje mi się, wszystkie swoje rzeczy. Pozwól, stryjenko, abym ci życzył dobrej nocy i kuzyneczce także.

Karol wziął z rąk Nanon zapaloną świecę woskową, świecę z Anjou, mocno żółtą, wyleżałą w sklepie i tak podobną do lojówki, że pan Grandet, niezdolny podejrzewać jej obecności w domu, nie zauważył tego przepychu.

— Pokażę ci drogę — rzekł.

Zamiast wyjść drzwiami wiodącymi do sieni, Grandet ceremonialnie poprowadził gościa przez korytarz dzielący salę od kuchni. Oszklone drzwi zamykały ten korytarz od strony schodów, aby go ochronić od zimna. Ale w zimie wiatr gwizdał tam i tak bardzo ostro i mimo wałków założonych w drzwi do sali, ledwie utrzymywało się tam jakieś ciepło. Nanon zaryglowała bramę, zamknęła salę i wypuściła ze stajni brytana o głosie dziwnie zachrypłym. To zwierzę, słynnie złośliwe, znało tylko Nanon. Te dwie wiejskie dusze rozumiały się.

Kiedy Karol ujrzał żółte i zadymione ściany klatki schodowej, gdzie schody ze spróchniałą poręczą drżały pod ciężką stopą stryja, otrzeźwienie jego postępowało *rinforzando*. Miał uczucie, że jest w kurniku. Stryjenka i kuzynka, do których się zwrócił, aby badać ich fizjognomie, były tak nawykłe do tych schodów, że nie zgadując przyczyn jego zdziwienia, wzięły je za uprzejmy wyraz twarzy i odpowiedziały miłym uśmiechem, który przywiódł Karola do rozpaczy.

„Po jakie licho ojciec posyła mnie tutaj?” — mówił sobie.

Przybywszy na pierwszy zakręt, spostrzegł troje drzwi pomalowanych na kolor cynobru, bez futryn. Te drzwi tkwiły w zakurzonej ścianie i opatrzone były żelaznymi sztabami.

Drzwi, które znajdowały się na wprost schodów i prowadziły do pokoju położonego nad kuchnią, były widocznie zamurwane. W istocie, wchodziło się tam tylko przez pokój starego Grandet, któremu ten pokój służył za gabinet. Jedyne okno, przez które wnikało światło, opatrzone było od podwórza olbrzymimi kratami żelaznymi. Nikomu, nawet pani Grandet, nie wolno było tam wchodzić; stary chciał być sam, jak alchemik przy swoim piecu. Tam była z pewnością jakaś zmyślnie sporządzona kryjówka; tam gromadziły się tytuły własności; tam wisiały wagi do ważenia dukatów, tam sporządzało się w nocy tajemnie pokwitowania, rewersy, rachunki, tak iż interesanci, widząc zawsze Grandeta przygotowanego na wszystko, mogli sobie wyobrazić, że on ma na swoje rozkazy wróżkę albo biesa. Tam z pewnością, kiedy Nanon chrapała aż się podłoga trzęsła, kiedy brytan czuł i ziewał w podwórzu, kiedy pani i panna Grandet dobrze spały, stary bednarz przychodził pieścić, tulić, głaskać, hodować, kołysać swoje złoto. Mury były grube, okiennice dyskretne. On jeden miał klucz od tego laboratorium, gdzie, jak mówiono, badał plany, na których były wyznaczone jego owocowe drzewa i obliczał swoje zbiory co do jednego szczepe, co do jednego grona.

Wejście do pokoju Eugenii znajdowało się na wprost tych zamurowanych drzwi. Na końcu sieni były pokoje małżonków, które zajmowały cały front domu. Pani Grandet miała pokój obok pokoju Eugenii, do którego wchodziło się przez oszklone drzwi. Pokój pana domu oddzielony był od pokoju żony przepierzeniem, a od tajemniczego gabinetu grubym murem.

Stary Grandet umieścił bratanka na drugim piętrze, na wysokim poddaszu położonym nad jego pokojem, tak aby go móc słyszeć, gdyby mu przyszła ochota wychodzić i wchodzić.

Kiedy Eugenia i jej matka znalazły się w sieni, ucałowały się na dobranoc; po czym, powiedziawszy Karolowi parę słów pożegnania zimnych na ustach, ale z pewnością gorących w sercu młodej dziewczyny, weszły do swoich pokojów.

— No, jesteś u siebie, mój chłopcze — rzekł stary Grandet do Karola, otwierając mu drzwi. — Gdybyś potrzebował wyjść, zawołaj Nanon. Bez niej — upadam do nóg! — pies pożarłby cię bez jednego słowa. Śpij dobrze. Dobranoc. Ha, ha, moje panie zapaliły ci ogień.

W tej chwili ukazała się Wielka Nanon, uzbrojona w szkandele<sup>11</sup>.

— A to coś nowego! — rzekł Grandet. — Cóż ty bierzesz mego bratanka za kobietę w połogu? Odniesiesz ty to zaraz, Nanon?

— Ale, proszę pana, prześcieradła są mokre, a ten panicz jest naprawdę delikatny jak panienka.

— No więc idź, skoro się tak z nim pieścisz — rzekł stary, popychając ją. — Ale uważaj, żebyś mi nie zapuściła ognia.

Po czym skąpiec wyszedł, mruczając pod nosem.

Karol stał jak osłupiały wśród swoich walizek. Rozejrzawszy się po murach poddasza obitych owym żółtym papierem w kwiatki, jaki widuje się w oberżach, spojrzawszy na kominek, którego sam widok przejmował chłodem, na żółte trzcinowe krzesła, na nocny stolik, w którym mógłby się zmieścić mały sierżant wołyżerów, na chudy dywanik z лыka umieszczony u stóp łóżka z kotarą, która drżała tak, jakby miała spaść stoczona przez robaki, spojrzawszy poważnie na Wielką Nanon i rzekł:

— Słuchaj, dziecko, czy ja naprawdę jestem u pana Grandet, byłego mera Saumur, brata pana Grandet z Paryża?

— Tak, proszę panicza, u bardzo miłego, bardzo zacnego, bardzo kochanego pana. Czy mam panu pomóc rozpakować walizki?

— Dalibóg, proszę bardzo, mój zuchu. Czyś ty nie służyła przypadkiem w marynarskich gwardii?

— Ho, ho, ho — rzekła Nanon. — Cóż to takiego marynarze gwardii? Czy to słone, czy to pływa po wodzie?

— Proszę, niech panienka poszuka mego szlafroka, który jest w tej walizie. Tutaj jest klucz.

Nanon była oczarowana widokiem jedwabnego zielonego szlafroka w złote kwiaty i desenie.

— Pan to włoży na noc? — rzekła.

— Właśnie.

— Panno Święta, co by to był za piękny przód do ołtarza w parafii. Och, mój drogi, kochany panie, niechże to pan da do kościoła, zbawi pan swoją duszę, a tak, to ją pan tylko gubi. Och, jaki pan w tym ładniejszy. Zawołam panienkę, żeby pana zobaczyła.

— Nanon, Nanon — skoro cię tak przewali — będziesz ty cicho, dasz ty spokój? Daj mi się położyć, uporządkuję rzeczy jutro i jeżeli mój szlafrok tak ci się podoba, zbawisz swoją duszę. Jestem zbyt dobry chrześcijanin, aby ci go odmówić, kiedy będę odjeżdżał; wtedy możesz z nim robić, co ci się spodoba.

Nanon stała jak wryta, patrząc na Karola, niezdolna dać wiary jego słowom.

— Mnie, tę cudną suknię! — rzekła, odchodząc. — Pan już chyba śni. Dobranoc.

— Dobranoc, Nanon.

<sup>11</sup>szkandela — naczynie do podgrzewania pościeli, zwykle mosiężne, zamykane, napelniane gorącą wodą lub żarzącymi się węglami. [przypis edytorski]



„Co ja robię tutaj?” — powiedział sobie Karol, zasypiając. — „Ojciec mój nie jest głupiec, ta podróż musi mieć swój cel. Ba, do jutra, poważne sprawy, jak powiedział jakiś mamut grecki”.

„Matko Najświętsza, jaki on milusi, ten mój kuzynek” — powiadała sobie Eugenia, przerywając pacierze, których tego wieczora nie dokończyła.

Pani Grandet, kładąc się, nie myślała nic. Słyszała przez drzwi w przepierzeniu, jak skąpiec przechadzał się po pokoju. Jak wszystkie bojaźliwe kobiety, wystudiowała charakter swego pana. Tak samo jak mewa przepowiada burzę, ona przeczuła po niedostrzegalnych oznakach wewnętrzną burzę, która wstrząsała mężem, i — aby użyć wyrażenia, którym ona się posługiwała sama, *robiła nieżywą*. Grandet patrzył na drzwi wybite od wewnątrz blachą i powiedział sobie:

„Cóż za dziki pomysł miał brat, aby mi zapisywać swego syna? Ładna sukcesja. Ja nie mam ani dwudziestu talarów do rozdania. A co by znaczyło dwadzieścia talarów dla tego gagatka, który już przyglądał się memu barometrowi, jakby nim chciał w piecu zapalić”.

Myśląc o następstwach tego bolesnego testamentu, Grandet był może bardziej wzruszony niż brat jego w chwili, gdy go kreślił.

„Będę miała tę złotą suknię” — powiadała sobie Nanon, która usnęła przystrojona w swoją kapę na ołtarz, marząc o kwiatach, kobiercach, adamaszkach, tak jak po raz pierwszy w życiu Eugenia marzyła o miłości.

---

W czystym i jednostajnym życiu młodych dziewcząt przychodzi rozkoszna godzina, kiedy słońce rozsiewa im w duszy swoje promienie, kiedy kwiat zwierza im swoje myśli, kiedy bicie serca udziela mózgowi swego płodnego ciepła, stapia myśli w mgliste pragnienie; — dzień niewinnej melancholii i słodkiej rozkoszy. Kiedy dzieci zaczynają widzieć, uśmiechają się; kiedy dziewczyna spostrzeża w naturze uczucie, uśmiecha się tak jak uśmiechała się dzieckiem. Jeżeli światło jest pierwszą miłością życia, czyż miłość nie jest pierwszym światłem serca?

Chwila widzenia jasno rzeczy ziemskich przyszła na Eugenię. Nawykła zrywać się rano jak wszystkie dziewczęta na prowincji, wstała wcześniej, zmówiła pacierz, zaczęła tualetę — rzecz, która odtąd miała mieć dla niej swój sens. Wyczesła najpierw kasztanowe włosy, zwinęła bardzo starannie grube warkocze dokoła głowy, bacząc, aby niesforne włosy się nie wymykały; wszystko z symetrią, która podkreśliła trwożliwą niewinność jej twarzy, łącząc prostotę linii z prostotą akcesoriów. Myjąc kilkakrotnie ręce w czystej wodzie, od której skóra twardniała i czerwieniała się, Eugenia patrzyła na swoje piękne krągłe ramiona i pytała sama siebie, co robi kuzynek, aby mieć ręce tak miękkie i białe, a paznokcie takie kształtne. Włożyła nowe pończochy i najładniejsze trzewiki. Zasznurowała się starannie, nie przepuszczając dziurek. Pragnąc pierwszy raz w życiu wydać się korzystnie, poznała szczęście posiadania sukni świeżej, dobrze zrobionej, w której jej było do twarzy.

Skoro ukończyła tualetę, usłyszała bicie zegara na wieży kościoła i zdziwiła się, że jest dopiero siódma. Chcąc mieć dość czasu na staranne ubranie się, wstała zbyt wcześniej. Nie znając sztuki poprawiania dziesięć razy jednego pukla włosów i studiowania efektu, Eugenia założyła po prostu ręce, siadła przy oknie, patrzyła na dziedziniec, na wąski ogród i na wysokie tarasy, które się nad nim wznosiły. Był to widok smutny, ciasny, ale niepozbawiony tajemniczej piękności właściwej miejscom samotnym lub dziewiczej naturze.

Koło kuchni znajdowała się ocembrowana studnia z pompą o skrzywionym żelaznym ramieniu. Studnię tę oplatała winna latorośl o pędach zrudziałych i zwarzonych chłodem. Stamtąd kręty pęd wspinał się na mur, czepiał się go, biegł wzdłuż domu i kończył się na stosie drzewa, ułożonym z taką dokładnością, z jaką bibliofile układają książki. Bruk na dziedzińcu miał czarniawe ślady, utworzone z biegiem czasu przez mech, zioła, brak ruchu. Grube mury obleczone były w zieloną koszulę, sfalowaną długimi brunatnymi plamami. Stopnie schodów, które znajdowały się w głębi dziedzińca i wiodły do ogrodu, były ochwiane i zagrzebane pod wysokimi roślinami, niby grobowiec rycerza pogrzebanego przez wdowę w czasie wojen krzyżowych. Nad kamiennymi schodami zjedzonymi przez czas wznosiła się spróchniała drewniana furтка, na w pół rozpadająca się ze starości, opleciona pnącymi się roślinami. Po obu stronach furtki wyciągały się kręte ramiona dwóch

karłowatych jabłoni. Trzy równoległe aleje, wysypane piaskiem i oddzielone kwaterami, których ziemię podtrzymywało obramowanie z bukszpanu, tworzyły ten ogród, który kończyła w dole terasy aleja lipowa. W jednym krańcu maliny, w drugim olbrzymi orzech, który pochylił swoje gałęzie aż do gabinetu bednarza. Pogodny dzień i piękne jesienne słońca właściwe brzegom Loary zaczynały topić szron, którym noc oblekła malownicze przedmioty, mury, rośliny zapelniające ten ogród i podwórze.

Eugenia znajdowała zupełnie nowy urok w widoku tych rzeczy kiedyś dla niej tak pospolitych. Tysiąc myśli rodziło się w jej duszy i rosło w niej, w miarę jak się wzmacniało działanie promieni słońca. Uczuła odruch niewytłumaczonej, nieokreślonej rozkoszy, która ogarnia istotę moralną, tak jak chmura spowija istotę fizyczną. Myśli jej harmonizowały ze szczegółami tego osobliwego krajobrazu, harmonie jej serca stopiły się z harmoniami przyrody. Kiedy słońce dosięgło części muru, z której spadały włosy *Wenery* z grubymi liśćmi o kolorach mieniących się jak gardziołko gołębie, niebiańskie promienie nadziei opromieniły Eugenię przyszłość, odtąd lubiła patrzeć na tę część muru, na te blade kwiaty, na niebieskie dzwoneczki i zwiędłe zioła, z którymi łączyło się wspomnienie wdzięczne jak pamięć dzieciństwa.

Szmer, jaki każdy listek spadający z gałęzi tworzył w tym akustycznym dziedzińcu, dawał odpowiedź na tajemne pytania młodej dziewczyny, która przetrwałaby tak cały dzień, nie dostrzegając upływu godzin. Potem nastąpił przyływ wzruszeń duszy. Eugenia wstawała, siadała przed lustrem, przyglądała się sobie tak jak autor przygląda się szczerze swemu dziełu, aby je osądzić i mówić obelgi samemu sobie.

— Nie jestem dla niego dość ładna!

To była myśl Eugenie, myśl pokorna i bogata w cierpienia. Biedna dziewczyna krzywiła się; ale skromność lub raczej lęk, jest jedną z pierwszych cnót miłości. Eugenia należała do typu dzieci silnie zbudowanych, jakie bywają w drobnym mieszczaństwie. Uroda taka wydaje się pospolita; ale o ile Eugenia była podobna do *Wenus z Milo*, kształty jej uszlachetniała owa chrześcijańska słodycz, która oczyszcza kobietę i daje jej wdzięk nieznanym dawnym rzeźbiarzom. Miała ogromną głowę, męskie, choć delikatne czoło fidiaszowego *Jowisza*, szare oczy, którym czyste jej życie, odbijając się w nich całe, dawało żywy blask. Rysy jej okrągłej twarzy, niegdyś świeżej i różowej, zgrubiały wskutek ospy, która była na tyle łagodna, że nie zostawiła śladów, ale zniweczyła aksamit skóry, mimo to tak czulej i delikatniej, że czysty pocałunek matki zostawiał na niej przelotnie czerwony znak. Nos był nieco zbyt wydatny, ale harmonizował z czerwonymi jak minia ustami, których prążkowane wargi pełne były miłości i dobroci. Szyja była doskonale krągła. Gors pełny, starannie zakryty, ścigał wzrok i pobudzał do marzeń: brakło mu zapewne nieco owego wdzięku, jaki daje tualeta, ale dla znawców sztywność tej wyniosłej kibici musiała mieć urok.

Eugenia, wysoka i tęga, nie miała nic z owej urody, która podoba się ogółowi; ale była piękna tą pięknnością łatwą do rozpoznania, którą zachwycają się tylko artyści. Malarz szukający na ziemi typu dla niebiańskiej czystości *Maryi*, żądający od wszelkiej natury kobiecej tych oczu skromnie dumnych, które odgadł *Rafaël*, tych dziewiczych linii, często zrodzonych z przypadku poczęcia, ale które jedynie chrześcijańskie i czyste życie może stworzyć lub zachować, ten malarz zakochany w tak rzadkim modelu, odkryłby natychmiast w twarzy Eugenie wrodzoną szlachetność nieświadomą samej siebie, dostrzegłby pod tym spokojnym czołem cały świat miłości, a w oprawie jej oczu, w sposobie trzymania powiek, coś niewypowiedziane boskiego. Rysy jej, rysunek głowy, których nigdy nie skaził ani nie znużył wyraz rozkoszy, podobne były do linii widnokregu, tak łagodnie znaczących się w oddali spokojnych jezior. Ta fizjonomia spokojna, barwna, okolona blaskiem niby świeżo rozkwitły piękny kwiat, koła duszę, odzwierciedlała urok sumienia, który się w niej odbijał i który nasycił jej spojrzenie. Eugenia była jeszcze na owym brzegu życia, gdzie kwitną dziecięce złudzenia, gdzie zrywa się stokrotnie z rozkoszą późniejszą nieznaną. Toteż przeglądając się w zwierciadle, rzekła do siebie, nie wiedząc jeszcze, co to miłość:

— Jestem za brzydka. Nie zwróci na mnie uwagi.

Potem otworzyła drzwi wychodzące na schody i wyciągnęła szyję, nad słuchując odgłosów w domu.

„Nie wstaje” — pomyślała, słysząc ranny kaszel Nanon oraz pocziwą dziewczynę kręcącą się, zamiatającą salę, zapalającą ogień, wiążącą psa i rozmawiającą z bydlętami w oborze. Natychmiast Eugenia zeszła i pobięła do Nanon, która doila krowę.

— Nanon, moja Nanon, zrób śmietanki do kawy dla kuzynka.

— Ależ panienko, trzeba było się wziąć do tego wczoraj — rzekła Nanon, parszając rubasznym śmiechem. — Nie mogę zrobić śmietanki. Panienki kuzynek jest milusi, milusi, naprawdę milusi. Nie widziała go pani w szlafroku z jedwabiu i złota. Ja go widziałam. Ma bieliznę tak cienką jak komża u naszego proboszcza.

— Nanon, zrób placuszek.

— A kto mi da drzewa do pieca, a mąki, a masła? — rzekła Nanon, która jako pierwszy minister pana Grandet nabierała czasami straszliwej ważności w oczach Eugonii i jej matki. — Mam okradać pana, aby dogadzać kuzynkowi? Poproś panienka o drzewo, o mąkę, o masło, toć to panienki ojciec, może panience dać. O, właśnie idzie, aby obejrzeć zakupy...

Eugenia uciekła do ogrodu, przerażona skrzypieniem schodów pod nogami ojca. Odczuwała już działanie tego głębokiego wstydu i tego swoistego poczucia własnego szczęścia, które każe mniemać, nie bez racji może, że myśli nasze są wypisane na czole i że biją każdego w oczy.

Spostrzegając nareszcie оголоcenie ojcowskiego domu, biedna dziewczyna czuła jak gdyby żal, że nie może go dostroić do elegancji kuzyna. Uczuła namiętne pragnienie, aby coś zrobić dla niego: co? Nie wiedziała. Prosta i szczerą, oddawała się swej anielskiej naturze, nie strzegąc się ani swoich wrażeń, ani swoich myśli. Sam widok kuzyna obudził w niej wrodzone skłonności kobiety, a musiały się rozwinąć tym żywiej, gdyż doszedłszy dwudziestu trzech lat, Eugenia znajdowała się w pełni inteligencji i pragnień.

Pierwszy raz uczuła w sercu strach na widok ojca; ujrzała w nim pana swego losu, uczuła się występna wobec niego tym, że skryła mu jakąś myśl. Zaczęła iść szybkim krokiem, dziwiąc się, że oddycha czystszy powietrzem, że promienie słońca zdają się jej bardziej ożywcze, że czerpie z nich ciepło moralne, nowe życie. Podczas gdy szukała jakiegoś podstępu, aby zdobyć placuszek, pomiędzy Wielką Nanon a starym Grandet wszczął się spór równie rzadki między nimi jak jaskółki w zimie.

Uzbrojony w klucze stary przyszedł, aby wydać żywność na cały dzień.

— Czy zostało co chleba z wczoraj? — rzekł do Nanon.

— Ani okruszyny, proszę pana.

Grandet wziął wielki, okrągły bochenek, pięknie zatarty mąką i zabierał się do krajania, kiedy Nanon rzekła:

— Jest nas dziś pięćoro, proszę pana.

— Tak — odparł Grandet — ale ten bochenek waży sześć funtów; zostanie jeszcze. Zresztą te młode lalunie paryskie nie jadają chleba, zobaczysz.

— Zje z omastą — rzekła Nanon.

W Anjou *omasta* oznacza w popularnym słowniku to, co towarzyszy chlebowi, od masła rozsmarowanego na kromce — omasta zwyczajna — aż do konfitur brzoskwinowych, najwykwintniejszej omasty. Wszyscy ci, którzy w dzieciństwie zlizywali omastę, a zostawiali chleb, zrozumieją doniosłość tego wyrażenia.

— Nie — odparł Grandet. — Tacy nie jedzą ani omasty, ani chleba. To niby panny na wydaniu.

Wreszcie, zarządziwszy oszczędny codzienny jadłospis, stary skierował się do sadu, zamykając starannie spiżarnię, kiedy Nanon zatrzymała go i rzekła:

— Proszę pana, niech pan da mąki i masła, zrobię dla dzieci placek.

— Cóż ty, dom chcesz zrabować dla mego bratanka?

— Tyle myślałam o pańskim bratanku co o psie, tyle co i pan sam. Ale, ale, toć pan mi dał sześć kawalków cukru, potrzeba mi osiem.

— Co ty, Nanon, jeszcze cię nigdy nie widziałem taką? Co tobie wlało w głowę? Czy ty tu jesteś panią? Dostaniesz tylko sześć kawalków.

— No, a pański bratanek czym osłodzi kawę?

— Będzie miał dwa kawalki, ja się obejdę.

— Pan się obejdzie bez cukru, w pańskim wieku! Wolalabym kupić panu z własnej kieszeni.

— Nie mieszaj się do nieswoich rzeczy, patrz swego nosa.

Mimo spadku cen, cukier był zawsze w oczach bednarza najcenniejszym z towarów kolonialnych, zawsze kosztował dla niego sześć franków funt. Konieczność oszczędzania cukru, nabyta za cesarstwa, stała się jednym z jego niezniszczalnych nawyków.

Wszystkie kobiety, nawet najgłupsze, umieją kluczyć, aby dojść do celu. Nanon porzuciła sprawę cukru, aby wrócić do kwestii placek.

— Panienko — krzyknęła przez okno. — Czy panienka chce placek?

— Nie, nie — odparła Eugenia.

— No, Nanon — rzekł Grandet, słysząc głos córki — masz. — Otworzył skrzynię, gdzie była mąka, wydzielił miarkę i dodał kilka uncji masła do poprzednio ukrojonego kawałka.

— Potrzeba będzie drzewa na rozpalenie w piecu — rzekła nieubłagana Nanon.

— Więc dobrze, weź — odparł melancholijnie. — Ale w takim razie zrobisz nam ciasto z owocami i upieczesz cały obiad w piecu; w ten sposób nie będziesz rozpalala dwa razy.

— Juści — odparła Nanon — nie potrzebuje mi pan mówić.

Grandet objął swego ministra spojrzeniem niemal ojcowskim.

— Panienko — krzyknęła kucharka. — Będziemy mieli placek.

Stary Grandet wrócił, niosąc owoce i ułożył porcję na stole kuchennym.

— Widzi pan — rzekła Nanon — jakie ładne buciki ma pański bratanek. Co za skóra, a jak to pachnie! Czym to się czyści? Czy wziąć pańskie smarowidło na jajku?

— Nanon, ja myślę, że jajko zepsułoby tę skórę. Zresztą powiedz mu, że ty nie wiesz, jak się czyści safian — a tak, to jest safian! — wtedy sam kupi w Saumur tego co trzeba, aby się błyszczaly. Słyszałem, że oni dodają cukru do szuwaksu, żeby nadać glans.

— To prawie do jedzenia — rzekła służąca, podnosząc buty do nosa. — O, o, pachną jak woda kolońska naszej pani. To zabawne!

— Zabawne! — rzekł stary. — Tobie się wydaje zabawne pakować w buty więcej pieniędzy, niż jest ich wart ten, który je nosi.

— Proszę pana — rzekła Nanon, gdy stary, przyniósłszy drugą porcję owoców, zamknął skrzynię. — Czy pan nie każe ugotować ze dwa razy na tydzień rosolu z przyczyny pańskiego...

— Owszem.

— Trzeba mi będzie iść do rzeźnika.

— Nie potrzeba, zrobisz rosół z drobiu, dzierżawcy ci dostarczą. Powiem Cornoille-rowsi, aby nastrzelał kruków; z tego jest najlepszy rosół.

— Czy to prawda, proszę pana, że one jedzą trupy?

— Głupia jesteś, Nanon! Jedzą jak wszyscy, to co znajdują. Czy my nie żyjemy z trupów? Czym są sukcesje?

Stary Grandet, nie mając już nic do zarządzenia, wydobyl zegarek; widząc, że ma jeszcze pół godziny czasu przed śniadaniem, wziął kapelusz, zaszedł uściskać córkę i rzekł:

— Czy chcesz się przejść nad Loarą po moich łąkach? Mam tam interes.

Eugenia poszła włożyć słomkowy kapelusz, podszyty różową materią, po czym ojciec i córka zeszli krętą uliczką aż na rynek.

— Gdzież pan tak wcześnie rano? — spytał rejent Cruchot, spotkawszy starego.

— Zobaczyc coś — odparł Grandet, nie mając złudzeń co do rannej przechadzki swego przyjaciela.

Kiedy stary Grandet szedł coś obejrzeć, rejent wiedział z doświadczenia, że zawsze można przy nim coś zarobić. Udał się z nim.

— Idziesz, Cruchot? — rzekł Grandet. — Jesteśmy przyjaciółmi, pokażę ci, że to jest głupstwo sadzić topole w dobrej ziemi.

— Więc pan liczysz za nic sześćdziesiąt tysięcy franków, które pan zgarnął za topole na swoich łąkach nad Loarą — rzekł rejent, otwierając zdumione oczy. — Czy to nie było szczęście? Wyciąć topole w chwili, gdy w Nantes brakowało białego drzewa i sprzedać je po trzydzieści franków!

Eugenia słuchała, nie wiedząc, że zbliża się najuroczystsza chwila jej życia i że rejent ściągnie na nią ojcowski i bezapelacyjny wyrok. Grandet doszedł do wspaniałych łąk, jakie

Ptak, Jedzenie

miał nad Loarą, gdzie trzydziestu robotników pracowało nad oczyszczeniem, zasypaniem i zrównaniem gruntu, w którym niegdyś rosły topole.

— Patrz, Cruchot, ile topola zabiera gruntu — rzekł stary do rejenta. — Janie — krzyknął do robotnika — zmierz no sążniami we wszy-wszy-y-stkich kierunkach.

— Cztery razy po osiem stóp — odparł robotnik, skończywszy.

— Trzydzieści dwie stopy straty — rzekł Grandet do rejenta. — Miałem z tej strony trzysta topól, prawda? Otóż, trzy... sta trzy... sta trzy... trzy... dzieści dwie stopy zja... zjadały mi pięćset siana; dodaj pan dwa razy tyle po bo-okach, tysiąc pięćset; środkowe rzędy tyleż. Zatem, li... liczymy tysiąc wiązek sia-a-ana.

— Ba — rzekł Cruchot, aby pomóc przyjacielowi. — Tysiąc wiązek tego siana jest warte około sześciuset franków.

— Powiedz pan ty... tysiąc dwie... dwieście, bo trzysta do czterystu za potraw. Zatem, li... li... liczymy, że że ty... tysiąc dwieście franków ro-ro-rocznie przez czterdzieści lat da-da-daje razem z proce-centem składanym, który znasz...

— Niech będzie sześćdziesiąt tysięcy — rzekł rejent.

— Niech będzie, tylko sze-sze-sześćdziesiąt tysięcy. Zatem — rzekł winiarz, już się nie jękając — dwa tysiące topól czterdziestoletnich nie dałyby mi ani pięćdziesięciu tysięcy. Jest strata. Doszedłem tego — rzekł Grandet, prostując się z dumą. — Janie — podjął — zasypiesz dziury, wyjąwszy od strony Loary, gdzie zasadzisz topole, które kupiłem. Kiedy je wpuszczę w rzekę, będą się żywiły na koszt rządu — dodał, zwracając się do Cruchota i poruszając naroślą na nosie, co zastępowało najironiczniejszy z uśmiechów.

— To jasne, topole powinno się sadzić tylko w chudej ziemi — rzekł Cruchot zdumiony rachunkiem Grandeta.

— Tak, panie — rzekł bednarz drwiąco.

Eugenia, która patrzyła na cudny pejzaż Loary, nie słuchając obliczeń ojca, nadstawiła ucha na słowa Cruchota, słysząc, jak mówi do starego:

— He, he, sprowadziłeś pan sobie zięcia z Paryża, całe Saumur mówi tylko o pańskim bratanku. Będę miał niedługo kontrakcik do sporządzenia, papo Grandet.

— Wcze-e-śnie pan wstał, aby mi to po-powiedzieć — odparł Grandet, podkreślając tę uwagę ruchem swej narośli. — Więc do-o-o-brze, stary kamracie, będę szczery i powiem ci to, co chciałeś wiedzieć. Wolalbym raczej, wi-wi-widzisz pan, wrzu-wrzu-wrzucić córkę do rzeki, niż ją dać temu ku-u-uzynkowi; mo-mo-możesz pan to opowiedzieć. Ale nie, pozwól ga-gadać ludziom.

Odpowiedź ta wstrząsnęła Eugenią. Odległe nadzieje, które zaczynały lęgnąć się w jej sercu, zakwitły nagle, ziściły się i wydały pęk kwiatów, które ujrzała ścięte i leżące na ziemi. Od wczoraj przywiązała się do Karola wszystkimi więzami szczęścia łączącymi dusze; odtąd miało je wzmocnić cierpienie. Czyż nie jest szlachetną cechą kobiety, że bardziej ją wzrusza wymowa niedoli niż przepychy szczęścia? Jakim cudem uczucie ojcowskie mogło wygasnąć w sercu ojca? Jakiej zbrodni winien był Karol? — tajemnicze pytanie! Już jej rodząca się miłość, ta głęboka tajemnica, spowiła się w zagadki. Nogi jej drżały w powrotnej drodze; stara, ciemna ulica, dla niej tak wesoła, wydała jej się dziwnie smutna; owionęła ją melancholia, wyciśnięta tam przez czas i przez martwe przedmioty. Nie brakowało jej żadnego z doświadczeń miłości. O kilka kroków od domu wyprzedziła ojca i zapukawszy, czekała go u bramy. Ale Grandet, ujrawszy w ręku rejenta gazetę jeszcze niewyjętą z opaski, spytał:

— Po czemu renta?

— Nie chcesz mnie słuchać, Grandet — odparł Cruchot. — Kupuj prędko; w dwa lata można jeszcze zarobić dwadzieścia od stu, poza bardzo przyzwoitym procentem, pięć tysięcy funtów od osiemdziesięciu tysięcy. Renta jest po osiemdziesiąt franków pięćdziesiąt centymów.

— Zobaczę, zobaczę — odparł Grandet, pocierając sobie podbródek.

— Och, Boże! — rzekł rejent.

— Co się stało? — wykrzyknął Grandet w chwili, gdy Cruchot podsuwał mu dziennik, mówiąc:

— Czytaj pan.

Pan Grandet, jeden z najbardziej poważanych przemysłowców paryskich, zastrzelił się wczoraj, wróciwszy jak zwykle z giełdy. Przesłał prezydentowi Izby Poselskiej swoją dymisję; również złożył funkcje sędziego w trybunale handlowym. Zrujnowały go upadłości panów Roguin i Souchet, jego reagenta i agenta giełdowego. Mimo to poważanie, jakim cieszył się pan Grandet oraz jego kredyt były takie, że z pewnością znalazłby pomoc na rynku paryskim. Ubolewania godne jest, że ten człowiek tak godny szacunku uległ pierwszemu odruchowi rozpaczycy etc.

— Wiedziałem o tym — rzekł winiarz.

Słowa te zmroziły pana Cruchot, który mimo swej notariuszowskiej obojętności uczuł chłód na plecach na myśl, że może Grandet paryski na próżno błagał o miliony Grandeta z Saumur.

— A jego syn, taki wesoly wczoraj...

— Nie wie jeszcze nic — odparł Grandet z tym samym spokojem.

— Bywaj pan zdrów, Grandet — rzekł Cruchot, który zrozumiał wszystko i poszedł uspokoić prezydenta de Bonfons.

Po powrocie Grandet zastał śniadanie gotowe. Pani Grandet, której Eugenia skoczyła na szyję z owym serdecznym wylaniem, jakie rodzi się z tajemnego zmartwienia, siedziała już na swoim krześle i robiła na drutach mitenki.

— Możecie państwo jeść — rzekła Nanon, która zbiegła na dół po cztery schody. — Dziecko śpi jak aniołek. Jaki on ładniusi z zamkniętymi oczami! Weszłam, zawołałam go! Aha, nic a nic.

— Daj mu spać — rzekł Grandet. — Obudzi się zawsze dość wcześnie, aby usłyszeć złe nowiny.

— Co się takiego stało? — spytała Eugenia, kładąc do kawy dwa maleńkie kawałki cukru, jakie stary lubił sam rąbać w wolnych chwilach. Pani Grandet, która nie odważyła się zadać tego pytania, spojrzała na męża.

— Ojciec jego strzelił sobie w łeb.

— Stryj?... — spytała Eugenia.

— Biedny chłopiec! — wykrzyknęła pani Grandet.

— Tak, biedny — odparł Grandet. — Nie ma ani grosza.

— Ba, śpi, jakby był królem całego świata — rzekła Nanon tkliwie.

Eugenia przestała jeść. Serce się jej ścisnęło, tak jak się ścisza serce, kiedy po raz pierwszy współczucie obudzone nieszczęściem kochanego człowieka rozleje się po całym ciele kobiety. Biedna dziewczyna zapłakała.

— Nie znałaś stryja, po co płaczesz? — rzekł ojciec, rzucając jej spojrzenie zgłodniałego tygrysa, jakim patrzył z pewnością na swoje kupy złota.

— Ależ proszę pana — rzekła służąca — któż by się nie litował nad biednym chłopczyną, który śpi jak zabity, nie znając swego losu?

— Nie mówię do ciebie, Nanon, trzymaj język za zębami.

Eugenia rozumiała w tej chwili, że kochająca kobieta powinna zawsze skrywać swoje uczucia. Nie odpowiedziała.

— Aż do mego powrotu, mam nadzieję, żono, że nie powiesz mu o niczym — dodał starzec. — Wrócę w południe na drugie śniadanie i pomówię z bratankiem o jego interesach. Co do ciebie, moja panno, jeżeli z powodu tego cacusia płaczesz, możesz sobie tego oszczędzić. Pojedzie w te pędy do Indii, nie zobaczysz go już...

Ojciec wziął rękawiczki, włożył je ze zwykłym spokojem, obciągnął je na palcach i wyszedł.

— Och, mamu, duszę się — wykrzyknęła Eugenia, znalazłszy się sama z matką. — Nigdy w życiu tak nie cierpiałam.

Pani Grandet, widząc, że córka blednie, otworzyła okno i dała jej odetchnąć powietrzem.

— Lepiej mi — rzekła Eugenia po chwili.

To nerwowe wzruszenie w naturze dotąd na pozór chłodnej i spokojnej oddziało na panią Grandet, która spojrzała na córkę z ową sympatyczną intuicją, jaką obdarzone są matki wobec przedmiotu swojej czułości. Zrozumiała wszystko. Bo też w istocie życie

słynnych węgierskich siostr, spojonych ze sobą przez omyłkę przyrody, nie było bliższe niż życie Eugenii i jej matki, wciąż razem przy tym oknie i razem w kościele, i oddychających we śnie tym samym powietrzem.

— Moje biedne dziecko! — rzekła pani Grandet, biorąc głowę Eugenii i tuląc ją do piersi.

Na te słowa córka podniosła głowę, zwróciła na matkę pytające spojrzenie, zbadła jej tajemne myśli i rzekła:

— Po co go wysłać do Indii? Jeżeli jest nieszczęśliwy, czyż nie powinien zostać tutaj, czyż nie jest naszym najbliższym krewnym?

— Tak dziecko, to byłoby bardzo naturalne, ale ojciec ma swoje racje, musimy je uszanować.

Matka i córka usiadły w milczeniu jedna na swoim wysokim fotelu, druga na krzeselku; obie podjęły swoje robotki. Zdjęta wdzięcznością dla tej cudownej inteligencji serca, jaką okazała matka, Eugenia ucałowała jej rękę, mówiąc:

— Jaka ty jesteś dobra, droga mamo.

Te słowa rozpromieniły starą twarz matczyną, zwiędłą od długiej bolesti.

— Podobał ci się? — spytała Eugenia.

Pani Grandet odpowiedziała jedynie uśmiechem; po czym, po chwili milczenia, rzekła po cichu:

— Czyżbyś go już kochała? To byłoby niedobrze.

— Niedobrze? — odparła Eugenia. — Czemu? Podoba się tobie, podoba się Nanon, czemuż mnie nie miałby się podobać? Wiesz, mamo, nakryjmy mu do śniadania.

Odłożyła robotkę, matka zrobiła to samo, mówiąc:

— Oszalałaś!

Ale zgodziła się usprawiedliwić szaleństwo córki, dzieląc je. Eugenia zawołała Nanon.

— Co panienka jeszcze chce?

— Nanon, będziesz miała śmietankę na południe?

— A, na południe tak — odparła stara służąca.

— Więc dobrze, daj mu kawy bardzo mocnej, słyszałam od pana des Grassins, że w Paryżu robią bardzo mocną kawę. Daj dużo kawy.

— A skąd wezmę?

— Kup.

— A jeśli pan mnie spotka?

— Jest na łąkach.

— Biegnę. Ale pan Fessart już mnie pytał, czy u nas są trzej królowie, kiedy zażądałam świecy. Całe miasto będzie wiedziało o naszych zbytkach.

— Jeśli ojciec spostrzeże coś — rzekła pani Grandet — zdolny by był nas wybić.

— Więc dobrze, wybije nas, przyjmujemy jego ciosy na kłęczkach.

Za całą odpowiedź pani Grandet podniosła oczy do nieba. Nanon włożyła czepek i wyszła. Eugenia wydała bieliznę stołową, poszła przynieść trochę winogron, które dla zabawy wieszala na burkach na strychu. Szła lekko przez korytarz, aby nie obudzić kuzyna; pod drzwiami nie mogła się wstrzymać, aby nie posłuchać oddechu, który od czasu do czasu wymykał się równo z jego ust.

„Nieszczęście czuwa, gdy on śpi” — powiadała sobie.

Wzięła najzłotejsze liście wina, ułożyła grona tak smacznie, jak mógłby to uczynić stary kucharz i przyniosła je triumfalnie na stolik. Zgarnęła w kuchni gruszki policzone przez ojca i ułożyła je w kształt piramidy na liściach. Chodziła, wracała, biegała, skakała. Chciałaby złupić cały dom, ale ojciec miał klucze od wszystkiego. Nanon wróciła z dwoma świeżymi jajkami. Widząc jajka, Eugenia miała ochotę rzucić się jej na szyję.

— Nasz dzierzawca z Lande miał je w koszyku, poprosiłam go i dał mi, żeby mi zrobić przyjemność: pocziwina!

Po dwóch godzinach starań, podczas których Eugenia porzuciła dwadzieścia razy robotkę, aby iść popatrzeć na kipiącą kawę, aby słuchać hałasu, jaki robił jej kuzyn wstając, zdołała przyrządzić śniadanie bardzo skromne, niekosztowne, ale straszliwie odbijające od zadawnionych domowych obyczajów. Drugie śniadanie jadło się, stojąc: dla każdego kawałek chleba, trochę masła lub owoców i szklaneczka wina. Widząc stolik umieszczony koło ognia, fotel przed nakryciem kuzyna, widząc dwa talerze z owocami, kieliszek

na jajka, butelkę białego wina, chleb, cukier na spodku, Eugenia zdrżała na całym ciełe na samą myśl o spojrzeńiu, jakim zmierzylby ją ojciec, gdyby wszedł w tej chwili. To też często spoglądała na zegar, aby obliczyć, czy kuzyn zdoła skończyć śniadanie przed powrotem starego.

— Bądź spokojna, Eugenio, jeżeli ojciec przyjdzie, wezmę wszystko na siebie — rzekła pani Grandet.

Eugenia nie mogła wstrzymać łez.

— Och, droga mamó — wykrzyknęła. — Nie dosyć cię kochałam!

Karol, nakręciwszy się bez końca po pokoju, wszedł wreszcie, nucąc. Szczęściem była dopiero jedenasta. Paryżanin! Wystroił się z taką kokieterią, jak gdyby się znajdował w pałacu szlachećnej damy, która obecnie podróżowała po Szkocji. Wszedł z ową pogodną miną, z którą młodym tak jest do twarzy i która sprawiła Eugonii smutną radość. Przyjął z humorem rozsypanie się w gruzy swoich zamków na lodzie i powitał ciotkę wesoło.

— Czy dobrze droga ciocia spała? A ty, kuzynko?

— Doskonale; ale pan? — rzekła pani Grandet.

— Ja, doskonale.

— Musi kuzyn być głodny — rzekła Eugenia. — Proszę siadać do stołu.

— Ależ ja nigdy nie śniadam przed południem, to znaczy zaraz po wstaniu. Jednakże tak lichó karmiono mnie w drodze, że poddaję się chęćnie. Zresztą... — Wydobył najpiękniejszy, płaski zegareczek, jaki wyszedł z pracowni Bregueta. — Oho! Ależ to dopiero jedenasta. Wstałem tak wczesńie...

— Wczesńie!... — powtórzyła pani Grandet.

— Tak, ale chciałem uporządkować swoje rzeczy. Więć dobrze, chęćnie zjadłbym coś, jakiś kawałek drobiu, skrzydełko kuropatwy.

— Matko najświętsza! — wykrzyknęła Nanon, słysząc te słowa.

„Kuropatwę” — rzekła w duchu Eugenia, która byłaby chciała opłacić kuropatwę całym swoim skarbem.

— Niech pan siada — rzekła ciotka.

Dandys osunął się na fotel niby ładna kobieta, która się pozuje na kanapie. Eugenia i jej matka wzięły krzesła i siadły koło niego przy ogniu.

— Panie zawsze mieszkają tutaj? — spytał Karol, któremu sala wydała się w dzień jeszcze brzydsza niż przy świecach.

— Zawsze — odparła Eugenia, patrząc na niego. — Zawsze z wyjątkiem winobrania. Wtedy jedziemy pomagać Nanon i mieszkamy wszyscy w opactwie Noyers.

— Nigdy nie wychodzą panie na przechadzkę?

— Czasami w niedzielę po nieszpórach, kiedy jest ładnie — odparła pani Grandet. — Idziemy na most albo przyjrzeć się koszeniu siana.

— Czy mają tu panie teatr?

— Teatr! — wykrzyknęła pani Grandet. — Oglądać aktorów, komediantów? Ależ proszę pana, czy pan nie wie, że to śmiertelny grzech!

— Ma pan, drogi paniczu — rzekła Nanon, przynosząc jajka. — Dajemy panu kurczęta w skorupkach.

— O, świeże jajka — rzekł Karol, który jak człowiek przyzwyczajony do zbytku, nie myślał już o kuropatwie. — Ale to rozkoszne! A gdybyś jeszcze miała tak kawałek masła, moje drogie dzieć.

— Ba, masło! W takim razie nie będzie placka — rzekła służąca.

— Ależ dajże masło, Nanon — wykrzyknęła Eugenia.

Młoda dziewczyna przyglądała się kuzynowi łamiącemu chleb i znajdowała w tym tyle przyjemności, ile najczulsza gryzетка<sup>12</sup> paryska znajduje jej w oglądaniu melodramatu z triumfującą niewinnością. Prawda, iż Karol, wychowany przez uroczą matkę, rozpieszczony przez modną kobietę, miał ruchy pełne wdzięku, wykwinćne, miękkie jak ruchy młodej elegantki.

Współczucie i tklivość młodej dziewczyny mają działanie iście magnetyczne. Toteż Karol, widząc, że jest przedmiotem względów kuzynki i ciotki, nie mógł się obronić

<sup>12</sup>*gryzетка* (z fr.) — daw. dziewczęta utrzymujące się z pracy w zakładach krawieckich, kapelusznich, jako ekspedientki rozmaitych sklepów itp. [przypis edytorski]



działaniu uczuć, które promieniowały ku niemu, opływając go jak fala. Rzucił na Eugenię spojrzenie pełne dobroci i pieszczoty, spojrzenie podobne do uśmiechu. Spozstrzegł, patrząc na Eugenię, wyborną harmonię rysów tej czystej twarzy, jej niewinny wyraz, wspaniały blask oczu, w których iskrzyły się młode myśli miłosne i nieświadome pragnienie rozkoszy.

— Na honor, droga kuzynko, gdybyś była w łoży i w wieczorowej tualecie w operze, ręczę ci, że ciotka miałaby rację, bo przyprawiłabyś wielu mężczyzn o grzech pożądania, a wiele kobiet o grzech zazdrości.

Komplement ten ścisnął serce Eugenie i przejął ją dreszczem radości, mimo że nic nie zrozumiała.

— Och, kuzynie, ty sobie żartujesz z biednej parafianki.

— Gdybyś mnie знаła, kuzynko, wiedziałabyś, że ja nienawidzę ironii; ona kazi serce, warzy wszystkie uczucia... — Tu zakąsił bardzo smacznie tartynką<sup>13</sup> z masłem. — Nie, nie mam prawdopodobnie dosyć dowcipu na to, aby sobie drwić z drugich i bardzo cierpię na tym braku. W Paryżu można zabić człowieka, mówiąc o nim: „ma dobre serce”. To znaczy tyle co: „biedaczysko, głupi jak but”. Ale ponieważ jestem bogaty i znany z tego, że strącam lalkę o trzydzieści kroków z każdego pistoletu i w szczerym polu, szyderstwo nie czepia się mnie.

— To, co pan mówi, świadczy o dobrym sercu.

— Ma kuzyn ładny pierścionek — rzekła Eugenia. — Czy wolno go obejrzyć?

Karol wyciągnął rękę, zdejmując z niej pierścionek; Eugenia zarumieniła się, muskając końcem palców różowe paznokcie młodego człowieka.

— Patrz, mam, jaka piękna robota.

— To grubo pozłacane — rzekła Nanon, przynosząc kawę.

— Co to takiego? — spytał Karol, śmiejąc się.

I pokazał podłużny garnek z ciemnej gliny, polewany wewnątrz, okolony smugą popiołu, w którego głąb sypała się kawa, wracając na powierzchnię wrzącego płynu.

— To kawa gotowana — rzekła Nanon.

— A, droga ciciu, zostawię przynajmniej dobroczynny ślad mego pobytu. Strasznie jesteście zacofani! Nauczę was robić kawę w maszynie Chaptal.

I próbował wytłumaczyć system maszyny Chaptal.

— Ba — rzekła Nanon. — Tyle subiekcji, trzeba by życie całe na tym strawić. Nigdy nie będę robiła kawy w ten sposób. Ładne rzeczy! A kto by nażył trawy dla krowy, gdy ja bym robiła kawę?

— Ja będę robiła — rzekła Eugenia.

— Dziecko — rzekła pani Grandet, patrząc na córkę.

Na to słowo, przypominające cios wiszący już nad głową nieszczęśliwego młodego człowieka, trzy kobiety zamilkły i patrzyły nań z wyrazem współczucia, który uderzył Karola.

— Co tobie, kuzynko?

— Cyt — rzekła pani Grandet do Eugenie, która już miała przemówić. — Wiesz, dziecko, że ojciec sam chce mówić z panem...

— Niech pani pomówi z Karolem — rzekł młody Grandet.

— A, kuzynowi jest Karol, to piękne imię — wykrzyknęła Eugenia.

Nieszczęścia przeczuwane nadchodzą prawie zawsze. Nanon, pani Grandet i Eugenia, które nie bez drżenia myślały o powrocie starego bednarza, usłyszały dźwięk młotka, którego odgłos był im dobrze znany.

— Ojciec — rzekła Eugenia.

Sprzątnęła spodek z cukrem, zostawiając kilka kawałków na obrusie. Nanon zabrała talerzyk z jajkami. Pani Grandet zerwała się jak wystraszona lania. Była to chwila panicznego strachu, ku zdziwieniu młodego Grandet, który nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

— Co się dzieje? — spytał.

— Ależ... ojciec idzie — rzekła Eugenia.

— Więc co?...

Pan Grandet wszedł, objął bystrym spojrzeniem stół, Karola, ujrzał wszystko.

<sup>13</sup>tartynka — kanapka. [przypis edytorski]

— Ha, ha, wyprawiliście ucztę dla chłopczyka, dobrze, bardzo dobrze, doskonale — rzekł bez zająkiwania się. — Kiedy kota nie ma w domu, myszy tańczą.

„Uczta?...” — pomyślał Karol, niezdolny wyobrazić sobie gospodarkę i obyczaję tego domu.

— Podaj mi szklankę, Nanon — rzekł stary.

Eugenia przyniosła szklankę. Grandet wydobyl z kieszeni rogowy nóż z szerokim ostrzem, ukrajał kromkę chleba, wziął trochę masła, posmarował starannie i zaczął jeść, stojąc. W tej chwili Karol słodził kawę. Stary Grandet spostrzegł kawałki cukru, przyjrzał się żonie, która zbladła i cofnęła się o trzy kroki; nachylił się do ucha biednej starej i rzekł:

— Skąd żeście wzięły cukier?

— Nanon przyniosła ze sklepiku, bo nie było.

Niepodobna odtworzyć sobie głębokiego wrażenia, jakie scena ta wywarła na trzech kobietach. Nanon opuściła kuchnię i patrzyła przez drzwi, aby zobaczyć, co się będzie działo. Karol, który pokosztował kawy i któremu wydała się gorzka, szukał cukru, który stary już schował.

— Czego szukasz? — rzekł stary.

— Cukru.

— Dolej mleka — odpowiedział pan domu. — Będzie słodsza.

Eugenia wzięła spodek z cukrem, który Grandet już schował i postawiła go na stole, patrząc spokojnie na ojca. Z pewnością paryżanka, która, aby ułatwić ucieczkę kochankowi, przytrzymuje słabymi rączkami sznurową jedwabną drabinkę, nie więcej rozwija męstwa, niż go okazała Eugenia, stawiając cukier na stole. Kochanek wynagrodzi paryżankę, która pokaże mu z dumą obolałe ramię; każda żyłka będzie skąpana we łzach, pocałunkach i wygojona rozkoszą, podczas gdy Karol nigdy nie miał przejrzeć głębokich wzruszeń, które łamały serce jego kuzynki spiorunowanej wzrokiem starego bednarza.

— Co ty, żono, nie jesz?

Biedna niewolnica podeszła, ukrajała miłosiernie kawałek chleba i wzięła gruszkę. Eugenia podała odważnie ojcu winogrono, powiadając:

— Skosztuj mojej konserwy, papo. Kuzynek też pozwoli, prawda? Sama przyniosłam te piękne grona dla kuzyna.

— Och, jeśli się ich nie wstrzyma, one spustoszą całe Saumur dla ciebie, mój chłopcze. Kiedy skończysz, pójdziemy razem do ogrodu; powiem ci rzeczy, które nie będą słodkie.

Eugenia i jej matka rzuciły Karolowi spojrzenie, którego wyraz nie mógł go omylić.

— Co znaczą te słowa, stryju? Od śmierci mojej biednej matki... — przy tych słowach, głos jego zmiękł — ...nie ma już dla mnie możliwości nieszczęścia...

— Moje dziecko, któż może przewidzieć nieszczęścia, jakimi Bóg chce nas doświadczyć — rzekła ciotka.

— Ta ta ta ta! — rzekł Grandet. — Zaczynają się głupstwa. Z przykrością patrzę, mój chłopcze, na twoje ładne, białe rączki.

Tu pokazał mu iście baranie łopatki, jakie natura umieściła na końcu jego ramion.

— Oto ręce stworzone do zbierania talarów. Ciebie przyuczono oblekać nogi skórą, z jakiej my wyrabiamy portfele wekslowe. Niedobrze, niedobrze.

— Co stryj ma na myśli? Niech mnie powiesz, jeśli rozumiem bodaj słowo.

— Chodź — rzekł Grandet.

Skapiec zamknął nóż, wypił resztę wina i otworzył drzwi.

— Odwagi, Karolu!

Ton młodej dziewczyny zmroził Karola, który siedł za swoim straszliwym krewniakiem miotany śmiertelnym niepokojem. Eugenia, matka jej i Nanon przeszły do kuchni, parte niezwykłą ciekawością śledzenia aktorów sceny, która się miała rozegrać w wilgotnym ogródku, gdzie stryj przechadzał się w milczeniu z bratankiem. Grandet nie czuł się zakłopotany tym, że ma oznajmić Karolowi śmierć ojca, ale doznawał niejakiego współczucia, wiedząc, że chłopak zostanie bez grosza i szukał jakiegoś sposobu złagodzenia mu tej straszliwej prawdy.

Powiedzieć: „Straciłeś ojca” to było nic — ojcowie umierają przed dziećmi. Ale powiedzieć: „Nie masz grosza!” — wszystkie nieszczęścia ziemi mieściły się w tych słowach. I stary obchodził już trzeci raz środkową aleję, w której piasek chrząścił mu pod nogami.

W wielkich okolicznościach życia dusza nasza przywiązuje się silnie do miejsc, w których spadają na nas radości lub zmartwienia. Toteż Karol przyglądał się ze szczególną uwagą szpalerom tego ogródka, bladym liściom, które leciały z drzew, kruszącym się murem, karłowatym drzewom owocowym, malowniczym szczegółom, które miały odcisnąć się w jego wspomnieniu, wiecznie skojarzone z tą doniosłą godziną, dzięki szczególnej mnemotechnice namiętności.

— Ciepło jest, ładnie — rzekł Grandet, wciągając głęboko powietrze.

— Tak, stryju, ale czemu...

— Słuchaj, chłopcze — rzekł stryj. — Mam dla ciebie niedobre nowiny. Z ojcem twoim jest źle...

— Czemuż więc jestem tutaj? — rzekł Karol. — Nanon! — krzyknął. — Konie pocztowe. Znajdę przecież jakiś powóz w tym mieście — dodał, zwracając się do stryja, który stał nieruchomo.

— Nie trzeba koni ani powozu — odparł Grandet, patrząc na Karola, który zamilkł i patrzył szklanym wzrokiem. — Tak, mój biedny chłopcze, dobrze zgadujesz, nie żyje. Ale to nic jeszcze, rzecz cięższa. Zastrzelił się.

— Mój ojciec?

— Tak. Ale to nic jeszcze. Dzienniki paplą o tym, tak jakby miały jakie prawo. Masz, czytaj.

Grandet, który pożyczył dziennik od rejenta, podsunął Karolowi złowrogi artykuł. W tej chwili biedny młodzieniec, jeszcze dziecko, w wieku, gdy uczucia wyrażają się z całą szczerością, zalał się łzami.

— No dobrze — powiedział sobie Grandet. „Wzrok jego przerażał mnie. Płacze, jest ocalony.” — To jeszcze nic, mój chłopcze — podjął Grandet głośno, nie wiedząc, czy Karol go słucha. — To nic, pocieszysz się; ale...

— Nigdy, nigdy! Ojcie! Ojcie!

— Zrujnował cię, jesteś bez grosza.

— Co mnie to obchodzi. Gdzie mój ojciec, mój ojciec!

Płacz i szlochanie rozległy się w straszliwy sposób w tych murach i powtarzały się echem. Trzy kobiety, zdjęte litością, płakały: łzy są równie zaraźliwe jak śmiech. Karol, nie słuchając stryja, pobiegł w dziedziniec, znalazł schody, wbiegł do swego pokoju i rzucił się na łóżko, kryjąc twarz w prześcieradła, aby móc płakać do woli, z dala od krewnych.

— Niech przejdzie pierwsza ulewa — rzekł Grandet, wchodząc do sali, gdzie Eugenia i jej matka szybko zajęły swoje miejsca i pracowały drżącymi rękami, otarłszy sobie oczy. — Ale z tego chłopca nic nie będzie, więcej go obchodzą umarli niż pieniądze.

Eugenia zadrżała, słysząc, w jaki sposób ojciec jej wyraża się o najświętszej boleści. Z tą chwilą zaczęła sądzić ojca. Mimo że stłumione, szlochania Karola rozlegały się w tym akustycznym domu; głęboka jego skarga, wychodząca jakby spod ziemi, ustała pod wieczór, słabnąc stopniowo.

— Biedne dziecko — rzekła pani Grandet.

Nieszczęsny wykrzyknik! Stary Grandet popatrzył na żonę, na Eugenię i na cukierniczkę, przypomniał sobie niezwykle śniadanie przyrządzone dla nieszczęśliwego krewniaka i zatrzymał się na środku sali.

— Ale, ale — rzekł ze zwykłym spokojem. — Mam nadzieję, że nie będziesz brnęła dalej w swojej rozrzutności, moja żono. Nie na to daję ci swoje pieniądze, abyś nadziewała cukrem tego młodego błazenka.

— Matka nic temu niewinna — rzekła Eugenia. — To ja...

— Czy dlatego, że jesteś pełnoletnia — przerwał Grandet — chciałabyś mi się sprzeciwić? Pomyśl, Eugenio...

— Ojcie, syn twego brata nie powinien w twoim domu czuć braku...

— Ta ta ta ta — rzekł bednarz, przebiegając cztery chromatyczne tony — syn mego brata, bratanek, laryfary... Karol jest nam niczym, nie ma złamanego szeląga, ojciec jego umarł jako bankrut. Kiedy ten gagatek wypłacze się do syta, pójdzie stąd precz, nie chce, aby mi buntował dom.

— Co to znaczy: *bankrut*? — spytała Eugenia.

— Zbankrutować — odparł stary — znaczy dopuścić się czynu najbardziej hańbiącego ze wszystkich, które mogą zhańbić człowieka.

— To musi być wielki grzech — rzekła pani Grandet. — W takim razie nasz brat byłby potępiony.

— Ta znów ze swymi litaniami! — rzekł stary, patrząc na żonę i wzruszając ramionami. — Bankructwo, Eugenio, to kradzież, którą prawo, niestety, otacza swoją protekcją. Ludzie oddają swoje zbiory Wilhelmowi Grandet na wiarę jego honoru i uczciwości, on bierze wszystko i zostawia im tylko oczy do płakania. Złodziej, rozbójnik, lepszy jest od bankruta; napada cię, możesz się bronić; ryzykuje swoją skórę; ale tamten... Słowem, Karol jest zhańbiony.

Słowa te zabrzmiały w sercu biednej dziewczyny i zaważyły w nim całym swoim ciężarem. Uczciwa tak, jak delikatny jest kwiat rozkwitły w głębi lasu, nie znała ani prawideł świata, ani wykrętnych rozumowań, ani sofizmatów: przyjęła więc okrutne wyjaśnienie bankructwa, jakie jej dał ojciec, który rozmyślnie nie uczynił rozróżnienia między bankructwem mimowolnym a bankructwem złośliwym.

— Jak to, ojczu, a ty nie mogłeś zapobiec temu nieszczęściu?

— Brat się mnie nie radził. Zresztą, winien jest cztery miliony.

— Co to jest milion, ojczu? — spytała Eugenia z naiwnością dziecka, które myśli, że łatwo znajdzie to, czego pragnie.

— Dwa miliony? — rzekł Grandet. — No, to są dwa miliony pojedynczych sztuk po dwadzieścia su, a trzeba pięć takich sztuk, aby było pięć franków.

— Mój Boże, mój Boże! — wykrzyknęła Eugenia. — Jakim cudem stryj mógł mieć cztery miliony? Czy jest ktoś we Francji, kto mógłby mieć tyle milionów? — Stary Grandet gładził sobie brodę, uśmiechał się, narodził na nosie zdawała się rozszerzać. — Ale co się stanie z kuzynem Karolem?

— Pojedzie do Indii, gdzie, wedle życzenia swego ojca, postara się zrobić majątek.

— Ale czy ma pieniądze na drogę?

— Ja mu zapłacę podróż aż do... aż do Nantes.

Eugenia rzuciła się ojcu na szyję.

— Och, ojczulku, ty jesteś dobry.

Ścisłała go tak, że Grandet, którego sumienie dręczyło trochę, uczuł się niemal zawstydzony.

— Czy dużo czasu trzeba, aby zebrać milion? — spytała.

— Ba — rzekł bednarz. — Wiesz, co to złoty napoleon? No więc trzeba takich pięćdziesiąt tysięcy, żeby zrobić milion.

— Mamo, odprawimy nowennę na jego intencję.

— Myślałam o tym — rzekła matka.

— Właśnie! Wciąż wyrzucać pieniądze! — wykrzyknął ojciec. — Czy wy myślicie, że tu w tym domu przelewają się tysiące?

W tej chwili głucha skarga, posępniejsza od wszystkich innych, rozległa się na poddaszu i ścięła lękiem Eugenię i jej matkę.

— Nanon, idź zobacz na górę, czy on się nie zabija — rzekł Grandet. — No, no — dodał, obracając się do żony i córki, które pobladły. — Żadnych głupstw, he? Zostawiam was. Muszę przypilnować trochę naszych Holendrów, którzy dziś jadą. Potem pójdę do rejenta Cruchot pogadać z nim o tym wszystkim.

Wyszedł. Gdy tylko Grandet zamknął drzwi, Eugenia i jej matka odetchnęły swobodniej. Przed tym dniem nigdy Eugenia nie czuła przymusu w obecności ojca, ale od kilku godzin uczucia, myśli, wszystko się w niej przeobrażało.

— Mamo, za ile ludwików sprzedaje się beczkę wina?

— Ojciec sprzedaje je po sto i sto pięćdziesiąt franków, czasami dwieście wedle tego, co słyszałam.

— Jeżeli zbiera tysiąc czterysta beczek wina...

— Doprawdy, dziecko, nie wiem co to daje; ojciec nie mówi nigdy o swoich interesach.

— Ale w takim razie tatuś musi być bogaty?

— Może. Ale rejent Cruchot mówił mi, że kupił Froidfond przed dwoma laty. Ma z tym kłopoty.

Eugenia, nie mogąc obliczyć majątku ojca, utkwiała w martwym punkcie w swoich rachunkach.

— Nawet mnie nie widział, kochaneczek — rzekła Nanon, wracając. — Leży bez pamięci na łóżku i płacze jak ta Magdalena, tylko go uściskać! Cóż za zmartwienie ma ten śliczny chłopys?

— Chodźmy prędko, mamo, pocieszyć go. Skoro ktoś zapuka, zejdziemy na dół.

Pani Grandet była bezbronna wobec przymilnego głosu córki. Eugenia była wspaniała, była kobietą. Obie z bijącym sercem weszły do pokoju Karola. Drzwi były otwarte. Młody człowiek nie widział ani nie słyszał nic. Tonąc we łzach, wydawał niezrozumiałe jęki.

— Jak on kocha swego ojca — rzekła Eugenia cicho.

Niepodobna było nie poznać w tonie tych słów nadziei serca bezwiednie rozpalonego namiętnością. Toteż pani Grandet rzuciła córce spojrzenie nabrzmiałe macierzyństwem, po czym rzekła jej do ucha:

— Uważaj, dziecko, gotowa jesteś go pokochać.

— Pokochać! — odparła Eugenia. — Och, gdybyś wiedziała, co ojciec powiedział!

Karol obrócił się, ujrzał ciotkę i kuzynkę.

— Straciłem ojca, mego biednego ojca. Gdyby mi powierzył sekret swego nieszczęścia, pracowalibyśmy razem, aby je naprawić. Och, mój dobry ojczy, tak byłem pewny, że cię ujrzę niebawem, iż zdaje mi się, że cię pożegnałem dość chłodno.

Szloch przerwał mu słowa.

— Będziemy się modliły za niego — rzekła pani Grandet. — Poddaj się woli bożej.

— Kuzynie — rzekła Eugenia — odwagi. Strata twoja jest niepowetowana; myśl teraz o tym, aby ocalić swój honor.

— Mój honor?... — wykrzyknął młody człowiek, odgarniając włosy nagłym ruchem i siadając na łóżku ze zwisłymi ramionami. — Ach, prawda. Ojciec, powiadał mi stryj, zbankrutował.

Wydał rozdzierający krzyk i ukrył twarz w dłoniach.

— Boże, Boże, przebacz memu ojcu, musiał bardzo cierpieć.

Było coś straszliwie przejmującego w tej boleści, młodej, szczerej, bez wyrachowania, bez ubocznej myśli. Była to boleść wstydliva, którą proste serca Eugenie i jej matki rozumiały, gdy Karol uczynił gest, jakby prosząc je, aby go zostawiły samego.

Zeszły, siadły w milczeniu przy oknie i pracowały blisko godzinę, nie zamieniając ani słowa. W ukradkowym spojrzeniu, jakim objęła pokój młodego człowieka — owo spojrzenie młodej dziewczyny, które widzi wszystko w jednym mgnieniu oka — Eugenia spostrzegła ładne bagatelki toaletowe, nożyczki, brzytwy wykładane złotem. Ten błysk zbytku, widziany poprzez ból, uczynił jej Karola jeszcze bardziej interesującym, może przez kontrast. Nigdy tak poważny fakt, nigdy tak dramatyczny widok nie uderzył wyobraźni dwóch istot bez ustanku pogrążonych w spokoju i samotności.

— Mamo — rzekła Eugenia — będziemy nosiły żałobę po stryju.

— Ojciec zdecyduje o tym — odparła pani Grandet.

Znów zamilkły. Eugenia przewlekła igłę z regularnością, która zdradziłaby obserwatorowi napór jej myśli. Pierwszym pragnieniem tej wspaniałej dziewczyny było podzielić żałobę kuzyna. Około czwartej silne uderzenie młotka rozległo się w sercu pani Grandet.

— Co się stało ojcu? — rzekła do córki.

Winiarz wszedł rozradowany. Zdjąwszy rękawiczki, zatarł ręce tak, że zdawało się, że zedrze z nich skórę, gdyby naskórek nie był wygarbowany jak rosyjski jucht, z wyjątkiem zapachu modrzewiu i kadzidła. Przechadzał się, wyglądał oknem. Wreszcie zdradził swój sekret.

— Żono — rzekł — wykiwałem ich wszystkich. Sprzedałem wino. Holendrzy i Belgowie odjeżdżali dziś, przechadzałem się po rynku pod ich gospodą z miną jakby nigdy nic. Ten tam, wiesz który, podszedł do mnie. Wszyscy więksi winiarze postanowili schować swój zbiór i czekać; nie przeszkadzałem im. Nasz Belg był zdesperowany. Widziałem to po nim. Dobiliśmy targu, bierze mój zbiór po dwieście franków beczka, połowa gotówką. Płaci w złocie. Weksle już wystawione, oto sześć ludwików dla ciebie. Za trzy miesiące wino spadnie.

Te ostatnie słowa wypowiedziane były tonem spokojnym, ale tak głęboko ironicznym, że mieszkańcy Saumur zebrani w tej chwili na rynku i ogłuszeni wiadomością o targu,

którego dobił Grandet, zdrzeliby, gdyby je usłyszeli. Panika przyprawiłaby wino o spadek do połowy ceny.

— Miałeś tysiąc beczek w tym roku, ojczu? — spytała Eugenia.

— Tak, *córucho*.

To zdrobienie było wyrazem najwyższej radości u starego bednarza.

— To czyni dwieście tysięcy sztuk po dwadzieścia su.

— Tak, panno Grandet.

— W takim razie, ojczu, możesz łatwo dopomóc Karolowi.

Zdumienia, gniewu, osłupienia Baltazara, kiedy ujrzał *Mane-Tekel-Fares* nie dały się porównać z zimną wściekłością Grandeta, który, zapomniawszy już o bratanku, odnajdywał go w sercu i w rachubach córki.

— Ej, do kata, odkąd ten cacuś przestąpił próg mego domu, wszystko tu idzie do diaska! Tylko wam w głowie cukierki, ucztę i bale. Nie chcę tego wszystkiego. Dość jestem stary, abym sam wiedział, jak mam postępować. Nie potrzebuję lekcji od córki ani od nikogo. Zrobię dla mego bratanka to, co uznaję za stosowne; wy nie potrzebujecie do tego wścibiać nosa. Co do ciebie, Eugenio — dodał, obracając się do niej. — Nie mów mi już o nim, inaczej wyprawę cię razem z Nanon do klasztoru w Noyers i to nie dalej niż jutro, jeżeli tylko piśniesz. Gdzie on jest, ten chłopak, czy już zszedł?

— Nie, mężu — odparła pani Grandet.

— No i co on robi?

— Płacze po swoim ojcu — odparła Eugenia.

Grandet spojrział na córkę, nie znajdując odpowiedzi. Był przecież sam trochę ojcem. Obszedłszy raz czy dwa razy sałę, udał się szybko do swego gabinetu, aby tam dumać o ulokowaniu kapitałów w rencie państwowej. Dwa tysiące morgów wyciętego lasu dało mu sześćset tysięcy franków; przydając do tej sumy kwotę uzyskaną za topole, dochody z roku zeszłego i obecnego, *plus* dwieście tysięcy, które świeżo utargował, razem czyniło to jakieś dziewięćset tysięcy franków. Dwadzieścia od sta, które można było w krótkim czasie zarobić na rencie stojącej po siedemdziesiąt, kusily starego. Nakreślił rachunek na gazecie, w której była oznajmiona śmierć brata, słuchając, ale nie słysząc jęków bratanka. Nanon zapukała w ścianę, aby oznajmić panu, że obiad na stole. Idąc przez sien i przez schody, Grandet powiadał sobie:

„Skoro to daje ósmy procent, puszczyć się na ten interes. W dwa lata będę miał milion pięććroć tysięcy franków, które odbiorę z Paryża w złocie”.

— No i co, gdzie jest bratanek?

— Nie chce jeść — rzekła Nanon. — To niezdrowo.

— Czysta oszczędność — odparł jej pan.

— Ano juści — rzekła.

— Ba, nie będzie ciągle płakał. Głód wypędza wilki z boru.

Obiad był szczególnie milczący.

— Mężu — rzekła pani Grandet, gdy zdjęto obrus. — Trzeba będzie wdziac żalobę.

— Dalibóg, pani Grandet, ty już sama nie wiesz, co wymyślić, aby wyrzucić pieniądze. Żaloba jest w sercu, nie w ubraniu.

— Ale żaloba po bracie jest nieodzowna, a Kościół nakazuje, aby...

— Kup sobie żalobę ze swoich sześciu ludwików. Dla mnie kup krepę, to mi wystarczy.

Eugenia podniosła oczy do nieba, nie mówiąc słowa. Pierwszy raz w życiu jej szlachetna natura, uspiona, zdławiona, ale nagle rozbudzona, poczuła się raz po raz drażnięta. Wieczór ten był na pozór podobny do tysiąca wieczorów ich jednostajnej egzystencji, ale był z pewnością najokropniejszy. Eugenia pracowała, nie podnosząc głowy i nie używając nesaseru, który Karol zlekceważył w wilię. Pani Grandet robiła na drutach rękawki. Grandet kręcił palce przez cztery godziny, pogrążony w rachunkach, których rezultaty miały nazajutrz zdumieć całe Saumur.

Nikt nie odwiedził ich owego dnia. W tej chwili całe miasto trzęsło się od sztuczki Grandeta, od bankructwa jego brata i przybycia bratanka. Wiedzeni potrzebą gadania o wspólnych interesach, wszyscy właściciele winnic z wyższego i średniego towarzystwa Saumur zeszli się u pana des Grassins, gdzie pomstowali na byłego mera co wlezie.

Nanon przędła, a turkot kołowrotka był jedynym odgłosem, jaki się rozlegał pod ciemnymi belkami sali.

— Nie psujemy sobie języków — rzekła, ukazując wielkie białe zęby niby obrane migdały.

— Niczego nie trzeba psuć — rzekł Grandet, budząc się ze swych dumań.

Widział w perspektywie trzech lat osiem milionów; żeglował po tej wielkiej tafli złota.

— Idźmy spać: powiem dobranoc bratankowi za nas wszystkich i popatrzę, czy nie chce czego.

Pani Grandet zatrzymała się na schodach, aby słyszeć rozmowę między mężem a Karolem. Eugenia, śmielsza od matki, weszła parę schodów wyżej.

— No i cóż, chłopcze, masz zmartwienie. Tak, płacz, to naturalne. Ojciec to ojciec. Ale trzeba znosić cierpienie z rezygnacją. Myślę o tobie, podczas gdy ty płaczesz. Ja jestem dobry krewny, widzisz, chłopcze. No, odwagi. Chcesz się napić szklaneczkę wina?

(Wino nie kosztuje nic w Saumur, częstuje się nim jak w Indiach filiżanką herbaty).

— Ale — ciągnął Grandet — ty nie masz świecy. Niedobrze, niedobrze, trzeba widzieć jasno, co się robi.

Grandet podszedł do kominka.

— Co! — krzyknął. — Woskowa świeca! Kiz diabeł tu wystraszył woskową świecę? Te hultajki wyrwałyby podłogę w moim domu, aby ugotować jajko dla tego chłopca.

Słyszając to, matka i córka cofnęły się do swoich pokojów i ułożyły się do łóżek z szybkością wystraszonych myszy, które chronią się do jamy.

— Słyszysz, pani Grandet, czy ty masz jaki skarb? — rzekł, wchodząc do pokoju żony.

— Mężu, ja mówię pacierz, zaczekaj — odparła zmienionym głosem biedna matka.

— Bierz lichu twojego pana Boga — mruknął Grandet.

Skąpcy nie wierzą w życie przyszłe; terażniejszość jest dla nich wszystkim. Refleksja ta rzuca straszliwe światło na obecną epokę, w której bardziej niż kiedykolwiek pieniądź góruje nad prawami, nad polityką i nad obyczajami. Instytucje, książki, ludzie i teorie, wszystko podważa wiarę w życie przyszłe, na którym wspiera się budowla społeczna od tysiąca ośmiuset lat. Obecnie trumna jest przejściem, które nie budzi zbyt wielkiego lęku. Przyszłość, która nas czekała po *requiem*, przeniesiono w terażniejszość. Dojść, prawem czy lewem, do ziemskiego rajku zbytku i rozkoszy próżności, zamienić serce w kamień i udreńczyć ciało w imię przemijającego doczesnego posiadania, jak niegdyś cierpiano męczeństwo w nadziei dóbr wiecznych, to jest powszechna myśl, myśl zresztą wypisana wszędzie, nawet w prawach, które pytają prawodawcy: „Ile płacisz?” zamiast go pytać: „Co myślisz?”. Gdy ta zasada przejdzie od mieszczaństwa do ludu, co się stanie z krajem?

— Pani Grandet, skończyłaś? — rzekł stary bednarz.

— Modlę się za ciebie, mężu.

— Wybornie, dobranoc. Jutro rano pogadamy.

Biedna kobieta usnęła niby uczeń, który, nie odrobiwszy lekcji, boi się ujrzeć po przebudzeniu gniewną twarz nauczyciela. W chwili gdy matka ze strachu zawinęła się w kołdrę, aby nic nie słyszeć, Eugenia wsunęła się do niej w koszuli, bosy i ucałowała ją w czoło.

— Och, mamó — rzekła. — Jutro powiem ojcu, że to ja.

— Nie, posłałby cię do Noyers. Zostaw to mnie, nie zje mnie przecież.

— Słyszysz, mamó?

— Co takiego?

— Słyszysz, *on* ciągle płacze.

— Idź, połóż się, dziecko. Zaziębisz się, podłoga jest wilgotna.

W ten sposób spłynął uroczysty dzień, mający zaciążyć na całym życiu bogatej i biednej spadkobierczyni, której sen nie miał być już ani tak pełny, ani tak czysty jak dotąd. Dość często niektóre czynności życia wydają się, mówiąc dosłownie, nieprawdopodobne, mimo że są prawdziwe. Ale czy to nie dlatego, że zaniedbuje się prawie zawsze oświetlenia naszych doraźnych postanowień owym światłem psychologicznym, że nie tłumaczy się ukrytych pobudek, które je spowodowały? Może powinno się głębką namiętność Eugeniei rozbierać w najdelikatniejszych włóknach, stała się ona bowiem — powiedziałby jaki szyderca — jej chorobą i oddziałała na całe jej życie. Wielu ludzi woli raczej przeczyć skutkom niż mierzyć siłę węzłów, związków, które w życiu duchowym łączą jeden

fakt z drugim. Otóż tutaj przeszłość Eugenii posłuży badaczom natury ludzkiej za rękomię szczerości jej odruchu i gwałtowności jej serca. Im życie jej było spokojniejsze, silniej kobiece współczucie, najprzemysłniejsze z uczuć, rozwinęło się w jej duszy. To też, wstrząśnięta wypadkami dnia, budziła się kilkakrotnie, nad słuchując, co robi kuzyn: zdawało jej się, że słyszy westchnienia, które od wczoraj rozbrzmiewały jej w sercu; to miała przecucie, że Karol umiera ze zmartwienia, to znów umiera z głodu.

Nad ranem usłyszała wyraźnie straszliwy krzyk. Natychmiast odziała się i pobiegła leciutkim krokiem do kuchnia, który zostawił drzwi otwarte. Świeca dopalała się w lichtarzu. Karol, pokonany przez naturę, spał w ubraniu, siedząc w fotelu, z głową złożoną na łóżku; śnił tak, jak śnią ludzie mający pusty żołądek. Eugenia mogła płakać do syta; mogła podziwiać tę piękną i młodą twarz, pocętkowaną bólem, te oczy spuchnięte od płaczu i nawet we śnie zdające się sączyć łzy. Karol odczuł obecność Eugenii, otworzył oczy, ujrzał ją rozczuloną.

— Wybacz, kuzynko — rzekł, nie wiedząc oczywiście ani która godzina, ani gdzie się znajduje.

— Są tutaj serca, które cię rozumieją, kuzynie; myślałyśmy, że potrzebujesz czego. Powinieneś się położyć, zmęczysz się w ten sposób.

— Prawda.

— Więc dobranoc.

Uciekła zawstydzona i szczęśliwa, że przyszła. Tylko niewinność waży się na takie zuchwałstwa. Uświadomiona cnota oblicza równie dobrze jak występki. Eugenia, która wobec kuzyna nie drżała, zaledwie mogła się utrzymać na nogach, kiedy się znalazła w swoim pokoju. Jej nieświadome życie skończyło się nagle; zaczęła rozumować, czyniła sobie tysiące wymówek.

— Co on sobie o mnie pomyśli? Będzie przypuszczał, że ja go kocham.

Właśnie najbardziej pragnęła, aby tak myślał. Szczera miłość ma swoją inteligencję i wie, że miłość rodzi miłość. Co za wydarzenie dla tej samotnie żyjącej młodej dziewczyny, znaleźć się tak ukradkiem u młodego człowieka! Czyż w miłości nie ma myśli, uczynków, które są dla pewnych dusz tym, co uroczyste zaręczyny?

W godzinę później weszła do matki i pomogła jej ubierać jak zwykle. Następnie usiadły na swoich miejscach koło okna i oczekiwały ojca z owym lękiem, który mrozi serce lub rozgrzewa je, ścisła je lub rozszerza zależnie od danego charakteru, wówczas gdy się lękamy jakiejś sceny albo kary. Uczucie to jest tak naturalne, że zwierzęta domowe odczuwają je: krzyczą przy lekkiej karze, podczas gdy znoszą bez krzyku przypadkowe skaleczenie.

Stary zszedł, odezwał się z roztargnieniem do żony, uściskał Eugenię i siadł do stołu, jakby nie myśląc o wczorajszych pogroźkach.

— Co się dzieje z tym chłopcem? Nie narzuca się nam.

— Śpi, proszę pana — rzekła Nanon.

— Tym lepiej, nie potrzebuje świecy — rzekł Grandet jowialnie.

Ta niezwykła łagodność, ta ironiczna wesołość uderzyły panią Grandet, która spojrziała bacznie na męża. Poczciewicz... Tutaj może należy zauważyć, że w Turenii, w Anjou, w Poitou, w Bretanii, słowo *poczciewicz*, którego często używaliśmy na określenie Grandeta, równie dobrze oznacza ludzi najtwardszych, jak i najdobrotliwszych, gdy dojdą do pewnego wieku. Tytuł ten nie przesądza w niczym o osobistej łagodności. Poczciewicz wziął więc kapelusz, rękawiczki i rzekł:

— Muszę myszkować po rynku, aby spotkać Cruchotów.

— Eugenio — rzekła pani Grandet. — Ojciec z pewnością coś ma.

W istocie, spijając mało, Grandet zużywał połowę nocy na owe głębokie rachuby, które dawały jego planom, spostrzeżeniom, zamiarom ich zdumiewającą trafność i zapewniały im stały sukces, który tak dziwił Saumurczyków. Wszelka siła ludzka składa się z cierpliwości i z czasu. Ludzie potężni pragną i czuwają. Życie skąpca jest nieustannym działaniem siły ludzkiej, wprzęgniętej w służbę egoizmu. Opiera się jedynie na dwóch uczuciach: miłości własnej i interesie; ale ponieważ interes jest poniekąd rodzajem trwałej i dobrze zrozumianej miłości własnej, nieustannym stwierdzeniem realnej przewagi, zatem miłość własna i interes są dwiema częściami jednej całości — egoizmu. Stąd mo-

Skąpiec, Pieniądz



że pochodzi zadziwiająca ciekawość, jaką budzą skąpcy, zręcznie wprowadzeni na scenę. Każdy łączy się bodaj jakąś nitką z tymi osobistościami, które trafiają we wszystkie interesy ludzkie, streszczając je. Gdzie jest człowiek bez pragnień i jakie pragnienie społeczne da się ziszczyć bez pieniędzy?

Grandet miał w istocie *coś*, jak mówiła jego żona. Skupiała się w nim, jak u wszystkich skąpców, nieustanna potrzeba rozgrywania partii z innymi ludźmi, wygrywania od nich legalnie ich pieniędzy. Opodatkować drugich, czyż to nie znaczy spełniać aktu władzy, dawać sobie nieustanne prawo gardzenia tymi, którzy, będąc słabi, dają się pożerać? Och, kto dobrze zrozumiał jagniątko spokojnie leżące u stóp Boga — wzruszający symbol wszystkich ofiar ziemskich, obraz ich przyszłości, słowem — gloryfikację Cierpienia i Słabości? Temu jagnięciu skąpiec pozwala się utuczyć, chwytając je, zabija, gotuje, zjada i gardzi nim. Strawa skąpców składa się z pieniądza i wzgardy.

Przez noc myśli starego wzięły inny obrót; stąd jego pobłażanie. Uknął plan, aby sobie zadrwić z paryżan, aby ich omotać, ugotować, ugnieść w rękę, kazać im biegać, gonić, pocić się, spodziewać, blednąć; aby się zabawić nimi — tak myślał on, dawny bednarz, w swojej szarej sali, idąc po spróchniałych schodach swego domu w Saumur. Myślał o swoim bratanku. Chciał ocalić honor zmarłego brata tak, żeby to nie kosztowało ani szeląga jego bratanka, ani jego samego. Zamierzał ulokować kapitały na trzy lata; miał troszczyć się jedynie o swój majątek; trzeba więc było żeru jego piekielnej energii i znalazł go w bankructwie brata. Nie czując w łapach nic, co by mógł wyciskać, chciał pocisnąć paryżan na rzecz Karola i okazać się wybornym bratem tanim kosztem. Honor rodziny tak małą odgrywał rolę w tym planie, że dobrą jego wolę można porównać z nałogiem, który pozwala graczom przyglądać się dobrze rozegranej partii, chociaż nie są w niej zainteresowani.

Potrzebował do tego celu Cruchotów, ale nie chciał iść do nich; chciał sprawić, aby oni przyszli do niego. Chciał tegoż wieczora jeszcze rozpocząć komedię, której plan właśnie powziął i stać się nazajutrz, nie wydając ani grosza, przedmiotem podziwu całego miasta.

W nieobecności ojca Eugenia miała to szczęście, że mogła się zajmować otwarcie swym ukochanym kuzynem, wylewać na niego bez obawy skarby współczucia. To jedna z cudownych przewag kobiety, jedyna, którą pragnie dać uczuć, jedyna którą wybacza mężczyźnie, jeśli ją jej pozostawi. Kilka razy Eugenia zachodziła słuchać oddechu Karola, przekonać się, czy śpi, czy też się obudził; potem, kiedy wstał, śmietanka, kawa, jajka, owoce, talerzyki, szklanka — wszystko, co było częścią składową śniadania, stało się dla niej przedmiotem starań. Wbiegła lekko na stare schody, aby słuchać szmeru w pokoju kuzyna. Czy się ubiera, czy jeszcze płacze? Podeszła aż do drzwi.

— Kuzynie?

— Co, kuzynko.

— Czy chcesz śniadać w jadalni, czy u siebie w pokoju?

— Jak każesz, kuzynko.

— Ale jak się kuzyn czuje?

— Kuzynko, wstyd mi, że jestem głodny.

Ta rozmowa przez drzwi była dla Eugonii istną przygodą z romansu.

— Więc dobrze, przyniesiemy ci śniadanie do pokoju, żeby nie drażnić ojca.

Zeszła do kuchni lekko jak ptak:

— Nanon, idź do panicza sprzątnąć.

Te schody, po których tak często wchodziła i schodziła, gdzie słychać było najłżejszy hałas, straciły w oczach Eugonii swój starczy charakter; wydawały się jej promienne, mówiły, były młode jak ona, młode jak jej miłość, której służyły za posła. Wreszcie matka, jej dobra i pobłażliwa matka, zgodziła się pomóc zachciankom jej miłości; kiedy pokój Karola sprzątnięto, udały się obie, aby dotrzymać towarzystwa nieszczęśliwemu: czyż chrześcijańska miłość bliźniego nie nakazuje pocieszać cierpiących? Obie kobiety zaczerpnęły w religii sporo drobnych sofizmatów, aby usprawiedliwić przed sobą swoje wybryki.

Karol Grandet był więc przedmiotem najserdeczniejszych i najtkliwszych starań. Jego zboliałe serce żywo odczuło słodczy owej aksamitnej przyjaźni, owej delikatnej sympatii, którą te dwie dusze, zawsze skrępowane, umiały rozwinąć, raz uczuwszy się wolne w dziedzinie cierpienia, swojej przyrodzonej sferze. Eugenia, uprawniona pokrewieństwem, za-

brała się do porządkowania bielizny, sprzętów toaletowych, które przywiózł jej kuzyn i mogła się zachwycać do woli każdym zbytkownym cackiem, srebrnymi i złotymi, artystycznie rzeźbionymi drobiazgami, które jej wpadły w ręce i które trzymała długo pod pozorem ich obejrzenia.

Karol nie bez głębokiego wzruszenia patrzył na te objawy przyjaźni ze strony ciotki i kuzynki; znał na tyle towarzystwo paryskie, aby wiedzieć, że w położeniu swoim znalazłby tam jedynie serca obojętne lub zimne. Eugenia ukazała mu się w całym blasku swojej szczególnej piękności; podziwiał obecnie niewinność tych obyczajów, z których drwił sobie z początku. Toteż, kiedy Eugenia wzięła z rąk Nanon fajansowe naczynie pełne kawy z mlekiem, aby je podać kuzynowi z całą naiwnością uczucia, rzucając mu pocziwe spojrzenie, oczy paryżanina zwilżyły się łzami; ujął jej rękę i pocałował.

— Co tobie, kuzynie? — spytała.

— Och, to lzy wdzięczności — odpowiedział.

Eugenia obróciła się szybko do kominka, aby wziąć lichtarz.

— Nanon, weź to, odnieś.

Kiedy spojrzała na kuzyna, była jeszcze bardzo czerwona, ale przynajmniej spojrzenia jej mogły kłamać i nie okazać bezmiernej radości, która zalewała jej serce; mimo to, oczy ich wyrażały jedno uczucie, jak dusze ich stopiły się w jednej myśli: przyszłość należała do nich. To słodkie wzruszenie było dla Karola w pełni jego straszliwego cierpienia tym rozkoszniejsze, im bardziej było niespodziewane.

Uderzenie młotką przywołało obie kobiety na ich miejsce. Szczęściem mogły zbiec dość szybko, aby się znaleźć przy robocie, kiedy wszedł Grandet: gdyby je spotkał w sieni, wystarczyłoby to zupełnie, aby obudzić jego podejrzenia.

Po śniadaniu, które stary spożył, stojąc, zjawił się gajowy. Gajowy ów, który nie dostał jeszcze przyrzeczonego wynagrodzenia, przybył z Froidfond, skąd przyniósł zajaca, kuropatwy zabite w parku, węgorki i dwa szczupaki dostarczone przez młynarza.

— He, he, pocziwy Cornoiller, zjawia się jak na obstalunek. Dobrze to do jedzenia?

— Tak, mój zacny panie, zabite przed dwoma dniami.

— Dalej, Nanon, na ramię broń! — rzekł stary. — Weź to, będzie na obiad, zaprosiłem panów Cruchot.

Nanon otworzyła głupawę oczy i patrzyła na wszystkich.

— Jak to — rzekła — a skąd wezmę słoniny i korzeni?

— Żono — rzekł Grandet — daj sześć franków Nanon i przypomnij mi, abym wszedł do piwnicy po parę flaszek dobrego wina.

— No więc, panie Grandet... — rzekł gajowy, który przygotował mowę, aby wyjaśnić kwestię swoich zasług — panie Grandet...

— Ta ta ta ta — rzekł Grandet — wiem, o co ci chodzi, pocziwy z ciebie człowiek, pomówimy o tym jutro, dziś jestem zajęty. Żono, daj mu pięć franków — rzekł do pani Grandet.

I wyszedł. Biedna kobieta była aż nadto szczęśliwa, kupując spokój za jedenaście franków. Wiedziała, że Grandet będzie milczał przez dwa tygodnie, wyciągnąwszy z niej sztukę po sztuce pieniądze, które jej dał.

— Masz, Cornoiller — rzekła, wsuwając mu dziesięć franków w rękę — kiedyś odpłacimy ci twoje służby.

Cornoiller nie wiedział, co powiedzieć. Poszedł.

— Proszę pani — rzekła Nanon, która włożyła czarny czepek i wzięła koszyk. — Wystarczy mi trzy franki, niech pani zachowa resztę. Wystarczy, wystarczy.

— Nanon, zrób dobry obiad, kuzyn też będzie — rzekła Eugenia.

— Stanowczo, dzieje się coś niezwykłego — rzekła pani Grandet. — To trzeci raz od naszego ślubu, że ojciec prosi na obiad.

Około czwartej, w chwili, gdy Eugenia i jej matka nakryły na sześć osób i kiedy pan domu przyniósł kilka butelek owego przepyszniejszego wina, jakie mieszkańcy prowincji hodują miłośnie, Karol wszedł do pokoju. Młody człowiek był blady. Ruchy jego, zachowanie, spojrzenie, głos, nacechowane były pełnym wdzięku smutkiem. Nie udawał boleści, cierpiał naprawdę; a zasłona, jaką cierpienie skryło jego twarz, dawała mu ten interesujący wyraz, który tak się podoba kobietom. Eugenia pokochała go za to tym więcej. Może

i nieszczęście zbliżyło go do niej. Karol nie był już owym bogatym i pięknym młodzieńcem, żyjącym w sferze dla niej niedostępnej, ale krewniakiem pogrążonym w nieopisanej nędzy. Nędza stwarza równość. Kobieta ma to wspólnego z aniołem, że istoty cierpiące należą do niej. Karol i Eugenia zrozumieli się i rozmawiali jedynie oczami; gdyż biedny zdezonizowany dandys sierota stanął w kącie i stał tam niemy, spokojny i dumny, ale od czasu do czasu łagodne, słodkie i pieszczotliwe spojrzenie kuzynki rzucało na niego swój blask, zniewalając go do porzucenia smutnych myśli i puszczenia się wraz z nią na pola nadziei i przyszłości, przez które rada była pomykać z nim razem.

W tej chwili miasto Saumur bardziej było poruszone obiadem wydanym przez Grandeta dla Cruchotów niż wczoraj wiadomością o sprzedaży zbioru, która była zdradą stanu wobec przemysłu winnego. Gdyby chytry winiarz wyprawił obiad w tej samej intencji, która kosztowała ogon psa alcybiadesowego, byłby może wielkim człowiekiem; ale on, nieskończenie przerastający swoje miasto, z którego drwił bez ustanku, nie dbał ani trochę o Saumur. Państwo des Grassins dowiedzieli się rychło o nagłej śmierci i o prawdopodobnym bankructwie ojca Karola; postanowili wybrać się jeszcze tego wieczora do swego klienta, aby wziąć udział w jego boleści i dać mu dowody przyjaźni, wywiadując się o pobudki, jakie go mogły skłonić do zaproszenia w podobnych okolicznościach Cruchotów na obiad. Punkt o piątej prezydent C. de Bonfons i jego stryj rejent przybyli wystrojeni na ostatni guzik. Goście zasiedli do stołu i zaczęli od napychania się. Grandet był poważny, Karol milczący, Eugenia niema, pani Grandet mówiła nie więcej niż zwykle, tak że ten obiad był prawdziwą stypą. Skoro obiad się skończył, Karol rzekł:

— Pozwolą stryjostwo, że pójdę do siebie. Muszę się zająć długą i smutną korespondencją.

— Idź, mój bratanku.

Po odejściu Karola, skoro stary miał pewność, że Karol nie może nic słyszeć i że musi być pogrążony w pisaniu, spojrzął spod oka na żonę:

— Pani Grandet, to co mamy mówić, to byłoby po chińsku dla ciebie; jest w pół do ósmej, możesz się schować. Dobranoc, Eugenio.

Uściskał Eugenię, po czym dwie kobiety wyszły. Tu zaczęła się scena, w której stary Grandet bardziej niż w jakimkolwiek okresie życia rozwinął całą zręczność nabytą w stosunkach z ludźmi i która zyskiwała mu często ze strony nazbyt dotkliwie oskubanych przydomek *starego hycła*. Gdyby były mer Saumur miał większe ambicje; gdyby szczęśliwe okoliczności, wynosząc go w wyższe sfery społeczeństwa, wysłały go na kongresy, gdzie się waży sprawy narodów, gdyby mu tam przyświecał ów geniusz, jakim go darzył interes osobisty, nie ulega kwestii, że tam chlubnie służyłby Francji. Mimo to z równym prawdopodobieństwem można przypuścić, że opuściwszy Saumur, poczciwiec odgrywałby mizerną rolę. Z ludzkimi inteligencjami jest może tak, jak z pewnymi zwierzętami, które stają się bezpłodne, wyrwane z rodzinnego klimatu.

— Paa...aaa...aaa...nie pree...eee...eee...zesie, powiadaa...a! paa...an, że baaa...ankructwo...

Jąkanie, przyjęte od tak dawna przez starego i uchodzące za naturalne, tak samo jak głuchota, na którą się skarżał w słotne dni, stała się w obecnej chwili dla Cruchotów tak nużąca, że słuchając winiarza, skreślali się bezwiednie, jak gdyby chcieli dokończyć słowa, w których on się wikłał do woli. Trzeba tutaj może skreślić historię jąkania się i głuchoty Grandeta. Nikt w całym Anjou nie słyszał lepiej i nie umiał wyraźniej mówić andegaweńską francuszczyzną niż szczywany winiarz. Niegdyś, mimo całej swej chytryści, padł ofiarą pewnego Izraelity, który w dyskusji przykładał rękę jak trąbkę do ucha niby dla lepszego słyszenia i bełkotał, szukając wyrazów tak, że Grandet — ofiara swej ludzkości — czuł się w obowiązku podsuwać chytremu Żydowi słowa i myśli, których Żyd niby to szukał. Grandet kończył rozumowania rzeczowego Żyda, mówił tak, jak powinien był mówić przeklęty Żyd, stawał się wreszcie Żydem, a nie Grandetem! Bednarz wyszedł z tej dziwacznej walki dobiwszy jedyne targu, którego mógł się wstydzić w całym ciągu swego handlowego życia. Ale o ile stracił pieniądze, zyskał stąd dobrą lekcję i później zebrał z niej owoce. Toteż poczciwiec błogosławił Żyda, który go nauczył sztuki zniecierpliwienia przeciwnika i zmuszenia go, aby dobierając wyrażenia dla jego własnej myśli, zatracał poczucie swojej.

Otóż żadna sprawa nie wymagała więcej głuchoty, jąkania oraz niepojętych korowodów, w które Grandet spowijał swoje myśli. Po pierwsze, nie chciał przyjmować od-

Interes, Handel

powiedzialności za swoje idee; następnie, chciał panować nad słowami i zostawić świat w niepewności co do swych prawdziwych zamiarów.

— Panie de Booo...onfons... — po raz drugi w ciągu trzech lat Grandet nazywał młodszego Cruchot panem de Bonfons. Prezydent mógł się już widzieć przyszłym zięciem fałszywego pocziwca. — Poooo...owiadał paaa...an, że baaaa...ankructwu można w peeee...wnych wypadkach zapobiec prze...ez...

— Przez sam trybunał handlowy. To się zdarza codziennie — rzekł pan C. de Bonfons, chwytając się myśli starego Grandet lub też zgadując ją i chcąc mu ją życzliwie wytłumaczyć. — Słyszysz pan?

— Słu-uucham — odparł pokornie stary, przybierając chytrą minę uczniaka, który śmieje się w duchu ze swego profesora, udając, że go słucha z największą uwagą.

— Kiedy człowiek znaczny i szanowany, jakim był na przykład nieboszczyk brat pański w Paryżu...

— Móóóó...ój braaa...at, tak...

— Jest zagrożony katastrofą...

— To się naaaa...zywa kaaaa-atastrofa?

— Tak. Kiedy bankructwo staje się nieuniknione, trybunał handlowy, którego jurysdykcji bankrut podlega (niech pan dobrze uważa), ma prawo swoim orzeczeniem wyznaczyć firmie handlowej likwidatorów. Likwidować to nie znaczy bankrutować, rozumie pan? Bankrutując, człowiek jest zhańbiony; likwidując, zostaje uczciwym człowiekiem.

— Tooo wiecee...lka róóóó...źnica, jeżeli toooo nie kooo...sztuje drożej — rzekł Grandet.

— Ale likwidację można przeprowadzić nawet bez pomocy trybunału handlowego. Albowiem — ciągnął prezydent, biorąc szczyptę tabaki — w jaki sposób oznajmia się bankructwo?

— Tak, niiii...gdy o tym nieee myyyy...ślałem — odparł Grandet.

— Po pierwsze — ciągnął sędzia — przez złożenie bilansu w kancelarii trybunału, czego dopełnia albo sam kupiec, albo jego pełnomocnik opatrzony w należyte uprawnienia. Po wtóre, na żądanie wierzycieli. Otóż, jeżeli kupiec nie złoży bilansu, jeżeli żaden wierzyciel nie żąda od sądów wyroku, który ogłosiłby rzeczonoego kupca jako będącego w stanie upadłości, cóż się dzieje?

— Taa...ak, cóóóó się dziee...je?

— Wówczas rodzina zmarłego, jego przedstawiciele, jego masa albo też sam kupiec, o ile jest przy życiu, albo jego przyjaciele, o ile się ukrywa, likwidują. Czy może chce pan likwidować interesy swego brata? — spytał prezydent.

— A, panie Grandet — wykrzyknął rejent — to byłoby pięknie. Jest jeszcze poczucie honoru na prowincji. Gdybyś pan ocalił swoje nazwisko, bo to jest pańskie nazwisko, byłbyś pan...

— Wzniosły — rzekł prezydent, przerywając stryjowi.

— Oczywiście — odparł stary winiarz — móóóó braaat nazyyyy...ywał się Graaa...andet tak jak ja. Tooo jest peeee...ewne, wiadooo...me. Nieee zaaa...rzekam się. A ta-aa-likwidaaa...cja mogłaby w każdym raaaa...zie być, pod wszee...lkim względem, ba-aaa...rdzo kooo...rzystna dla meee...go braaa...tanka, którego kooo...cham. Ale trzeba się rozpatrzeć. Ja nieee znam tych fiii...lutów paryskich. Ja mieszkam widziiii...cie pa-aa...anowie w Saumur. Mam swoje wiiii...no, swoje łąki, swoje iiiinteresy. Nigdy nie podpisywałem weee...eksli. Co to jest weksel? Braaa...łem ich duuuu...żo, ale nigdy ich nie wyyy...stawałem. Bierze się to... daje sięę dooo eee...eskontu. To wszyyyy...ystko, co wiem. Słyyyy...yszałem, że mooo...oża odkupić weksle...

— Tak — rzekł prezydent. — Można odkupić weksle na rynku, płacąc tyle a tyle za sto. Rozumie pan?

Grandet zrobił trąbkę z ręki, przyłożył ją do ucha, a prezydent powtórzył jeszcze raz.

— Ale — odparł winiarz — wówczas trzeba w to wleeeć z głoóó...wą i nogami. Jaaa niicc nie rozuu...miem, mimo że taki staaa...ry, z tego wszyyyyystkiego. Ja muuszę sieeedzieć tutaj, pilnować zasiewów. Zboooooże rośnie i zbooozem się plaaaci. Przeeeeedewszyyystkim trzeba piilnować zbiorów. Trzyyyymają mnie piiiiilne i waaaażne spraaaawy we Froidfond. Nie moooę opuuuścić do-doomu, dla jaaaakichś hocków klocków diabelskich, z któóóórych niicc nie roooozumiem. Powiaaada pan, że poowinienem być

w Paryżu, aby zliiikwiidować, żeby powstrzymaaać bankructwo. Niecee mooooozna byyyć w dwóch miejscach naraz, o ile się nicee jeeest małym ptaszkiem... Iiii...

— Rozumiem pana — wykrzyknął rejent. — No i co, stary druhu, masz pan przyjaciół, starych przyjaciół, gotowych do ofiar dla pana.

„Nuże” — myślał w duchu winiarz — „decydujcie się”.

— I gdyby ktoś pojechał do Paryża, odszukał głównego wierzyciela pańskiego brata, powiedział mu...

— Chwiiiileczkę — przerwał stary. — Gdyby mu powiedział. Co takiego powiedział? Cooooś... coooooś w tyym roodzaju: „Pan Grandet z Saumur niby to, pan Grandet z Saumur niby owo. Kocha sweeeego brata, kooocha sweeeego bratanka. Grandet jest dobry kreeewny, ma najlepsze zaaaa...miary. Dobrze sprzeeedał swoje wino. Nie deklarujcie baaankructwa, zejdzcie się, naaaznaczcie liiikwidatorów. Wtedy Graaandet zoobaczy. O wieceeele więcej dostaniecie likwidując, niiiiż pozwalając, aaby sąądy wtykały swóóój nos... Nieprawdaż, he?”

— Właśnie — rzekł prezydent.

— Bo, widzi pan, panie de Boonfons, trzeeeba się zaaaastanowić, zanim się coś poostanowi. Ktooo nie może, niceee może. W kaźdeej truuudnej sprawie, jeżeli człowiek nicee chce się zrzuujnować, muuusi poznać środki i cięęężary. He, nieprawdaż?

— Oczywiście — rzekł prezydent. — Ja sądzę, że zyskawszy kilka miesięcy, można będzie odkupić wierzytelności za daną sumę i spłacić wszystko w drodze układu. Ha, ha! daleko można psa zaprowadzić, pokazując mu kawał słoniny. O ile nie było deklaracji bankructwa i o ile pan masz tytuły wierzytelności w ręku, stajesz się biały jak śnieg.

— Jaaak śnieg — powtórzył Grandet, robiąc znów trąbkę z dłoni. — Nie rozuuumiem tego śniegu.

— Niechże pan więc słucha — wykrzyknął prezydent.

— Słuuucham.

— Oblig to jest towar, który może stać wyżej albo niżej. To wypływa z teorii Jeremiasza Benthama o lichwie. Publicysta ten dowiódł, że przesąd, który okrywa hańbą lichwiarzy, jest głupstwem.

— Eeee — rzekł stary.

— Zważywszy że, w zasadzie, wedle Benthama, pieniądz jest towarem, i że to, co przedstawia pieniądz, staje się również towarem — ciągnął prezydent. — Zważywszy, iż stwierdzone jest, że podlegając zwykłym fluktuacjom oddziałującym na obroty handlowe, towar-weksel, noszący taki a taki podpis, znajduje się — tak samo jak taki a taki artykuł — obficie lub skąpo na rynku, że jest drogi lub spada do zera, trybunał orzeka... (co ja za głupstwa mówię, przepraszam) jestem zdania, że może pan wykupić swego brata po dwadzieścia pięć od stu.

— I móóówi pan, że to Je...je...jeremiasz Ben...

— Bentham, Anglik.

— Ten Jeremiasz oszczędzi nam wielu lamentacji w interesach — rzekł rejent, śmiejąc się.

— Ci Anglicy mają czaasami ro...rozum, czuć to — rzekł Grandet. — Tak więcęć, wedle Ben...Ben...Benthama, jeżeli obligi mego brata sąą warte... nie są nic warte. Tak. Dobrze mówię, nieprawdaż? To mi się wydaje jasne... Wierzyciele byliby... Nie, nie byliby... Ro...ro...zumiem.

— Niech mi pan pozwoli wytłumaczyć sobie to wszystko — rzekł prezydent. — Wedle prawa, jeżeli pan posiadasz tytuły wszystkich wierzytelności firmy Grandet, pański brat lub jego spadkobiercy nie są nic nikomu winni. Dobrze.

— Dobrze — powtórzył stary.

— Wedle sprawiedliwości, jeżeli obligi pańskiego brata negocjuje się (negocjuje się, rozumie pan ten termin?) na rynku po tyle a tyle straty, jeżeli ktoś z pańskich przyjaciół będzie tam, jeżeli je odkupi, to wobec tego, że wierzycieli nikt gwałtem nie zmuszał do odstąpienia ich, spadek po nieboszczyku Grandet z Paryża jest rzetelnie czysty.

— To prawda, interes to interes — rzekł bednarz. — Przyyyjawszy to za pewnik... Bądź co bądź, rozumie pan, że tooo jest truuudne. Jaaa nie mam pieeeniędzy ani czaasuu, ani...

— Tak, nie może się pan ruszyć z domu. Więc dobrze, ja się podejmuję jechać do Paryża (zwróci mi pan koszty podróży, to drobiazg). Pójdę do wierzycieli, pogadam z nimi, ułożę się i wszystko się załatwi kosztem nadwyżki, którą pan dołoży do aktów likwidacji, aby wejść w prawa wierzycieli.

— Zoobaczymy, ja nieee chcę, ja nieee mogę się zobowiązywać, zaaanim... Kto nieee może, nie moooże. Rozumie pan.

— Słusznie.

— Głooowa mi pęcęcka od tego, coś mi pan natraaajlował. Pieeerwszy raz w życiu trzeeba mi myśleć o takich...

— Tak, pan nie jest prawnik.

— Ja jeeestem biedny wiiniarz i nie rozuuumiem nic z tego, co pan mi nagadał, muuuszę to rooozważyć.

— Więc tak! — rzekł prezydent, wstając, aby zakończyć dyskusję.

— Ależ, mój drogi... — rzekł rejent, przerywając prezydentowi tonem wyrzutu.

— Co, stryju? — rzekł prezydent.

— Pozwólże panu Grandet wyjaśnić swoje zamiary. Chodzi w tej chwili o ważne pełnomocnictwo. Kochany pan Grandet musi określić...

Uderzenie młotka, które oznajmiło rodzinę des Grassins, ich wejście, przywitania, nie pozwoliły panu Cruchot dokończyć. Rejent rad był z tej przeszkody; już Grandet patrzył na niego koso, już narodziła się burza. Ale po pierwsze roztropny rejent nie uważał za właściwe, aby prezydent trybunału pierwszej instancji udawał się do Paryża po to, aby skłonić do układów wierzycieli i maczać palce w szachrajstwie naruszającym prawidła ścisłej uczciwości; następnie nie słysząc z ust starego Grandet najmniejszej intencji zapłacenia jakiegokolwiek kwoty, drżał instynktownie przed tym, aby bratanek wmieszał się w tę sprawę. Skorzystał więc z chwili, w której weszli państwo des Grassins, aby wziąć prezydenta za łokieć i odciągnąć go do okna.

— Dostyc już okazałeś dobrych chęci, mój chłopcze, ale dostyc tych poświęceń się. Apetyt na to małżeństwo zaślepią cię. Tam do licha, nie trzeba wyjmować kasztanów z ognia. Pozwól mnie teraz prowadzić grę, pomagaj mi tylko. Czy to twoja rola narażać swoją godność sędziowską w podobnej...

Nie dokończył, słyszał jak des Grassins powiedział do starego bednarza, podając mu rękę:

— Panie Grandet, dowiedzieliśmy się o straszliwym nieszczęściu, jakie dotknęło twoją rodzinę, o klęsce firmy Wilhelma Grandet i o śmierci twego brata; przychodzimy, aby ci wyrazić serdeczny udział, jaki bierzemy w tym smutnym wypadku.

— Nie ma innego nieszczęścia — przerwał rejent — jak tylko śmierć młodszego pana Grandet. A i to nie zabiłby się, gdyby mu przyszło na myśl prosić brata o pomoc. Nasz stary przyjaciel, który honor ceni ponad wszystko, ma nadzieję zlikwidować długi firmy Grandet w Paryżu. Mój bratanek prezydent, chcąc mu oszczędzić kłopotów sprawy czysto sądowej, ofiaruje się jechać natychmiast do Paryża, aby rokować z wierzycielami i zaspokoić ich należycie.

Słowa te, potwierdzone zachowaniem się winiarza, gładzącego sobie podbródek, zdumiały bardzo troje des Grassins, którzy przez drogę wymyślali co wlezie na skąpstwo Grandeta, obwiniając go prawie o bratobójstwo.

— Ha, wiedziałem! — wykrzyknął bankier, patrząc na żonę. — Co ja ci mówiłem w drodze, żonusiu? Grandet ceni honor ponad wszystko, nie ścierpi, aby nazwisko jego ucierpiało bodaj najlżejszą plamkę. Pieniądz bez honoru to choroba. Umieją cenić honor na prowincji. To ładnie, bardzo ładnie, Grandet. Jestem stary żołnierz, nie umiem ukrywać swoich myśli, mówię prosto z mostu: to jest, do kroćset bomb, wspaniałe!

— W taaa...kim razie wspaaa...aniałość jest baaar...dzo droga — odparł stary lis, gdy bankier ścisnął mu gorąco dłoń.

— Ale to wszystko, mój dobry Grandet, niech mi daruje pan prezydent, to jest rzecz czysto handlowa i wymaga doświadczonego pośrednika. Czyż nie trzeba się znać na rachunkach, splatach, procentach? Ja wybieram się do Paryża za swoimi sprawami i mógłbym się podjąć...

— Postaaa...aramy się ułożyć wszystko między sobą w odpowiednich proooporcjach, nie zobowiązuując się do rzeczy, których nie chciaaaalbym się po...podjąć — rzekł Gran-

det, jękając się. — Bo widzi pan, pan prezydent żądał ode mnie oczywiście zwrotu kosztów podróży.

Przy ostatnich słowach stary lis już się nie jękał.

— Ech — rzekła pani des Grassins — to czysta przyjemność być w Paryżu. Ja bym chętnie dopłaciła, żeby tam jechać.

Dała znak mężowi, jakby zachęcając go, aby za wszelką cenę zdmuchnął tę misję swoim przeciwnikom; po czym spojrzała bardzo ironicznie na dwóch Cruchot, którzy zrobili głupie miny. Grandet ujął wówczas bankiera za guzik i pociągnął go w kąt.

— Miałbym większe zaufanie do pana niż do prezydenta — rzekł. — Przy tym jest jeszcze pewna drobnostka — dodał, ruszając nosem. — Chcę kupić rentę, mam parę tysięcy franków renty do kupienia, ale nie chcę dać więcej niż po osiemdziesiąt. Powiadają, że ta historia spada z końcem miesiąca. Czy pan się znasz na tym?

— Pytanie! Zatem będę miał kilka tysięcy franków renty do kupienia dla pana?

— Niewiele na początek. Ale sza. Chcę rozegrać tę partię tak, aby nikt nic nie wiedział. Dobije pan za mnie targu pod koniec miesiąca, ale niech pan nic nie mówi panom Cruchot, to by ich boleło. Skoro pan jedzie do Paryża, rozejrzemy się równocześnie w interesach mego biednego bratanka, zobaczymy, co w trawie piszczy.

— Doskonale. Pojadę jutro pocztą — rzekł głośno des Grassins. — I przyjdę prosić pana o ostatnie instrukcje o... o której godzinie?

— O piątej, przed obiadem — rzekł winiarz, zacierając ręce.

Dwa stronnictwa stały jeszcze jakiś czas naprzeciw siebie. Po pauzie des Grassins rzekł, uderzając Grandeta po ramieniu:

— Dobrze jest mieć takich zacnych krewnych jak pan...

— Tak, tak, choć tego nie znać — odparł Grandet. — Ja jestem doobry krewny. Koo...chałem brata i dowiodę tego, jeeeżeli to nic nie będzie kosztowało...

— Pożegnamy cię już, Grandet — rzekł bankier, przerywając szczęśliwie, nim stary dokończył zdanie. — Skoro przyspieszam wyjazd, muszę uporządkować trochę swoje sprawy.

— Dobrze, dobrze. I ja w zwiąaaa..zku z tym, co pan wiesz, usunę się do mojej saaa...ali obrad, jak powiada prezydent Cruchot.

„Tam do licha, nie jestem już panem de Bonfons” — pomyślał smutno prawnik, którego twarz przybrała wyraz twarzy sędziego znudzonego rozprawą.

Głowy dwóch współzawodniczących rodzin wyszły razem. Ani jedni, ani drudzy nie myśleli już o zdradzie, jakiej dopuścił się tego rana Grandet wobec klanu winiarzy; badali się nawzajem, ale na próżno, aby przeniknąć, co myślą o prawdziwych zamiarach starego lisa w obecnej sprawie.

— Idzie pan z nami do pani d'Orsonval? — rzekł des Grassins do rejenta.

— Przyjdziemy później — odparł prezydent. — Jeżeli stryj pozwoli, przyrzekłem złożyć małą wizytkę pani de Gribeaucourt, pójdziemy tam najpierw.

— Do widzenia zatem, panowie — rzekła pani des Grassins.

Kiedy rodzina des Grassins znalazła się o kilka kroków od Cruchotów, Adolf rzekł:

— Jadą na całego, co?

— Cicho, Adolfie — rzekła matka. — Mogą jeszcze usłyszeć. Zresztą, to nie jest wyrażenie w dobrym guście, zanadto trąci knajpą.

— I cóż, stryju — wykrzyknął sędzia, ujrzawszy, że państwo des Grassins są daleko. — Zaczęło się od tego, że byłem panem de Bonfons, a skończyłem jako zwykły Cruchot.

— Widziałem, że cię to obeszło, ale wiatr był na korzyść tych des Grassins. Czyżbyś ty był głupi przy całym swoim rozumie? Pozwól im jechać na wiarę owego „zobaczymy” starego Grandet i siedź spokojnie, chłopcze: Eugenia będzie i tak twoją.

W kilka chwil wiadomość o wspaniałomyślnym postanowieniu Grandeta rozeszła się w trzech domach naraz: całe miasto rozbrzmiewało już tylko owym braterskim poświęceniem. Wszyscy przebaczyli Grandetowi jego sprzedaż, dokonaną kosztem dobrej wiary winiarza; podziwiano jego honor, sławiąc wspaniałomyślność, której nie podejrzewano u niego. Jest we francuskiej naturze entuzjasmować się, irytować, zapalać do bohaterów chwili, do przepływającego obłoku aktualności. Istoty zbiorowe, ludy bytyżby pozbawione pamięci?

Kiedy stary Grandet zamknął drzwi, zawołał Nanon.

— Nie puszczaj psa i nie kładź się, mamy robotę. O jedenastej Cornoiller ma się znaleźć pod bramą z berlinką z Froidfond. Nadsluchuj dobrze, tak, aby nie potrzebował pukać i powiedz mu, żeby wszedł po prostu. Ustawy policyjne zabraniają nocnych hałasów. Zresztą nie trzeba, aby w sąsiedztwie wiadano, że ja wybieram się w drogę.

To rzekłszy, Grandet udał się do swego laboratorium, gdzie Nanon słyszała go, jak się kręcił, szperał, chodził, krążył, ale ostrożnie. Nie chciał widocznie obudzić żony ani córki, a zwłaszcza nie chciał budzić ciekawości swego bratanka, którego przeklinał, widząc światło w jego pokoju. W nocy Eugenii, pochłoniętej kuzynem, zdawało się, że słyszy jęk umierającego, a dla niej ten umierający to był Karol: pożegnała go tak bladym, tak zrozpaczonym, że może się zabił. W jednej chwili narzuciła jakąś kapotkę z kapturkiem i chciała wyjść. Z początku żywe światło, które przechodziło przez szczeliny jego drzwi, obudziło w niej obawę ognia; niebawem uspokoiła się, słysząc ciężkie kroki Nanon i głos jej zmieszany z rżeniem kilku koni.

— Czyżby ojciec wywoził Karola? — powiadała sobie, uchylając drzwi dość ostrożnie, aby nie skrzypiały, ale tak, aby mogła widzieć wszystko, co się dzieje w korytarzu.

Naraz oko jej spotkało się z okiem ojca, którego spojrzenie, mimo że dalekie i obojętne, zmroziło ją lękiem. Stary lis i Nanon połączeni byli wielkim drągiem, którego każdy koniec spoczywał na ramieniu jednego z nich; u tego drąga wisiał sznur, do którego przywiązana była barylka podobna do tych, jakie stary Grandet robił dla zabawy w swojej piekarni w chwilach bezczynności.

— Panno Najświętsza, proszę pana, ależ ciężkie! — rzekła cicho Nanon.

— Co za nieszczęście, że to tylko groszaki — odparł stary. — Uważaj, abyś nie zawadziła o świecznik.

Scenę tę oświecała jedna lojówka, umieszczona między balaskami poręczy.

— Cornoiller — rzekł Grandet do swego gajowego *in partibus* — czy wzięłeś pistolety?

— Nie, proszę pana. Dalibóg, tak się pan boi o swoje groszaki?

— Och, nie — rzekł Grandet.

— Zresztą pojedziemy prędko — odparł gajowy. — Pańscy dzierżawcy dali dla pana najlepsze konie.

— Dobrze, dobrze. Nie mówiłeś im, dokąd jedziemy?

— Sam nie wiedziałem.

— Dobrze. A powóz mocny?

— Pyta się pan? Och, udźwignąłby trzy tysiące. Cóż to waży, te pańskie beczulki!

— Et — rzekła Nanon. — Ja dobrze wiem. Jest tego blisko...

— Będziesz ty cicho, Nanon. Żonie powiesz, że wyjechałem na wieś. Wrócę na obiad. Jedź dobrze, Cornoiller, trzeba być w Angers przed dziewiątą.

Koczobryk ruszył. Nanon zaryglowała bramę, spuściła psa, położyła się z siniakiem na ramieniu i nikt w sąsiedztwie nie domyślał się ani wyjazdu Grandeta, ani celu jego podróży. Ostrożność starego była idealna. Nikt nigdy nie widział grosza w tym domu pełnym złota. Dowiedziawszy się tego rana z rozmów w porcie, że złoto podwoiło wartość wskutek zbrojeń podjętych w Nantes i że przybyli do Angers spekulanci, aby je skupować, stary winiarz przez proste pożyczanie koni u swoich dzierżawców mógł udać się do miasta, aby sprzedać swoje złoto i wrócić z obligacjami skarbowymi na sumę opiewającą na kupienie renty, zwiększwszy tę sumę przez *agio*<sup>14</sup>.

— Ojciec wyjeżdża! — powiedziała Eugenia, która słyszała wszystko z góry.

Cisza zapanowała w domu, odległy turkot bryki, ginący stopniowo, nie dochodził już do uszkiego Saumur. W tej chwili Eugenia usłyszała w swoim sercu, zanim ją usłyszała uszami, skargę, która przebiła ściany i która wychodziła z pokoju kuzyna. Smuga światła, wąska jak ostrze noża, przechodziła przez szczelinę drzwi i przecinała poziomo poręcz starych schodów.

— Cierpi — mówiła sobie, wstępując o dwa stopnie wyżej.

Drugi jęk ściągnął ją pod drzwi. Drzwi były uchylone, pchnęła je. Karol spał z głową zwieszoną poza stary fotel; ręka, z której wypadło pióro, dotykała prawie ziemi. Przery-

<sup>14</sup>*agio* — różnica pomiędzy wartością nominalną i wartością realną. [przypis edytorski]



wany oddech, spowodowany pozycją młodego człowieka, przeraził Eugenię, która weszła szybko.

— Musi być zmęczony — rzekła sobie, widząc z dziesięć zapieczętowanych listów, na których przeczytała adresy: *Do panów Farry, Breilman i Sp., powoźników. — Do pana Buissons, krawca, etc.*

„Uporządkował z pewnością wszystkie swoje sprawy, aby móc niebawem opuścić Francję” — pomyślała.

Oczy jej padły na dwa otwarte listy. Słowa, od których zaczynał się jeden: „Droga Anetko...” przyprawiły ją o omdlenie. Serce jej zaczęło bić, nogi przyrosły do podłogi.

„Jego droga Anetka! Kocha ją, jest kochany! Żadnej nadziei! Co on jej pisze?”

Te myśli przeszły jej głowę i serce. Czytała te słowa wszędzie, nawet na podłodze, głoskami z płomienia.

„Już się go wyrzec! Nie, nie przeczytam tego listu. Trzeba odejść. A gdybym przeczytała?”

Popatrzyła na Karola, ujęła lekko jego głowę, złożyła ją na grzbiecie fotela; on poddawał się jak dziecko, które nawet we śnie poznaje matkę i nie budząc się, przyjmuje jej opiekę i jej pocałunki. Jak matka Eugenia podniosła zwisającą rękę i jak matka pocałowała łagodnie włosy. „Droga Anetko!...” — Szatan krzyczał jej w ucho te słowa:

— Wiem, że może robię źle, ale przeczytam ten list — rzekła.

Eugenia odwróciła głowę, jej szlachetna uczciwość szemrała. Pierwszy raz w życiu dobro i zło starło się w jej sercu. Dotąd nie potrzebowała się rumienić za żaden uczynek. Namietność i ciekawość porwały ją. Z każdym zdaniem serce jej wzbierało bardziej, a piekący żar, który ożywia ją podczas tej lektury, uczynił jej tym bardziej łakomymi rozkosze pierwszej miłości.

„Droga Anetko, nic nie mogłoby nas rozłączyć poza tym nieszczęściem, które zważyło się na mnie i którego żaden rozum ludzki nie mógł przewidzieć. Ojciec mój zabił się; jego i mój majątek całkowicie przepadły. Jestem sierotą w wieku, w którym przy moim wychowaniu mogę uchodzić za dziecko; mimo to muszę się podnieść jak mężczyzna z przepaści, w którą runąłem. Obróciłem część tej nocy na zrobienie rachunków. Jeżeli chcę opuścić Francję jako uczciwy człowiek — a co do tego nie ma wątpliwości — nie mam dla siebie ani stu franków, aby z nimi próbować szczęścia w Indiach lub w Ameryce. Tak, droga Anetko, pojedę szukać szczęścia w klimatach najbardziej morderczych; pod takim niebem fortuna jest szybka i pewna, jak mnie zapewniają. Nie potrafiłbym zostać w Paryżu. Ani moja dusza, ani moja twarz nie nawykły do znoszenia afrontów, chłodu, wzgardy, jakie czekają człowieka zrujnowanego, syna bankruta. Dobry Boże! być dłużnym dwa miliony?... Zginąłbym w pojedynku w ciągu tygodnia. Toteż nie wrócę tam. Twoja miłość, najtkliwsza, najbardziej oddana, jaka kiedykolwiek uszlachetniła serce mężczyzny, nie zdołałaby mnie tam ściągnąć. Niestety, moja ukochana, nie mam dość pieniędzy na to, aby się udać tam gdzie ty jesteś, przyjmując twój ostatni pocałunek, z którego zaczerpnąłbym siły potrzebnej dla mego zamiaru...”

— Biedny Karol, dobrze zrobiłam, że przeczytałam. Mam złoto, dam mu je — rzekła Eugenia.

Otarłszy kilka łez, czytała dalej.

„Nie pomyślałem jeszcze o nieszczęściach nędzy. O ile znajdę sto ludwików nieodzownych na podróż, nie będę miał ani grosza na ładunek towaru. Ale nie, nie będę miał ani stu ludwików, ani jednego ludwika; będę wiedział, ile mi zostało pieniędzy dopiero po uregulowaniu swoich długów w Paryżu. Jeśli nie będę miał nic, pojedę spokojnie do Nantes, zaciągnę się jako prosty majtek i zacznę tak, jak zaczynali ludzie z charakterem, którzy za młodu nie mieli ani grosza, a którzy wrócili z Indii bogaczami. Od dziś rana spokojnie przyglądam się swojej przyszłości. Jest ona okropniejsza dla mnie niż dla

kogokolwiek innego; dla mnie, pieszczonego przez matkę, która mnie ubóstwiała; kochanego przez najlepszego ojca i obdarzonego na wstępie w świat miłością takiej Anny! Poznałem tylko kwiaty życia; to szczęście nie mogło trwać. Mam wszelako, droga Aneto, więcej odwagi, niż można się jej było spodziewać po lekkomyślnym chłopcu, nawykłym do pieszczot najrozkoszniejszej kobiety w Paryżu, kołysanym słodyczami życia rodzinnego, któremu wszystko uśmiechało się w domu i którego zachcenia były dla ojca prawem... Och, mój ojciec, Anetko, nie żyje... Więc tak, zastanowiłem się nad swoim położeniem, zastanowiłem się nad twoim także. Bardzo się postarzałem w ciągu tej doby. Droga Anno, gdybyś — chcąc mnie zatrzymać przy sobie w Paryżu — poświęciła wszystkie słodycze twego zbytku, twoją toaletę, twoją łóżkę w Operze, jeszcze nie doszlibyśmy do cyfry wydatków koniecznych dla mego lekkomyślnego życia; nie mógłbym zresztą przyjąć takiego poświęcenia. Rozstajemy się więc dziś na zawsze...”

— Porzuca ją, Panno Najświętsza! Co za szczęście!

Eugenia skoczyła z radości. Karol uczynił ruch, dreszcz ją przebiegł ze zgrozy; szczęśliwie dla niej, nie obudził się. Czytała dalej:

„Kiedy wrócę? Nie wiem. W klimacie Indii Europejczyk szybko się starzeje, zwłaszcza Europejczyk, który pracuje. Powiedzmy, za dziesięć lat. Za dziesięć lat twoja córka będzie miała lat osiemnaście, będzie twoją towarzyszką, twoim szpiegiem. Świat będzie dla ciebie okrutny, córka może bardziej jeszcze. Widzieliśmy przykłady takich okrucieństw świata i niewdzięczności młodych dziewcząt; umiejmy z nich skorzystać. Zachowaj w głębi swej duszy — jak ja zachowam w mojej — wspomnienie tych czterech lat szczęścia i pozostań wierna, jeśli zdołasz, swemu biednemu kochankowi. Nie mogę wszelako tego wymagać, bo widzisz, droga Anetko, muszę się dostroić do swego położenia, patrzeć po mieszczańsku na życie, obliczać je najrealniej. Zatem muszę myśleć o małżeństwie, które staje się koniecznością mego nowego położenia; i wyznam ci, że znalazłem tutaj w Saumur u mego stryja kuzynkę, której wzięcie, fizjognomia, umysł i serce spodobałyby ci się, i która poza tym wydaje się...”

— Musiał być bardzo zmęczony, skoro przestał do niej pisać — rzekła sobie Eugenia, widząc, że list urywa się w połowie zdania.

Usprawiedliwiła go! Czyż było możliwe, aby niewinna dziewczyna spostrzegła chłód wiążący z tego listu? Dla młodych panien wychowanych religijnie, nieświadomych i czystych, wszystko jest miłością, gdy stąpią nogą w zakłętą strefie miłości. Kroczą tam otoczone niebiańskim światłem, które promieniuje ich dusza i które tryska na ukochanego: barwią go ogniami własnego uczucia i używają mu swoich pięknych myśli.

Błędy kobiety płyną prawie zawsze z jej wiary w dobro lub z jej ufności w prawdę. Dla Eugenii te słowa: „Aneto moja ukochana” brzmiały w sercu jak najpiękniejszy język miłości i pieściły jej duszę tak jak w dzieciństwie boskie nuty *Venite adoremus* powtarzane przez organy pieściły jej ucho. Zresztą lzy wilżące jeszcze oczy Karola mówiły jej o wszystkich szlachetnościach serca, jakie muszą urzec młodą dziewczynę. Czy mogła wiedzieć, że, jeżeli Karol kochał ojca i płakał po nim tak szczerze, czułość ta płynęła nie tyle z dobroci jego serca, ile z dobroci ojcowskiej? Państwo Wilhelmwie Grandet, zaspakajając zawsze kaprysy swego syna, dając mu wszystkie rozkosze majątku, nie dali mu okazji do okropnych rachub, jakimi — mniej lub więcej — kala się w Paryżu większość dzieci, kiedy w obliczu paryskiego użycia żywią pragnienia i tworzą plany zawsze opóźnione przez fakt życia ich rodziców. Hojność ojca posiała więc w sercu syna miłość synowską, szczerą, bez ukrytej myśli.

Mimo to Karol był dzieckiem Paryża; obyczaj paryskie, sama Anetka, przyzwyczyły go obliczać wszystko; był już starcem przy młodej twarzy. Otrzymał owo przerażające wychowanie tego świata, gdzie w ciągu jednego wieczoru spełnia się w myśli i w słowach więcej zbrodni niż trybunały karzą ich swymi wyrokami; gdzie dowcipne słówka mordują największe idee, gdzie człowiek uchodzi za silnego jedynie o tyle, o ile *patrzy trzeźwo*,

a patrzeć trzeźwo znaczy nie wierzyć w nic, ani w uczucia, ani w ludzi, ani nawet w wypadki, gdyż robi się tam fałszywe wypadki. Tam, aby widzieć trzeźwo, trzeba ważyć co rano sakiewkę przyjaciela; umieć się — biorąc politycznie — postawić ponad wszystko, co się dzieje; zasadniczo nic nie podziwiać, ani dzieł sztuki, ani szlachetnych postępów i czynić interes osobisty sprężyną wszelkiej rzeczy.

Po tysiącu szaleństw wielka dama, piękna Aneta, zmusiła Karola, aby myślał poważnie; mówiła mu o jego przyszłej pozycji, zanurzając mu we włosy pachnącą dłoń; poprawiając mu pukiel włosów, robiła z nim rachunek życia, feminizowała go i materializowała. Podwójne zepsucie, ale zepsucie wytworne i subtelne, w dobrym smaku.

— Głuptasek z ciebie, Karolu — mówiła. — Ciężko mi będzie nauczyć cię życia. Bardzo źle zachowałeś się wczoraj z panem des Lupeaux. Ja wiem, że to jest człowiek wątpliwej wartości, ale poczekaj, aż straci wpływ, wówczas będziesz mógł nim pogardzić do syta. Czy wiesz, co nam mówiła pani Campan? „Moje dzieci, dopóki człowiek jest ministrem, uwielbiajcie go; gdy upadnie, pomóżcie go wlec na śmietnik. Póki jest potężny, jest bogiem; gdy upadnie, jest poniżej Marata w rynsztoku, bo żyje, a Marat umarł. Życie jest szeregiem kombinacji; trzeba je badać, śledzić, aby zachować zawsze korzystną pozycję”.

Karol był człowiekiem zanadto modnym, zanadto psutym przez rodziców, zbyt pieszczonym przez świat, aby mieć wzniosłe uczucia. Ziarno złota, jakie włożyła mu w serce matka, rozpląszczyło się w fabryce paryskiej; używał go powierzchownie i musiał je zużyć przez tarcie. Ale Karol miał dopiero dwadzieścia jeden lat. W tym wieku świeżość wydaje się nieodłączna od czystości duszy. Głos, spojrzenie, lica zdają się w harmonii z uczuciami. Toteż najtwardszy sędzia, najsceptyczny adwokat, najbardziej nieużyty lichwiarz wahają się uwierzyć starości serca, plugawym rachubom, kiedy oczy są jeszcze wilgotne i czyste, kiedy nie ma zmarszczek na czole.

Karol nie miał nigdy okazji zastosowania etyki paryskiej i aż do tego dnia był uroczy swym niedoświadczeniem. Ale bez jego wiedzy, egoizm rozsiadł się w jego sercu. Ziarna ekonomii politycznej na użytek paryżan, utajone w jego sercu, niebawem miały w nim zakwitnąć, gdy tylko z beczynnego widza miał się stać aktorem w dramacie rzeczywistego życia.

Prawie wszystkie młode dziewczyny poddają się słodkim wróżbom tych objawów; ale gdyby nawet Eugenia była przezorna i bystra, tak jak bywają niektóre dziewczęta na prowincji, czy mogłaby się mieć na baczności przed swoim kuzynem, kiedy u niego zachowanie, słowa i czyny były jeszcze w zgodzie z natchnieniem serca? Przypadek — nieszczęsny dla niej — pozwolił jej przejąć ostatnie wylewy szczerzej tkliwości mieszkającej w tym młodym sercu i usłyszeć, aby tak rzec, ostatni jęk sumienia. Odłożyła tedy ten list, dla niej pełen miłości, i zaczęła się z lubością przyglądać śpiącemu. Świeże złudzenia życia igrały dla niej jeszcze na tej twarzy; przysięgła sobie, że go będzie kochać wiecznie. Następnie rzuciła oczami na inny list, nie przywiązując wielkiej wagi do tej niedyskrecji: jeśli zaczęła go czytać, to aby zyskać nowy dowód szlachetnych przymiotów, których — podobna do wszystkich kobiet — użyczała swemu wybrańcowi.

„Mój drogi Alfonsie, w chwili, gdy będziesz czytał ten list, ja nie będę miał już przyjaciół; ale wyznaję ci, że wątpiąc o ludziach światowych, nawykłych szafować tym słowem, nie wątpiłem o tobie. Proszę cię zatem o uporządkowanie moich interesów i liczę na ciebie, że mi pomożesz wycisnąć jak najwięcej grosza ze wszystkiego, co posiadam. Musisz już znać moje położenie. Nie mam już nic i chcę jechać do Indii. Napisałem do wszystkich osób, którym — o ile mi wiadomo — jestem coś winien: znajdziesz tu dołączoną listę tak dokładną, jak tylko mogłem ułożyć ją z pamięci. Moja biblioteka, moje meble, powozy, konie, etc. wystarczą, jak sądzę, na zapłacenie moich długów. Pragnę zachować dla siebie jedynie fatalaszki bez wartości, które może mi się przydadzą jako podkład mego ładunku. Mój drogi Alfonsie, posłę ci stąd — celem tej sprzedaży — legalne pełnomocnictwo na wypadek jakichś trudności. Prześlesz mi tutaj całą moją broń. Potem zachowasz dla siebie Britona. Nikt nie zapłaciłby wedle wartości tego cudownego zwierzęcia, wołę ci go ofiarować, niby ów tradycyjny pierścień, jaki umie-

rający zapisuje wykonawcy swego testamentu. Zrobiono dla mnie bardzo wygodny kocyk podróżny u Farry-Breilman i S-ka; ale nie dostarczono mi go; uzyskaj u nich, aby go zatrzymali bez odszkodowania; a gdyby się nie chcieli zgodzić, unikaj wszystkiego, co mogłoby — w położeniu, w jakim się znajduję — narazić moją rzetelność. Winien jestem wyspiarzowi sześć ludwików, przegrałem je u niego, nie omieszkać mu...”

— Drogi Karol — rzekła Eugenia, odkładając list i pomykając drobnymi kroczkami do swego pokoju z zapaloną świecą.

Nie bez uczucia żywej przyjemności otworzyła szufladę starej dębowej komody — jedno z najpiękniejszych dzieł epoki zwanej *Odrodzeniem* — na której widniała jeszcze na wpół zatarta słynna *salamandra królewska*. Wyjęła dużą sakiewkę z czerwonego aksamitu ze złotymi gałkami, dobrze zniszczoną, pochodzącą ze spadku po babce. Następnie zważyła z dumą na ręce tę sakiewkę i z lubością sprawdziła zapomnianą cyfrę skarbczyka. Oddzieliła najpierw dwadzieścia portugalczyków, jeszcze nowych, wybitych za panowania Jana V w r. 1725, wartych obecnie po kursie pięć lizboninów, czyli każdy sto sześćdziesiąt osiem franków osiemdziesiąt cztery centymy, jak jej powiedział ojciec, ale których wartość konwencjonalna wynosiła sto osiemdziesiąt cztery franki, zważywszy rzadkość i piękność tych sztuk, błyszczących jak słońce.

*Item*<sup>15</sup> pięć dukatów genueńskich, też rzadka moneta, warta osiemdziesiąt siedem franków po kursie, ale sto franków dla amatorów złota. Miała je od starego pana La Bertelliere.

*Item* trzy złote kwadruple hiszpańskie Filipa V, bite w roku 1729, podarek pani Gentilet, która, ofiarowując je Eugenii, powtarzała zawsze to samo zdanie: „Ten drogi kanareczek, ten mały żółtodzióbek, wart jest dziewięćdziesiąt osiem franków. Chowaj go dobrze, moje kochanie, to będzie ozdoba twego skarbczyku”.

*Item* — co ojciec jej cenił najwięcej — (złoto w tych sztukach było przeszło dwudziestotrzykaratowe) sto dukatów holenderskich z roku 1756, wartych prawie po trzydzieści franków.

*Item* — wielka osobliwość! — rodzaj medali, szacownych dla skąpców; trzy rupie ze znakiem Wagi i pięć rupii ze znakiem Najświętszej Panny, wszystkie z czystego dwudziestotczterokaratowego złota, wspaniała moneta wielkiego Mogola, sztuka w sztukę wartości po trzydzieści siedem franków czterdzieści centymów na wagę, ale przynajmniej po pięćdziesiąt franków dla znawców, którzy lubią się pieścić złotem.

*Item* napoleon czterdziestofrankowy, otrzymany przedwczoraj i włożony niedbale do czerwonej sakiewki.

Skarb ten zawierał monety nowe, dziewicze, prawdziwe dzieła sztuki, o które stary Grandet pytał się czasem i które lubił oglądać, aby tłumaczyć córce ich swoiste zalety, jak np. piękność obrączki, czystość liter, których kanty jeszcze się nie starły. Ale ona nie myślała ani o tej rzadkości, ani o manii ojca, ani o niebezpieczeństwie, jakie groziło jej za pozbycie się skarbu tak drogiego jej ojcu; nie, myślała tylko o swoim kuzynie i rozumiała w końcu, poza drobną omyłką rachunku, że ma około pięciu tysięcy osmiuset franków w realnych walorach, które sprzedać można by blisko za sześć tysięcy. Na widok tych bogactw zaczęła klaskać w ręce jak dziecko, które musi wyładować nadmiar swej radości w naiwnych gestach.

Tak więc ojciec i córka obliczyli oboje swoje skarby: on, aby sprzedać swoje złoto; Eugenia, aby rzucić swoje w ocean miłości.

Włożyła szacowne sztuki w starą sakiewkę, wzięła ją i poszła bez wahania na górę. Tajemna niedola kuzyna kazała jej zapomnieć o nocy, o konwenansach; zresztą czuła się silna swoim sumieniem, swoim oddaniem, swoim szczęściem. W chwili, gdy się ukazała w progu, Karol obudził się; ujrzał kuzynkę i osłupiał: Eugenia podeszła doń, postawiła lichtarz na stole i rzekła wzruszonym głosem:

— Kuzynie, proszę cię o przebaczenie wielkiego błędu, jakiego dopuściłam się wobec ciebie, ale Bóg mi przebaczy ten grzech, jeśli ty zechcesz go zapomnieć.

— Co się stało? — rzekł Karol, przecierając sobie oczy.

— Przeczytałam te dwa listy.

<sup>15</sup>*item* (łac.) — a także; również. [przypis edytorski]

Karol zaczerwienił się.

— Jak się to stało? — podjęła. — Czemu tu weszłam? Doprawdy, teraz już sama nie wiem. Ale mam pokusę nie żałować zbyt, że przeczytałam te dwa listy, skoro mi objawiły twoje serce, twoją duszę i...

— I co? — spytał Karol.

— I twoje zamiary, konieczność, w jakiej musisz starać się o sumę...

— Droga kuzynko...

— Cyt, cyt, kuzynie, nie tak głośno, nie budźmy nikogo. Oto — rzekła, otwierając sakiewkę — oszczędności biednej dziewczyny, której nie trzeba niczego. Karolu, przyjmij je. Dziś rano nie wiedziałam, co to są pieniądze; ty mnie tego nauczyłeś; to tylko środek, nic więcej. Kuzyn to prawie brat; możesz pożyczyć od swojej siostry.

Eugenia, w równej mierze kobieta jak dziecko, nie przewidziała odmowy, a Karol milczał.

— Jak to, więc odmawiasz? — spytała Eugenia. W głębokiej ciszy słychać niemal było bicie jej serca.

Wahanie Karola upokorzyło ją; ale potrzeba, w jakiej się znajdował, uprzytomniła się jej tym żywiej; przyklekła.

— Nie wstanę dopóki nie weźmiesz tego złota! — rzekła. — Kuzynie, błagam cię, odpowiedz... Niech wiem, czy mnie cenisz, czy jesteś wspaniałomyślny, czy...

Słyszając krzyk tak szlachetnej rozpacz, Karol uronił łzę na rękę kuzynki, którą przytrzymał, aby jej nie dać ukłęknać. Czując tę gorącą łzę, Eugenia porwała sakiewkę i wysypała ją na stół.

— Więc tak, prawda? — rzekła, płacząc z radości. — Nie bój się nic, Karolu, będziesz bogaty. To złoto przyniesie ci szczęście, kiedyś mi je oddasz; zresztą, zrobimy spółkę, zgodzę się na wszystkie warunki, jakie mi nałożysz. Ale nie powinienes przykładać takiej wagi do tego daru.

Karol mógł wreszcie wyrazić swoje uczucia.

— Tak, Eugenio, byłbym bardzo małoduszny, gdybym nie przyjął. Ale nic darmo, ufność za ufność.

— Czego żądasz? — spytała przestraszona.

— Słuchaj, droga kuzynko, mam tutaj...

Przerwał, aby pokazać na komodzie kwadratową szkatułkę w skórzanym futerał.

— Tam, widzisz, mam rzecz, która mi jest równie cenna jak życie. Ta szkatulka to dar mojej matki. Od dziś rana myślałem, że gdyby ona mogła wstać z grobu, sprzedałaby sama złoto, które czułość jej strwoiła na ten neseser; ale gdybym ja to zrobił, miałbym uczucie świętokradztwa.

Przy tych słowach Eugenia ścisnęła konwulsyjnie rękę kuzyna.

— Nie — ciągnął po lekkiej pauzie, podczas której patrzyli na siebie wilgotnymi oczami. — Nie chcę jej ani niszczyć, ani narażać jej w moich podróżach. Droga Eugenio, ty przyjmiesz ją w depozyt. Nigdy przyjaciel nie powierzył czegoś równie świętego przyjacielowi. Osądź sama.

Wziął szkatułkę, wyjął ją z futerału i ze smutkiem pokazał oczarowanej kuzynce neseser, którego robota dawała złotu cenę o wiele wyższą niż jego waga.

— To, co podziwiasz, to nic — rzekł, naciskając sprężynę, która odsłoniła drugie dno. — Oto, co dla mnie warte jest tyle, co cała ziemia.

Wydobył dwa portrety, dwa arcydzieła pani Mirbel, bogato oprawiane w perły.

— Och, piękna osoba, czy to nie ta pani, do której pis...

— Nie — rzekł z uśmiechem. — Ta pani to moja matka, a to mój ojciec; twój stryj i twoja stryjenka. Eugenio, powinienem cię błagać na kolanach o przechowanie tego skarbu. Gdybym zginął i stracił twój mająteczek, to złoto wynagrodzi ci stratę, a tobie jednej mogę zostawić te dwa portrety, ty jesteś godna przechować to; ale zniszcz je, aby po tobie nie dostały się w inne ręce...

Eugenia milczała.

— Więc tak, zgadzasz się, prawda? — dodał przymilnie.

Słyszając te same słowa, które ona powiedziała kuzynowi, rzuciła mu pierwsze spojrzenie kochającej kobiety, jedno z owych spojrzeń, w których jest prawie tyleż zalotności, co głębi. On ujął jej rękę i ucałował ją.

— Aniele czystości, to nasza tajemnica, nieprawdaż?... Pieniądz nie będzie nigdy dla nas niczym. Uczucie, które robi z niego coś, będzie odtąd wszystkim.

— Podobny jesteś do matki. Czy miała głos taki słodki jak ty?

— Och, o wiele słodszy...

— Tak, dla ciebie — rzekła, spuszczać oczy. — No, Karolu, połóż się, ja tak chcę, jesteś zmęczony. Do jutra.

Wysunęła łagodnie rękę z rąk kuzyna, który ją odprowadził, świecąc jej. Kiedy znaleźli się na progu, rzekł:

— Ach! Czemuż jestem zrujnowany!

— Och, mój ojciec jest bogaty, zdaje mi się — odparła.

— Biedne dziecko — rzekł Karol, cofając się do pokoju i opierając się o ścianę. — Nie dałby mojemu ojcu umrzeć, nie trzymałby cię w takiej nędzy, żyłby inaczej.

— Ale ojciec ma Froidfond.

— Co warte jest Froidfond?

— Nie wiem, ale ma Noyers.

— Jakiś lichy folwarczek.

— Ma winnice i łąki...

— Nędza! — rzekł Karol wzgardliwie. — Gdyby ojciec twój miał bodaj dwadzieścia cztery tysiące funtów renty, czy mieszkałabyś w tym pokoju zimnym i nagim? — dodał, stawiając nogę na progu. — Tam będą moje skarby — rzekł, pokazując stary mebel, aby osłonić swoją myśl.

— Idź spać — rzekła, nie pozwalając mu wejść do pokoju będącego w nieładzie.

Karol cofnął się, powiedzieli sobie dobranoc uśmiechem.

Oboje zasnęli z tymi samymi snami, a Karol rzucił od tego czasu na swoją żalobę parę róż. Nazajutrz rano pani Grandet ujrzała, że córka przechadza się przed śniadaniem z Karolem. Młody człowiek był jeszcze smutny, jak musi być smutny nieszczęśliwy rozbitek, który spadł, można rzec, na dno zgrzyzot i który mierzając głębię przepaści, w jaką runął, uczył całe brzemie swego przyszłego życia.

— Ojciec wróci dopiero na obiad — rzekła Eugenia, widząc niepokój malujący się na twarzy matki.

Łatwo można było poznać z zachowania się Eugenii, z twarzy jej i z osobliwej słodyczy, jakiej nabrał jej głos, harmonię myśli między nią a kuzynem. Dusze ich poślubiły się żarliwie, zanim może nawet zmierzyły siłę uczuć łączących je z sobą. Karol został w salli, uszanowano jego melancholię. Wszystkie trzy kobiety miały swoje zajęcia. Ponieważ Grandet zapomniał o interesach, przyszło dosyć dużo ludzi. Dekarz, blacharz, murarz, wyrobnicy, cieśla, strażnicy, dzierżawcy — jedni, aby się ugodzić o naprawki, drudzy, aby płacić czynsz lub pobrać pieniądze. Pani Grandet i Eugenia musiały więc krzątać się, odpowiadać na niekończące się gadaniny robotników i wieśniaków. Nanon odbierała daniny w kuchni. Czekala zawsze na rozkazy pana, aby wiedzieć, co ma chować na dom, a co sprzedać na targu. Zwyczajem starego — jak wielu szlachciurów wiejskich — było wypijać swoje liche wino i zjadać zepsute owoce.

Około piątej wieczorem Grandet wrócił z Angers, spieniężywszy dobrze swoje złoto i mając w pugilaresie przekazy oprocentowane aż do chwili, w której kupi swoją rentę. Zostawił Cornoillera w Angers, aby opatrzył konie wpół ochwacone i aby je odprowadził wolno, dawszy im wypocząć.

— Wracam z Angers, żono — rzekł. — Głodny jestem.

Nanon krzyknęła z kuchni:

— Czy pan nic nie jadł od wczoraj?

— Nic — odparł stary.

Nanon przyniosła zupę. Des Grassins przyszedł po zlecenia klienta w chwili, gdy rodzina była przy stole. Stary Grandet nie zauważył nawet bratanka.

— Jedz spokojnie, Grandet — rzekł bankier. — Pogadamy. Czy wiesz pan, co warte jest złoto w Angers, dokąd zjechali bankierzy, aby je kupić dla Nantes? Posyłam tam złoto.

— Nie posyłaj pan — rzekł stary. — Już go mają dosyć. Jesteśmy zbyt dobrzy przyjaciele, abym panu nie miał oszczędzić straty czasu.

— Ależ złoto tam stoi po trzysta pięćdziesiąt.

— Powiedz: stało.

— Skądże, u licha, się tam wzięło?

— Jeździłem dziś w nocy do Angers — odparł Grandet z cicha.

Bankier zadrżał ze zdziwienia. Następnie zaczęli na ucho rozmowę, podczas której des Grassins i Grandet spojrzeli kilka razy na Karola. W chwili, gdy widocznie stary bednarz mówił do bankiera, aby mu kupił sto tysięcy franków renty, des Grassins uczynił gest zdumienia.

— Panie Grandet — rzekł do Karola. — Jadę do Paryża, gdyby Pan miał jakie zlecenia...

— Nie mam żadnych. Dziękuję panu.

— Podziękuj serdeczniej, mój bratanku. Pan jedzie, aby uładzić interesy firmy Wilhelm Grandet.

— Byłaby jakaś nadzieja? — spytał Karol.

— Ha! — wykrzyknął bednarz z dobrze odegraną dumą. — Alboż nie jesteś moim bratankiem? Twój honor jest naszym. Czy nie nazywasz się Grandet?

Karol wstał, objął starego, uściśnął go, zbladł i wyszedł. Eugenia patrzyła na ojca z uwielbieniem.

— No, bywaj zdrow, mój stary des Grassins, miej się dobrze i potańcuj z tymi ludźmi, jak należy.

Dwaj dyplomaci uściśnęli sobie ręce, eks-bednarz odprowadził bankiera do drzwi, po czym zamknąwszy je, wrócił i rzekł do Nanon, zagłębiając się w fotelu:

— Daj mi nalewki.

Ale nadto wzruszony, aby usiedzieć w miejscu, popatrzył na portret pana de La Bertellière i zaczął nucić, podrygując krokiem niby to tanecznym:

Miałem dobrego papusia,

Gwardzistą, gwardzistą był...

Nanon, pani Grandet i Eugenia patrzyły po sobie w milczeniu. Radość winiarza przeżalała je zawsze, skoro dochodziła szczytu. Niebawem wieczór się skończył. Po pierwsze Grandet chciał wcześniej iść spać, a skoro on się kładł, wszystko w domu musiało spać, tak samo jak kiedy August pił, Polska była pijana! Po wtóre Nanon, Karol i Eugenia niemniej byli zmęczeni od pana. Co do pani Grandet, ona spała, jadła, piła, chodziła wedle życzeń swego męża. Bądź co bądź, przez dwie godziny przeznaczone na trawienie bednarz, jowialny jak nigdy, wygłosił wiele złotych myśli, z których jedna da miarę jego inteligencji. Wysączywszy swoją nalewkę, popatrzył na kieliszek.

— Ledwie człowiek przyłoży usta do kieliszka, już jest próżny. Oto nasza historia. Nie można być i nie być. Talary nie mogą toczyć się i siedzieć w worku, inaczej życie byłoby za piękne.

Był jowialny i laskawy. Kiedy Nanon przyszła ze swoim kołowrotkiem, rzekł:

— Musisz być zmęczona. Zostaw te konopie.

— A ba, nudziłabym się — rzekła służąca.

— Biedna Nanon! Chcesz nalewki?

— Niby co do nalewki, nie odmawiam, pani robi o wiele lepszą niż aptekarz. To co w aptecce sprzedają, to istne ziółka.

— Za wiele dają cukru, nie ma smaku — rzekł stary.

Nazajutrz rodzina zgromadzona o ósmej rano na śniadanie przedstawiała obraz szczerzej zażyłości. Nieszczęście szybko zbliżyło panią Grandet, Eugenię i Karola; sama Nanon sympatyzowała z nimi bezwiednie. We czworo tworzyli niby jedną rodzinę. Co do starego winiarza, ten, zaspokoiwszy swoją chciwość i mając pewność, że wyprawi niebawem lalusia, nie płacąc mu nic poza drogą do Nantes, stał się prawie obojętny na jego obecność w domu. Zostawił dzieciom — jak nazywał Karola i Eugenię — swobodę pod okiem pani Grandet, do której miał zupełne zaufanie we wszystkich sprawach religii i moralności. Wytyczenie łąk i rowów biegnących wzdłuż drogi, sadzenie topoli nad Loarą, prace zimowe w winnicy i we Froidfond zajęły go całkowicie.

Odtąd zaczęła się dla Eugenii wiosna miłości. Od owej sceny nocnej, w której oddała kuzynowi swój skarb, serce jej poszło za skarbem. Złączeni wspólną tajemnicą, patrzyli na siebie porozumiewawczo; wspólna myśl pogłębiała ich uczucia, stwarzała jakąś bliskość,

Polska, Król

Miłość, Dzieciństwo

poufność, stawiając ich oboje, aby tak rzec, poza codziennym życiem. Czyż pokrewieństwo nie uprawniało niejakiemu słodczy głosu, czułości spojrzenia? Toteż Eugenia starała się uspić cierpienia kuzyna dziecięcymi uciechami rodzącej się miłości. Czyż nie widziemy wdzięcznych podobieństw między początkiem miłości a początkiem życia? Czyż nie kołysze się dzieci słodkim śpiewem i pieszczotliwym spojrzeniem? Czyż nie opowiada się im cudownych bajek, które złocą przyszłość? Czyż nadzieja nie rozpościera wciąż dziecku swych promiennych skrzydeł? Czy nie wylewa ono na przemian łez radości i bólu? Czyż nie sprzecza się ono czasami o nic, o kamyki, z których sili się zbudować nietrwały pałac, o kwiaty zaledwie zerwane, a już porzucone? Czyż nie chwytą chciwie czasu, nie śpieszą się do życia? Miłość jest naszą drugą przemianą.

Dzieciństwo i miłość były tym samym dla Eugenii i Karola; to była pierwsza namiętność ze wszystkimi jej dzieciństwami, tym bardziej pieszczotliwymi dla ich serc, że były spowite melancholią. Trzepocząc się przy urodzeniu w krepach żaloby, miłość ta harmonizowała przez to tym bardziej z prowincjonalną prostotą tego zrujnowanego domu.

Wymieniając kilka słów z kuzynką przy studni w tym niemym dziedzińcu, siedząc w tym ogrodzie na darniowej ławce aż do zachodu słońca, rozmawiając o błahostkach albo zatapiając się w ciszy panującej między wałem a domem niby pod sklepieniem kościoła, Karol zrozumiał świętość miłości, bo jego wielka dama, jego droga *Aneta*, dała mu poznać jedynie jej zamęt i burzę. Porzucił w tej chwili miłość paryską, zalotną, próżną, błyskotliwą, dla miłości czystej i szczerzej. Kochał już ten dom, którego obyczaje nie zdawały mu się już tak śmieszne. Schodził zaraz rano, aby móc pomówić z Eugenią parę chwil, zanim Grandet zejdzie wydawać prowianty; kiedy zaś krok starego rozbrzmiewał na schodach, Karol uciekał do ogrodu. Niewinna zbrodniczość tej porannej schadzki nieznaną nawet matce Eugenii (Nanon udawała, że nic nie widzi), dawała tej miłości, najniewinniejszej w świecie, żywość zakazanych rozkoszy. A kiedy po śniadaniu stary Grandet wychodził, aby obejrzeć swoje posiadłości i roboty, Karol zostawał między matką a córką, znajdując nieznaną rozkosz w tym, aby im trzymać włóczkę, patrzeć, jak pracują, słuchać, jak gawędzą.

Prostota życia niemal klasztornej, która odsłoniła mu piękno tych dusz nieznaną światu, wzruszyła go żywo. Nie przypuszczał, aby były możliwe we Francji takie obyczaje; przypuszczał ich istnienie jedynie w Niemczech, a i to chyba w legendzie, w romansach Augusta Lafontaine. Niebawem Eugenia stała dla niego wcieleniem Gretchen Goethego, ale bez grzechu.

Słowem, z każdym dniem spojrzenia jego, słowa, czarowały biedną dziewczynę, która poddała się rozkosznie prądowi miłości; chwyciła swoje szczęście, jak pływak chwytą gałąź wierzby, aby wydobyć się z rzeki i odpocząć na brzegu. Zgryzoty bliskiej rozłąki czyż nie chmurzyły już najradośniejszych godzin owych uciekających dni?

Co dnia jakieś drobne wydarzenie przypominało im bliskie rozstanie. I tak, w trzy dni po wyjeździe pana des Grassins, Grandet zaprowadził Karola do sądu z całą uroczystością, jaką ludzie na prowincji wiążą z takimi aktami, iżby podpisał zrzeczenie się spadku po ojcu. Straszliwe zrzeczenie! Rodzaj domowej apostazji. Poszedł do rejenta Cruhot, aby wystawić dwa pełnomocnictwa: jedno dla pana des Grassins, drugie dla przyjaciela, którego upoważnił do sprzedaży ruchomości. Następnie trzeba było dopełnić formalności, aby uzyskać paszport zagraniczny. Wreszcie, kiedy przyszedł skromny strój żalobny, jaki Karol zamówił w Paryżu, kazał sprowadzić krawca z Saumur i sprzedał mu swoją zbyteczną garderobę. Ten akt szczególnie podobał się staremu Grandet.

— No, teraz wyglądasz jak człowiek, który ma jechać za morze i robić majątek — rzekł, widząc surdut z grubego, czarnego sukna. — Dobrze, bardzo dobrze.

— Niech mi stryj wierzy — odparł Karol — że potrafię dostosować się do położenia.

— Co to jest? — rzekł stary, którego oczy zapaliły się na widok garści złota, którą mu pokazał Karol.

— Proszę stryja, zgromadziłem swoje guziki, spinki, pierścionki, wszystkie drobiazgi, które mogą mieć jakąś wartość; ale nie znając nikogo w Saumur, chciałem stryja prosić...

— Aby to odkupił? — przerwał Grandet.

— Nie, stryju, ale abys mi wskazał uczciwego człowieka...



— Daj mi to chłopcze, pójdę to oszacować na górę i wrócę powiedzieć ci, co to warte, co do centyma. Złoto jubilerskie — rzekł, oglądając długi łańcuszek, osiemnaście do dziewiętnastu karatów.

Stary wyciągnął szeroką dłoń i zabrał złoto.

— Kuzynko — rzekł Karol. — Pozwól, abym ci ofiarował te spinki, mogą ci się przydać do zapięcia wstążki na ręce. To bardzo w modzie teraz takie bransoletki.

— Przyjmuję bez wahania, kuzynku — rzekła, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie.

— Ciociu, oto naparstek mojej matki, przechowywałem go troskliwie w neseserze — rzekł Karol, podając ładny, złoty naparstek pani Grandet, która od dziesięciu lat marzyła o takim.

— Nie umiem ci dziękować, moje dziecko — rzekła stara matka, której oczy zwilżyły się łzami. — Rano i wieczór będę się modliła za ciebie, odmawiając modły za podróżnych. Gdybym umarła, Eugenia zachowa ci ten klejnocik.

— To warte dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć franków, siedemdziesiąt pięć centymów, mój chłopcze — rzekł Grandet, otwierając drzwi. — Ale, aby ci oszczędzić kłopotu sprzedania tego, dam ci te pieniądze w funtach.

Słowo *w funtach* znaczy na wybrzeżu Loary, że talary sześćofuntowe przyjmuje się za sześć franków bez potrącenia.

— Nie śmiałem tego proponować — odparł Karol — ale brzydziło mnie targować się o swoje drobiazgi w mieście, gdzie stryj mieszka. Trzeba pracować swoją brudną bielizną w domu, powiadał Napoleon. Dziękuję więc stryjowi za jego uprzejmość.

Grandet podrapał się za uchem, zapanowała chwila milczenia.

— Drogi stryju — podjął Karol, patrząc nań niespokojnie, jak gdyby się bał urazić jego drażliwość — kuzynka i ciocia zgodziły się przyjąć jakiś drobiazg ode mnie, zechciej i ty przyjąć spinki do mankietów, które dla mnie są bezużyteczne; przypomną ci biednego chłopca, który z dala od ciebie będzie myślał o tych, co odtąd są całą jego rodziną.

— Mój chłopcze, mój chłopcze, nie trzeba się tak ogałacać... Co ty tam masz, żono — rzekł, obracając się chciwie ku niej. — A, naparstek złoty! A ty, córuchno, agrafki diamentowe. Dobrze, biorę twoje spinki, mój chłopcze — dodał, ściskając rękę Karola. — Ale... pozwolisz mi... abym zapłacił twój... tak, twoją przeprawę do Indii. Tak, zapłacę twoją przeprawę. Zresztą, widzisz, mój chłopcze, szacując twoje klejnoty, liczyłem samo złoto, może i robota jest coś warta. No więc załatwione. Dam ci tysiąc pięćset franków... w funtach; pożyczę je od Cruchota, bo nie mam złamanego szeląga w domu, chyba że Perrotet, który zalega z dzierżawą, zapłaci mi ją. O, tak: pójdę do niego.

Wziął kapelusz, włożył rękawiczki i wyszedł.

— Więc jedziesz — rzekła Eugenia, rzucając na niego spojrzenie pełne smutku zmieszane z uwielbieniem.

— Trzeba — rzekł, spuszczać głowę.

Od kilku dni zachowanie się, obejście, słowa Karola znamionowały człowieka głęboko strapionego, ale który czując, że na nim ciążyą olbrzymie zobowiązania, czerpie nowe siły w swoim nieszczęściu. Nie wdychał już, stał się mężczyzną. Toteż nigdy Eugenia nie miała wyższego pojęcia o kuzynie, niż kiedy go ujrzała w ubraniu z grubego czarnego sukna, które dobrze nadawano się do jego przybladłej twarzy i posępnej miny. Tego dnia obie kobiety wdziały żalobę i wysłuchały wraz z Karolem *requiem* odśpiewanego w parafialnym kościele za duszę Wilhelma Grandet.

Przy drugim śniadaniu Karol otrzymał listy z Paryża i przeczytał je.

— I cóż, kuzynie, zadowolony jesteś z interesów? — spytała Eugenia cicho.

— Nie zadawaj nigdy takich pytań, moje dziecko. — rzekł Grandet. — Cóż, u licha, ja ci nie mówię o swoich sprawach, po jakie licha pakujesz nos w interesy kuzyna? Zostaw tego chłopca.

— Och, ja nie mam tajemnic — rzekł Karol.

— Ta ta ta ta, mój chłopcze, dowiesz się, że w handlu trzeba trzymać język za zębami.

Kiedy zakochani znaleźli się sami w ogrodzie, Karol rzekł do Eugonii, pociągając ją na starą ławkę, gdzie usiedli pod orzechem.

— Słusznie ufalem Alfonsowi: wywiązał się znakomicie. Załatwił moje interesy roztropnie i wiernie. Nic nie jestem winien w Paryżu, wszystkie moje ruchomości sprze-

dał i donosi mi, że idąc za radą doświadczonego kapitana okrętu, obrócił pozostałe trzy tysiące na zakup ładunku złożonego z osobliwości europejskich, które doskonale można spieniężyć w Indiach. Skierował moje pakunki do Nantes, gdzie znajduje się statek odpływający na Jawę. Za pięć dni, Eugenio, trzeba nam będzie pożegnać się: może na zawsze, a w każdym razie na bardzo długo. Mój ładunek i dziewięć tysięcy franków, które posyła mi dwóch przyjaciół, to bardzo chudy początek. Nie mogę marzyć o powrocie przed upływem wielu lat. Droga kuzynko, nie wiąż swego życia z moim, ja mogę zginąć, może ci się trafi bogata partia...

— Kochasz mnie?... — rzekła.

— Och tak, bardzo — odparł z akcentem, który zdradzał równą głębię uczuć.

— Będę czekała, Karolu. Boże! Ojciec jest w oknie — rzekła, odpychając kuzyna, który chciał ją uściskać.

Uciekła do sieni; Karol pośpieszył za nią. Widząc go, przycisnęła się do schodów i otworzyła drzwi; potem nie wiedząc dobrze, dokąd idzie, znalazła się w pobliżu komórki Nanon, w najciemniejszym miejscu korytarza. Tam Karol, który podążył za nią, ujął ją za rękę, przycisnął Eugenię do serca, wziął ją w pól i uściskał lekko. Eugenia nie opierała się, przyjęła i oddała mu najczystszy, najśłodczy, ale też najpełniejszy pocałunek.

— Droga Eugenio, kuzyn to więcej niż brat, może się z tobą ożenić — rzekł Karol.

— Amen — wykrzyknęła Nanon, otwierając drzwi swojej nory.

Wystraszeni kochankowie uciekli do sali, gdzie Eugenia podjęła swoją robotę, a Karol zaczął czytać litanię do Najświętszej Panny z książki pani Grandet.

— Oho! — rzekła Nanon — wszyscy odmawiamy pacierze.

Skoro Karol oznajmił swój wyjazd, stary Grandet zaczął się mocno krzątać, aby okazać, że się nim bardzo zajmuje. Okazał się hojny we wszystkim, co nie kosztowało nic; posłał po stolarza i uznał, że ten człowiek za drogo żąda za skrzynie; ofiarował zrobić je sam; wziął w tym celu stare deski, wstał wcześniej, aby je heblować, dopasowywać, wygładzać, zbijać gwoździami i zrobił bardzo ładne skrzynie, do których zapakował wszystkie rzeczy Karola. Podjął się sam spławić je przez Loarę, ubezpieczyć je i dostawić w porę do Nantes.

Od owego pocałunku uszczkniętego w korytarzu, godziny uciekały Eugenii z przerażającą szybkością. Czasami chciała jechać za kuzynem. Ten, kto poznał najsilniejszą z namiętności, ową, na której trwałość co dnia czyhają wiek, czas, śmiertelna choroba, inne katastrofy ludzkie, ten zrozumie męczarnie Eugenii. Płakała często, przechadzając się po ogrodzie, teraz za ciasnym dla niej, tak samo jak dziedziniec, dom, miasto: puszczała się już naprzód na szeroką przestrzeń morza.

Wreszcie nadszedł dzień poprzedzający wyjazd. Rano w nieobecności Grandeta i Nanon szacowną szkatułkę, w której znajdowały się dwa portrety, powierzono jedynej szuffaldzie kantorka, która się zamykała na klucz i gdzie była sakiewka, obecnie próżna. Złożenie tego skarbu nie obeszło się bez pocałunków i łez. Kiedy Eugenia ukryła klucz na łonie, nie miała siły bronić Karolowi ucałowania tego miejsca.

— Nie wyjdzie już stąd, ukochany mój.

— I moje serce będzie tam również.

— Och, Karolu, to niedobrze — rzekła tonem niezbyt surowym.

— Czyż nie jesteśmy małżeństwem? — odparł. — Mam twoje słowo, przyjmij ty moje.

— Twój na zawsze, twoja na zawsze — powiedzieli razem.

Nigdy na ziemi nie wymieniono świętszej obietnicy; niewinność Eugenii uswięciła na chwilę miłość Karola.

Nazajutrz rano śniadanie było smutne. Mimo złotego szlafroka i krzyżyka na aksamitce, jakie jej dał Karol, nawet Nanon, mogąca swobodnie wyrazić swoje uczucia, miała lzy w oczach.

— Biedny milusi pan jedzie na morze, niechże go Bóg prowadzi.

O wpół do jedenastej rodzina ruszyła, aby odprowadzić Karola do dylizansu jadącego do Nantes. Nanon spuściła psa, zamknęła drzwi i chciała zabrać torbę podróżną Karola. Wszyscy przekupnie na starej ulicy znaleźli się na progu sklepów, aby widzieć ten pochód, do którego na rynku przyłączył się rejent Cruchot.

— Nie płacz tylko, Eugenio — rzekła matka.

— Mój bratanku — rzekł Grandet pod bramą gospody, całując Karola w oba policzki. — Jedziesz biedny, wracaj bogaty, odnajdziesz honor swego ojca czysty. Ja ci za to rękę, ja, Grandet; bo wówczas będzie zależało jedynie od ciebie, abyś...

— Och, stryju, osładzasz mi ból mego wyjazdu. Czyż to nie najpiękniejszy podarek, jaki mi możesz uczynić?

Nie rozumiejąc słów starego bednarza, któremu przerwał, Karol oblał stwardniałą twarz stryja łzami wdzięczności, podczas gdy Eugenia ścisnęła z całych sił rękę kuzyna i ojca. Tylko rejent uśmiechał się, podziwiając spryt Grandeta, bo on jeden zrozumiał starego lisa. Czterej Saumurczycy otoczeni gromadką gapiów stali przy koczobryku, dopóki nie ruszył; po czym, kiedy znikł na moście i kiedy go było słychać już tylko z dala, winiarz rzekł:

— Szczęśliwej drogi!

Na szczęście jeden tylko Cruchot usłyszał ten wykrzyk. Eugenia i jej matka udały się w miejsce, z którego mogły jeszcze widzieć dylżans i powiewały białymi chustkami, na co Karol odpowiedział swoją chustką.

— Mamo, chciałabym mieć na chwilę potęgę Boga — rzekła Eugenia w chwili, gdy straciła z oczu chustkę Karola.

---

Aby nie przerywać biegu wydarzeń, które się rozegrały w rodzinie Grandet trzeba, uprzedzając wypadki, rzucić okiem na operacje, jakie stary lis podjął w Paryżu za pośrednictwem bankiera.

W miesiąc po wyjeździe pana des Grassins, Grandet miał kwit na sto tysięcy funtów renty, kupionej po osiemdziesiąt. Dane ustalone po jego śmierci przy robieniu inwentarza, nie rzuciły najmniejszego światła na sposoby, jakie podsunęła mu nieufność, aby wymienić tymczasowy kwit na same tytuły renty. Rejent Cruchot myślał, że Nanon była bez swej wiedzy wiernym narzędziem przeniesienia kapitałów. W owej epoce służąca znikła z domu na pięć dni pod pozorem załatwienia czegoś we Froidfond, jak gdyby stary był zdolny coś tam zostawić w nieporządku!

Co do interesów firmy Wilhelma Grandet, wszystkie przewidywania bednarza ziściły się.

W Banku Francuskim znajdują się, jak wiadomo, najdokładniejsze wskazówki co do wielkich fortun Paryża i prowincji. Nazwiska bankiera des Grassins i Feliksa Grandet z Saumur były tam znane i cieszyły się szacunkiem, jakiego zażywają reputacje finansowe opierające się na ogromnych dobrach ziemskich, wolnych od obciążenia. Przybycie bankiera z Saumur, uprawnionego do honorowej likwidacji firmy paryskiego Grandeta wystarczyło więc, aby oszczędzić ceniom kupca hańby protestów. Zdjęcie pieczęci odbyło się w obecności wierzycieli, a rejent zmarłego przystąpił prawidłowo do inwentarza spadku. Niebawem des Grassins zebrał wierzycieli, którzy jednogłośnie wybrali na likwidatorów bankiera z Saumur oraz Franciszka Kellera, głowę bogatej firmy, jednego z najbardziej zainteresowanych. Powierzili im wszystkie pełnomocnictwa potrzebne dla ocalenia zarazem honoru rodziny i wiarygodności. Kredyt Grandeta z Saumur, nadzieja jaką wlał w serca wierzycieli za pośrednictwem bankiera des Grassins, ułatwiły transakcje; nie znalazł się między wierzycielami ani jeden oporny. Każdy powiadał sobie: Grandet z Saumur zapłacił!

Pół roku upłynęło, paryżanie wykupili krążące akcepty i schowali je w portfelach. To był pierwszy rezultat, jaki chciał uzyskać bednarz. W dziewięć miesięcy po pierwszym zebraniu dwaj likwidatorzy rozdzielili po czterdzieści siedem od stu każdemu wierzycielowi. Tę sumę uzyskano ze sprzedaży walorów, posiadłości, dóbr oraz wszelkich rzeczy należących do Wilhelma Grandet, czego dokonano z największą skrupulatnością. Operacja ta odbyła się pod znakiem nieskazitelnej rzetelności. Wierzyciele chętnie uznali niezaprzeczony honor Grandetów. Pochwały krążyły przez przywoity czas, po którym wierzyciele poprosili o resztę swoich pieniędzy. W tym celu wystosowali zbiorowy list do Grandeta.

— Tুম was czekał<sup>16</sup>! — rzekł eks-bednarz, rzucając list w ogień. — Cierpliwości, chłoptasie.

---

<sup>16</sup>tum was czekał — dziś: tu was czekałem. [przypis edytorski]

W odpowiedzi na propozycje zawarte w tym liście Grandet z Saumur żądał złożenia u rejenta wszystkich tytułów wierzytelności ciężących na spadku po bracie, z pokwitowaniem spłat już dokonanych; a to pod pozorem uporządkowania rachunków i ustalenia stanu sukcesji. Depozyt ów spowodował tysięczne trudności. Na ogół wierzyciel jest typem maniaka. Dziś gotów się ugodzić, jutro chce burzyć wszystko, później znów robi się jak baranek. Dziś żona jego jest w dobrym humorze, najmłodsza pociecha ząbkuje szczęśliwie, wszystko idzie w domu dobrze, nie chce więc stracić ani grosza. Jutro deszcz pada, nie może wyjść z domu, jest smutny, godzi się na wszystkie propozycje, które mogą skończyć sprawę; pojutrze trzeba mu rękojmi, z końcem miesiąca chce cię wlec przed sądy, hycel! Wierzyciel podobny jest do tego wróbla, któremu dzieci chcą sypać soli na ogon; ale wierzyciel stosuje znowuż ten obraz do swojej wierzytelności, której nie ma sposobu uchwycić.

Grandet znalazł te zmiany atmosferyczne wierzycieli, a wierzyciele jego brata potwierdzili wszystkie jego obliczenia. Jedni się pogniewali i odmówili stanowczo deponowania.

— Doskonale — powiadał Grandet, zacierając ręce przy czytaniu listów, jakie przysłał mu w tej sprawie des Grassins. Kilku innych zgodziło się deponować jedynie pod warunkiem, że stwierdzi się wyraźnie ich prawa, przy czym nie zrzekają się niczego i zastrzegają sobie nawet ogłoszenie bankructwa. Nowa korespondencja, po której Grandet z Saumur zgodził się na wszystkie zastrzeżenia. Dzięki tej koncepcji wierzyciele łagodni przekonali wierzycieli nieustępliwych. Zdeponowanie nie obyło się bez skarg.

— Ten stary — powiadano do pana des Grassins. — Kpi sobie z pana i z nas.

W dwadzieścia trzy miesiące po śmierci Wilhelma Grandet wielu kupców, porwanych wirem interesów paryskich, zapomniało już o wierzytelnościach Grandeta lub, jeżeli myślało o nich, to aby sobie powiedzieć:

— Zaczynam przypuszczać, że owe czterdzieści siedem od stu to jest wszystko, co z tego wycisnę.

Bednarz liczył na działanie czasu, który — mówił — jest wielki pocziwina.

Z końcem trzeciego roku des Grassins pisał do Grandeta, że dając dziesięć od sta od dwóch milionów czterystu tysięcy franków pozostałych z długu Grandeta, uzyskałby u wierzycieli pokwitowanie należności. Grandet odpowiedział, że rejent i agent giełdowy, których okropne bankructwa spowodowały śmierć jego brata żyją, mogą znów stać się wypłacalni i że trzeba ich pociągnąć do odpowiedzialności, aby z nich coś wydobyć dla zmniejszenia cyfry deficytu. Z końcem czwartego roku ustalono formalnie deficyt na milion dwieście tysięcy franków. Nastąpiły pertraktacje, które trwały pół roku między likwidatorami a wierzycielami, między Grandetem a likwidatorami. Napierany, aby się uścił, Grandet z Saumur odpowiedział likwidatorom około dziewiątego miesiąca tegoż roku, że bratanek jego, który zrobił majątek w Indiach, objawił mu intencję całkowitego spłacenia długów ojca: on zatem nie może brać na siebie spłacenia nieprawidłowego, nie poradziwszy się bratanek; czekał właśnie odpowiedzi. W połowie piątego roku wierzycieli trzymało jeszcze w szachu słowo „całkowicie”, od czasu do czasu rzucane przez wzniesłego bednarza, który śmiał się w kulak i który nigdy nie wymawiał bez uśmiechu i bez kłótny słów: *ci paryżanie!*

Ale wierzycielom przeznaczony był los niesłychany w dziejach handlu.

W chwili, gdy wypadki tej historii zmuszą ich do zjawienia się na nowo na widowni, znajdowali się wciąż w położeniu, w jakim utrzymywał ich Grandet.

Kiedy renta doszła do stu piętnastu, stary Grandet sprzedał ją, ściągnął z Paryża około dwóch milionów czterystu tysięcy franków w złocie, które połączyły się w jego beczułkach z sześciuset tysiącami franków procentu składanego, jaki dała mu jego renta. Des Grassins siedział wciąż w Paryżu. Oto czemu. Po pierwsze wybrano go posłem; potem zakochał się — on, ojciec rodziny, ale znudzony nudnym życiem prowincji, we Florynie<sup>17</sup>, jednej z najładniejszych aktorek paryskich. W bankierze odezwał się dawny kwatermistrz. Zbyteczne jest mówić o jego prowadzeniu się; osądzono je w Saumur jako głęboko niemoralne. Żona bankiera była bardzo rada, że mogła choć uzyskać separację majątkową i że miała na tyle głowy, aby poprowadzić bank w Saumur, którego interesy szły dalej pod jej nazwiskiem dla załatwienia szczerb, jakie zadały majątkowi szaleństwa pana des Gras-

<sup>17</sup>Floryna — [por.:] *Stracone złudzenia, Córka Ewy* etc. [Balzaca; red. WL]. [przypis tłumacza]

sins. Cruchotyści tak zręcznie pogarszali fałszywą sytuację tej niby wdowy, że bardzo źle wydała córkę i musiała się wyrzec związku z panną Grandet dla syna. Adolf udał się za ojcem do Paryża i zrobił się tam, jak mówiono, bardzo niewyraźną figurą. Cruchotyści triumfowali.

— Pani mąż ma źle w głowie — mówił Grandet, pożyczając pewną kwotę pani des Grassins, oczywiście z dobrą gwarancją. — Żał mi pani bardzo, dobra z pani kobieta.

— Och, panie Grandet — odpowiadała biedna dama. — Któż mógłby przypuszczać, że w dniu, w którym wyjechał od pana, aby się udać do Paryża, biegnie ku swojej zgubie.

— Niebo mi świadkiem, droga pani, że robiłem do ostatniej chwili wszystko, aby go odwieść od tego wyjazdu. Prezydent chciał wszelkimi siłami go zastąpić. Jeżeli mu tak zależało na tym, aby jechać, wiemy obecnie dlaczego.

Tak więc Grandet nie miał żadnego długu wdzięczności wobec pana des Grassins.

W każdym położeniu kobieta ma więcej przyczyn do bólu niż mężczyzna i cierpi bardziej od niego. Mężczyzna ma siłę, wprawia ją w ruch: działa, chodzi, jest zajęty, myśli, ogarnia przyszłość i znajduje w niej pociechy. Tak też czynił Karol. Ale kobieta tkwi w miejscu, twarzą w twarz ze zgryzotą, od której nic jej nie odrywa; schodzi aż na dno tej ziejącej przepaści, mierzy ją, często zapełnia ją swymi pragnieniami i swymi łzami. Tak czyniła Eugenia. Wżywała się w swój los. Czuć, kochać, cierpieć, poświęcać się — to będzie zawsze treścią życia kobiety. Eugenia miała być pełną kobietą, z wyjątkiem tego, co może kobietę pocieszyć. Chwile jej szczęścia, zebrane w garść niby gwoździe rozsiane na ścianie — wedle wspaniałego wyrażenia Bossueta — nie miały jej kiedyś wypełnić ani wklęsłości dłoni.

Zgryzoty nie dają nigdy na siebie czekać; i dla niej przyszły niebawem. Nazajutrz po wyjeździe Karola dom Grandetów odzyskał swą dawną fizjonomię dla całego świata, wyjąwszy Eugenię, której się wydał nagle zupełnie pusty. Bez wiedzy ojca postarała się, aby pokój Karola został tak, jak go zostawił; pani Grandet i Nanon chętnie pogodziły się z tym *status quo*.

— Kto wie, czy nie wróci wcześniej, niż przypuszczamy — mówiła.

— Och, chciałabym, aby tu był — mówiła Nanon. — Przyzwyczaiłam się do panicza. Takie grzeczne, takie dobre paniątko; a ładne to, a gładkie jak panienka.

Eugenia popatrzyła na Nanon.

— Panno Święta! Panienko, panienka ma takie oczy na zatracenie duszy! Niechże panienka tak na ludzi nie patrzy.

Od tego dnia piękność panny Grandet przybrała inny charakter. Poważne myśli miłosne, jakie zagarnęły z wolna jej duszę, godność kobiety kochanej, dały jej rysom ów blask, który malarze wyobrażają za pomocą aureoli. Przed przybyciem kuzyna Eugenię można było porównać do dziewicy przed poczęciem; odkąd wyjechał, podobna była do Dziewicy-matki: poczęła miłość. Te dwie Maryje, tak odmienne i tak dobrze przedstawiane przez paru hiszpańskich malarzy, tworzą jedną z najwspanialszych postaci, jakich tyle jest w chrystianizmie.

Wracając z mszy, dokąd udała się nazajutrz po wyjeździe Karola i dokąd ślubowała sobie chodzić co dzień, kupiła u miejscowego księgarza mapę świata, którą przybiła u siebie koło lustra, aby towarzyszyć kuzynowi w jego drodze do Indii, aby móc przenosić się rano i wieczór na okręt, który go wiozł, widzieć go, zadawać mnóstwo pytań, mówić do niego:

— Jak się masz? Nie dolega ci co? Czy myślisz o mnie, patrząc na tę gwiazdę, której piękność i użytek mi wytłumaczyłeś?

Potem, rano, stała zamyślona pod orzechem, siedząc na drewnianej ławce zżartej przez robaki i porosłej szarym mchem, gdzie sobie powiedzieli tyle dobrych rzeczy, tyle głupstw, gdzie budowali zaczarowane pałace swego uroczego związku. Myślała o przyszłości, patrząc na niebo przez małą przestrzeń, jaką mury pozwoliły objąć okiem, potem na zrąb starego muru i na dach, pod którym był pokój Karola. Słowem, była to miłość samotna, miłość szczerą, która trwa, która się wślizguje w myśli i staje się esencją lub, jakby powiedzieli nasi ojcowie, *substancją* życia.

Kobieta, Mężczyzna

Matka Boska, Kobieta,  
Miłość

Kiedy rzekomi przyjaciele starego Grandet przychodzili na wieczorną partyjkę, Eugenia była wesoła, udawała; ale przez całe rano rozmawiała o Karolu z matką i z Nanon. Nanon zrozumiała, że może współczuć cierpieniom młodej pani, nie chybiając swoim obowiązkom wobec pryncypała; jakoż mawiała do Eugenii:

— Ja, gdybym miała chłopca dla siebie, poszłabym za nim do... samego piekła. Zrobiłabym... Et, dałabym się zabić dla niego, tak! Ale nici! Umrę, nie dowiedziawszy się, co to życie. Czy panienka dałaby wiarę, że ten stary Cornoiller, dobre zresztą człowieczysko, kręci się koło mojej spódnicy, niby względem moich oszczędności, tak samo jak ci, co przychodzą obwąchiwać mieszek naszego pana, umizgając się do panienki. Widzę to, bo jeszcze jestem sprytna, mimo że jestem gruba jak ten kloc; no i co, panienko, i tak mi to sprawia przyjemność, chociaż to nie jest miłość.

Dwa miesiące upłynęły w ten sposób. To życie domowe, niegdyś tak jednostajne, ożywiło się potężnym działaniem tajemnicy, która spoila te trzy kobiety.

Dla nich pod ciemnymi belkami tej sali Karol żył, chodził jeszcze. Rano i wieczór Eugenia otwierała toaletkę i przyglądała się portretowi stryjenki. Pewnej niedzieli rankiem zaskoczyła ją matka w chwili, gdy była zajęta odszukiwaniem rysów Karola w rysach portretu. Pani Grandet dowiedziała się wówczas straszliwej tajemnicy, wymiany neseseru na złoto Eugenii.

— Dałaś mu wszystko! — rzekła przestraszona. — Co powiesz ojcu, kiedy na Nowy Rok zechce obejrzyć twoje złoto?

Oczy Eugenii zmartwiały; obie kobiety trwały w tym śmiertelnym przestrachu całe rano. Były tak zmieszane, że przeoczyły sumę i poszły dopiero na mszę wojzkową. Za trzy dni kończył się rok 1819. Za trzy dni miał się zacząć straszliwy teatr, mieszczańska tragedia bez trucizny, bez sztyletu i rozlewu krwi, ale okrutniejsza dla jej aktorów niż wszystkie dramaty, jakie zaszły w znamienitej rodzinie Atrydów.

— Co się z nami stanie? — rzekła pani Grandet, opuszczając robotę na kolana.

Biedna matka przechodziła od dwóch miesięcy takie wzruszenia, że rękawki, których potrzebowała na zimę, jeszcze nie były skończone. Ten fakt, tak drobny na pozór, miał dla niej smutne następstwa. Z braku rękawków zimno przejęło ją w dotkliwy sposób w chwili, gdy ją oblał pot spowodowany straszliwym gniewem męża.

— Myślałam, dziecko, że gdybyś mi zwierzyła swój sekret, miałybyśmy czas napisać do Paryża do pana des Grassins. Byłby nam przysłał sztuki złota podobne do twoich i mimo że ojciec zna je dobrze, to może...

— Ale skąd wzięłybyśmy tyle pieniędzy?

— Zastawiłabym swoje rzeczy. Zresztą, pan des Grassins byłby nam...

— Już nie czas — rzekła Eugenia głuchym i zmienionym głosem, przerywając matce. Jutro rano musimy przecież iść życzyć ojcu dobrego roku w jego pokoju.

— Ale, dziecko, czemu bym nie miała iść do Cruchotów?

— Nie, nie, to by znaczyło wydać nas w ich ręce, stałybyśmy się zależne od nich. Zresztą ja jestem gotowa na wszystko. Zrobiłam dobrze, nie żałuję niczego. Bóg mnie wesprze. Niech się dzieje jego święta wola. Ach, gdybyś czytała jego list, myślałabyś tylko o nim, mammo.

Nazajutrz rano, pierwszego stycznia 1820, nieludzki strach, jaki ogarnął matkę i córkę, podsunął im najnaturalniejszą wymówkę, aby nie przychodzić uroczyście do pokoju ojca. Zima roku 1819 na 1820 była jedną z najostrzejszych, jakie pamiętano. Śnieg przygniatał dachy.

Skoro tylko pani Grandet usłyszała szmer w pokoju męża, rzekła:

— Mężu, każ Nanon, aby zapaliła trochę u mnie; jest tak zimno, że marznę pod kołdrą. Jestem w wieku, w którym potrzeba trochę względów. Zresztą — dodała po pauzie — Eugenia przyjdzie się tutaj ubierać. Biedna dziewczyna mogłaby się rozchorować, robiąc toaletę u siebie w taki czas. Potem przyjdziemy ci życzyć nowego roku przy ogniu w jadalni.

— Ta ta ta ta, co za język, jak ty zaczynasz rok, pani Grandet! Nigdy tyle nie mówiłaś! A przecież, mam nadzieję, nie jadłaś chleba maczanego w winie.

Nastała chwila milczenia.

— Więc dobrze — ciągnął stary, któremu widocznie propozycja żony była na rękę. — Zrobię to, czego sobie życzysz, pani Grandet. Jesteś dalibóg dobra kobieta i nie chcę, aby ci się zdarzyło jakie nieszczęście w twoim wieku, mimo że na ogół wszyscy La Bertellière są z tegoż drzewa ciosani. He! Nieprawdaż? — krzyknął po pauzie. — Ba, odziedziczyliśmy po nich w końcu, przebaczam im.

Zakaszła.

— Wesoły jesteś dzisiaj — rzekła poważnie biedna kobieta.

— Zawsze jestem wesoły...

Wesoło, bednarzu, wesoło,

Pobijaj beczułki swe!

— dodał, wchodząc już ubrany do żony. — Tak, do stu kaduków, porządnie jest zimno, nie ma co. Będziemy mieli dobre śniadanko, moja pani. Des Grassins przysłał mi pasztecik z trufkami. Pójdę po niego na pocztę. Musiał też dołączyć dubeltowego napoleona dla Eugenii — szepnął bednarz żonie do ucha. — Już nie mam złota, żono. Miałem jeszcze parę starych sztuk, mogę to powiedzieć tobie, ale trzeba było je zmienić. Interesy!

I aby uczcić Nowy Rok, pocałował ją w czoło.

— Eugenio — zawołała pocziwa matka. — Nie wiem, na jakim boku ojciec spał, ale jakiś jest dobry dzisiaj. Ba, wykaraskamy się jakoś.

— Co naszemu panu jest? — rzekła Nanon, wchodząc do pokoju pani, aby napalić w piecu. — Najpierw powiedział mi: „Dobrego roku życzę ci, stara kobyłko. Idź zapalić w pokoju pani, zimno jej”. I zgłupiałam, kiedy zobaczyłam, że wyciąga rękę, aby mi dać dubeltowego talara, ledwo że oberżniętego. O, niech pani patrzy. Zaczny człowiek, pocziwy człowiek, nie ma co! Są tacy, którzy im starsi, tym twardsi, ale on się robi słodki jak panina nalewka, coraz lepszy. To bardzo dobre, bardzo zacne panisko...

Tajemnicą tej wesołości był całkowity sukces spekulacji Grandeta. Pan des Grassins, odciągnawszy sumy, jakie był mu winien bednarz za dyskont stu pięćdziesięciu tysięcy franków w obligacjach holenderskich i za nadwyżkę, którą mu zaliczył, aby uzupełnić sumę na kupno stu tysięcy franków renty, posłał mu pocztą trzydzieści tysięcy talarami — reszta półrocznych procentów — i oznajmił mu zwyczajną rentę państwową. Stała wówczas na osiemdziesiąt dziewięć, najwięksi kapitaliści kupowali ją na koniec stycznia po dziewięćdziesiąt dwa.

Grandet zyskał w dwa miesiące dwanaście od stu od swoich kapitałów, oczyścił swoje rachunki i miał obecnie co pół roku zgarniać pięćdziesiąt tysięcy franków bez podatków i reparacji. Zrozumiał wreszcie *rentę*, lokatę, do której mieszkańcy prowincji żywią niezwykłe uprzedzenie i widział się już za pięć lat panem kapitału sześciu milionów, rosnącego bez wszelkich kłopotów, który połączony z wartością jego posiadłości ziemskich utworzyłby olbrzymi majątek. Sześć franków dane Nanon były może ceną olbrzymiej usługi, jaką służąca, nie wiedząc o tym, oddała swemu panu.

— O! O! O! Gdzież to stary Grandet leci od rana, jakby się paliło? — powiadali sobie kupcy, otwierając sklepy.

Potem, kiedy go ujrzeli jak wraca z wybrzeża w towarzystwie posługacza pocztowego, wiozącego na wózku pełne worki, któryś rzekł:

— Woda idzie zawsze do rzeki, stary szedł do swoich talarów.

— Płyną do niego z Paryża, z Froidfond, z Holandii! — powiadał drugi.

— Kupi w końcu całe Saumur — wykrzyknął trzeci.

— Kpi sobie z mrozu, zawsze lata za interesami — mówiła jakaś kobieta do męża.

— Ha, ha, panie Grandet, gdyby panu było za ciężko — mówił kupiec sukienny, jego najbliższy sąsiad — mogę panu ulżyć.

— A ba, to groszaki — odparł winiarz.

— Srebrne — mruknął cicho pocziarz.

— Jeżeli chcesz, abym pamiętał o tobie, zamknij buzię na klódkę — rzekł stary do posługacza, otwierając drzwi do swego domu.

„A, stary lis, myślałem że jest głuchy” — pomyślał posługacz. — „Zdaje się, że kiedy jest mróz, to on słyszy.”

— Masz tu dwadzieścia su na kolędę i sza! Zmykaj — rzekł Grandet. — Nanon odwiezie ci wózek. Nanon, czy dzierlatki są na mszy?

— Tak, proszę pana.

— No, dalej, do roboty — krzyknął, ładując na nią worki.

W jednej chwili przeniesiono talary do gabinetu, gdzie stary się zamknął.

— Kiedy śniadanie będzie gotowe, zapukasz w ścianę. Odwieź wózek na pocztę.

Rodzina jadła śniadanie aż o dziesiątej.

— Tutaj ojciec nie będzie chciał oglądać twojego złota — rzekła pani Grandet do córki, kiedy wracały z mszy. — Zresztą udawaj zmarzniętą. Potem będziemy może miały czas napełnić skarbczyk do dnia twoich urodzin...

Grandet zszedł z góry myśląc o tym, aby szybko przeobrazić paryskie talary na złoto i o swojej cudownej spekulacji na rencie. Miał zamiar tak samo lokować swoje dochody do chwili, gdy renta dojdzie ceny stu franków. Medytacja ta była fatalna dla Eugenii. Gdy tylko wszedł, obie kobiety życzyły mu nowego roku; córka — skacząc ojcu na szyję, pieszcząc go, a pani Grandet poważnie i z godnością.

— Tak, moje dziecko — rzekł, całując córkę w policzki. — Ja pracuję dla ciebie, widzisz, ja pragnę twego szczęścia. Aby być szczęśliwym, trzeba pieniędzy. Bez pieniędzy, kaput! Ot, masz tu nowiutkiego napoleona, sprowadziłem go z Paryża. Dalibóg, nie mam w domu ani kruszyny złota. Ty jedna masz tutaj złoto. Pokaż mi swoje złoto, dziecko.

— E, za zimno jest, jedzmy śniadanie — odparła Eugenia.

— Więc dobrze, potem. To ci dobrze zrobi na trawienie. Ten grubas des Grassins przysłał nam to wszystko — dodał. — Jedzcie, dzieci, to nas nie kosztuje ani szeląga. Dobrze sobie radzi des Grassins, kontent jestem z niego. Filut pracuje dla Karola i to *gratis*. Bardzo dobrze układa interesy biednego nieboszczyka brata. Au, au — rzekł z pełnymi ustami. — Ale to dobre! Jedz jeszcze, pani Grandet, to syci co najmniej na dwa dni.

— Nie jestem głodna. Nie mam zdrowia, wiesz o tym.

— Ale, ale, możesz sobie napchać kuferek bez obawy, aby ci miał trzasnąć. Ty jesteś la Bertellière, solidna, trwała kobieta. Jesteś ociupinkę żółta, ale ja lubię żółty kolor.

Oczekiwanie haniebnej i publicznej śmierci mniej jest może okropne dla skazańca niż dla pani Grandet i jej córki było oczekiwanie wypadków, które miały zakończyć to rodzinne śniadanie. Im weselej mówił i jadł stary winiarz, tym bardziej ścisnęło się serce obu kobiet. Córka miała bodaj oparcie w tym położeniu: czerpała siłę ze swojej miłości.

„Dla niego” — powiadała sobie — „zniosłabym tysiąc razy śmierć”.

Z tą myślą spoglądała na matkę oczami iskrzącymi się męstwem.

— Zabierz to wszystko — rzekł Grandet do Nanon, kiedy koło jedenastej śniadanie się skończyło. — Wygodniej nam tu będzie obejrzeć twój mały skarbczyk, Eugenio. Mały, na honor, nie. Ty masz na czysto pięć tysięcy dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć franków; a czterdzieści dzisiejsze, to robi sześć tysięcy franków bez jednego. Więc dobrze; dam ci, słyszysz dziecko, tego franka, żeby dopełnić sumy, bo widzisz, córuchno... He, co ty tu nadśluchujesz? Zabieraj się, Nanon, idź do swojej roboty — rzekł stary.

Nanon znikła.

— Słuchaj, Geńciu, musisz mi dać swoje złoto. Nie odmówisz go swemu ojcu, prawda, córuchno?

Obie kobiety zmartwiały.

— Nie mam już złota, nie mam. Miałem, nie mam. Dam ci sześć tysięcy franków w funtach, ulokujesz je tak, jak ci powiem. Nie trzeba już myśleć o *tuzinie*. Kiedy cię wydam za mąż, co niedługo nastąpi, znajdę ci męża, który ci będzie mógł ofiarować taki *tuzin*, że długo będą o nim mówili w okolicy. Słuchajże, córuchno. Nastęcza się ładna okazja: możesz ulokować swoje sześć tysięcy w rencie; będziesz miała co pół roku blisko dwieście franków procentu, bez podatków, bez reperacji, czy deszcz, czy pogoda, czy grad, czy śnieg, nic nie będzie mogło naruszyć twego dochodu. Ciężko ci może rozstać się ze swoim złotem, córuchno? Przynieś mi je i tak, przynieś. Uzbieram ci na nowo złota, holenderskich dukatów, portugalskich rupii, genuinów; z tym, co ci dam na urodziny za trzy lata odbudujesz sobie połowę twego złotego skarbu. Co powiadasz, córuchno? Podnieś głowę. No, idź, przynieś złotko. Powinnaś mnie ucałować za to, że ci tak zdradzam tajemnice życia i śmierci talarów. Doprawdy, talary żyją i mnożą się jak ludzie: chodzi to, rusza się, krząta, poci się, pracuje...

Skąpiec, Pieniądz



Eugenia wstała, ale zrobiwszy kilka kroków w stronę drzwi, odwróciła się nagle, popatrzyła ojcu w twarz i rzekła:

— Nie mam już mojego złota.

— Nie masz już swojego złota! — wykrzyknął Grandet, prężąc się na nogach niby koń, który usłyszał o dziesięć kroków wystrzał armatni.

— Nie, nie mam.

— Żartujesz, Eugenio.

— Nie.

— Kroćset fur beczek!

Kiedy bednarz tak zaklął, podłoga się trzęsła.

— Matko Najświętsza! Pani nasza blednie — krzyknęła Nanon.

— Mężu, twoje gniewy wpędzą mnie do grobu — rzekła biedna kobieta.

— Ta ta ta ta, wy tam, w waszej rodzinie, nie umieracie nigdy! — Eugenio, coś ty zrobiła ze swoim złotem? — krzyknął, idąc ku niej.

— Ojczy — rzekła dziewczyna u kolan pani Grandet. — Matka moja cierpi. Nie zabijaj jej ojczy, patrz.

Grandet przeraził się bledności rozlanej po licach żony, początkowo tak żółtej.

— Nanon, pomóż mi się położyć — rzekła matka słabym głosem. — Umieram.

Nanon podała ramię pani, tak samo Eugenia, i nie bez wielkiego trudu zdołały ją zaprowadzić na górę, bo omdlewała przy każdym kroku. Grandet został sam. Mimo to w chwilę potem wszedł na kilka schodów i krzyknął:

— Eugenio, gdy matka się położy, zejdziesz tutaj.

— Tak, ojczy.

Zeszła niebawem, uspokoiwszy matkę.

— Moje dziecko — rzekł Grandet. — Powiesz mi, gdzie jest twój skarb.

— Ojczy, jeżeli robisz mi podarki, których nie jestem całkowitą panią, odbierz je — odparła zimno Eugenia, biorąc napoleona z kominka i podając mu go.

Grandet chwycił żywo pieniądze i wpuścił go do kieszeni.

— Myślę sobie, że już ci nic nie dam więcej — rzekł. — Ani tycio! — dodał, strzelając paznokciem o ząb. — Gardzisz zatem swoim ojcem, nie masz do niego zaufania, nie wiesz, co to jest ojciec? Jeżeli nie jest dla ciebie wszystkim, jest niczym. Gdzie jest twoje złoto?

— Ojczy, kocham cię i szanuję mimo twego gniewu, ale zwracam ci pokornie uwagę, że ja mam dwadzieścia dwa lata. Dość często powiadałeś mi, że jestem pełnoletnia; nie dziw się, że wiem o tym. Zrobiłam z mymi pieniędzmi to, co mi się podobało i bądź pewien, że są dobrze umieszczone.

— Gdzie?

— To święta tajemnica — odparła. — Czy ty nie masz swoich tajemnic?

— Czy nie jestem głową rodziny, czy nie mogę mieć swoich interesów?

— To też jest mój interes.

— Ten interes musi być zły, skoro go nie możesz powiedzieć ojcu, panno Grandet.

— Jest wyborny, ale nie mogę go zwierzyć memu ojcu.

— Powiedz przynajmniej, kiedy oddałaś swoje złoto?

Eugenia poruszyła głowę przecząco.

— Miałaś je jeszcze w dniu swoich urodzin?

Eugenia, która stała się równie chytra przez miłość jak ojciec nim był przez skąpstwo, powtórzyła ten sam ruch.

— Widział kto kiedy podobny upór i podobną kradzież — wołał Grandet głosem coraz silniejszym, stopniowo napełniając nim dom. — Jak to! Tu, w moim własnym domu, u mnie, ktoś wziął twoje złoto, jedyne złoto, które było w domu? I ja nie będę wiedział kto? Złoto to jest droga rzecz. Najuczciwsza dziewczyna może popełnić błąd, dać nie wiem co, to się widzi nawet w pańskich domach, nawet u mieszczan; ale dać złoto... bo ty je dałaś komuś, co?

Eugenia stała niewzruszona.

— Widział kto podobną dziewczynę! Czy ja jestem twoim ojcem? Jeżeli je ulokowałaś, musisz mieć kwit...

— Czy miałam prawo, powiedz, ojczy, zrobić z nim, co mi się podobało? Czy było moje?

— Ty jesteś dziecko.

— Pełnoletnie.

Oszołomiony logiką córki, Grandet zbladł, zatrząsł się, zaklął; po czym, odzyskując mowę, krzyknął:

— Przekłete, złe dziewczysko. Ha, ty złe nasienie, wiesz, że cię kocham i nadużywaś tego. Zarzyna swego ojca! Do kroćset, tyś z pewnością rzuciła nasz majątek pod nogi tego golca, co to nosi buty z safianu. Kroćset fur beczek! Nie mogę cię wydziedziczyć, do stu kaduków, ale przeklinam cię, twego kuzyna i twoje dzieci. Nic z tego dobrego nie wyniknie, słyszysz? Jeżeli to Karolowi... Ale nie, to niemożliwe. Co! Ten fircyk miałby mnie ograbić?...

Popatrzył na córkę, która stała niema i zimna.

— Nie ruszy się, nie mrugnie, jest bardziej Grandetówna niż ja Grandet.

— Nie dałaś choć swego złota za nic, mam nadzieję. No, powiedz?

Eugenia zmierzyła ojca ironicznym spojrzeniem, które go wzburzyło.

— Eugenio, jesteś u mnie, jestem twoim ojcem. Jeżeli chcesz zostać w moim domu, powinnaś się poddać moim rozkazom. Księża nakazują ci słuchać mnie.

Eugenia pochyliła głowę.

— Obrażasz mnie w tym, co mam najdroższego — ciągnął. — Nie chcę cię widzieć, póki się nie ugniesz. Idź do swego pokoju. Zostaniesz w nim, aż ci pozwolę wyjść. Nanon zanieś ci chleb i wodę. Słyszałaś? Ruszaj.

Eugenia zalała się łzami i uciekła do matki. Obszedłszy wiele razy swój ogród, brnąc w śniegu i nie czując zimna, Grandet domyślił się, że córka musi być u matki. Uszczęśliwiony, że ją schwyci na złamaniu jego rozkazów, wdrapał się na schody ze zwinnością kota i zjawił się w pokoju pani Grandet w chwili, gdy ta gładziła włosy Eugenie, tulącej twarz do piersi matczynej.

— Pociesz się, biedne dziecko, ojciec się ułagodzi.

— Nie ma już ojca — rzekł bednarz. — Czy to w istocie ty i ja, moja żono, wydaliśmy na świat tę nieposłuszną córkę? Ładne wychowanie, a zwłaszcza religijne! I co, nie jesteś w swoim pokoju? Do więzienia, moja panno, do więzienia.

— Chcesz mnie pozbawić córki, mężu? — rzekła pani Grandet, ukazując twarz zaczerwioną od gorączki.

— Jeżeli chcesz ją mieć z sobą, wynoście mi się obie z domu. Do kroćset, gdzie jest złoto? Co się stało ze złotem?

Eugenia wstała, rzuciła ojcu dumne spojrzenie i przeszła do swego pokoju, który stary zamknął na klucz.

— Nanon! — krzyknął. — Zgaś ogień w sali.

Usiadł przy kominku w pokoju żony, mówiąc:

— Dała je z pewnością temu nędznemu uwodzicielowi, Karolowi, który czyhał tylko na nasze pieniądze.

W niebezpieczeństwie, jakie groziło córce, i w swoim uczuciu dla niej pani Grandet znalazła dość siły, aby pozostać na pozór zimna, niema i głucha.

— Nie wiedziałam nic o tym wszystkim — rzekła, obracając się do ściany, aby nie czuć płonących spojrzeń męża. — Cierpię tak od twojej gwałtowności, że, jeśli mam wierzyć swoim przeczuciom, nie wyjdę z tego pokoju, wyniosą mnie. Mogłeś mnie oszczędzać w tej chwili, mnie, która nigdy nie sprawiłam ci zmartwienia, przynajmniej tak sądzę. Córka kocha cię; wierzę, że jest niewinna jak nowo narodzone dziecko; toteż nie rób jej przykrości, odwołaj swój wyrok. Zimno jest bardzo, możesz ją przyprawić o ciężką chorobę.

— Nie chcę jej widzieć ani z nią mówić. Zostanie w pokoju o chlebie i wodzie, aż spełni wolę swego ojca. Co, u diaska, ojciec rodziny ma prawo wiedzieć, dokąd idzie złoto z jego domu! Miała jedyne rupie, jakie są może we Francji, dukaty genueńskie, holenderskie.

— Ależ mężu, Eugenia jest naszym jedynym dzieckiem i choćby je nawet rzuciła do wody...

— Do wody — krzyknął stary. — Do wody! Tyś oszalała, pani Grandet. Co powiedziałem, to powiedziałem; wiesz o tym. Jeżeli chcesz mieć spokój w domu, wypowiadaj córkę, weź ją na spytki: kobiety rozumieją się na tym lepiej od nas. Cokolwiek mogła

zrobić, nie zjem jej. Czy się mnie boi? Gdyby nawet wyłocila swego kuzyna od stóp do głów jest na pełnym morzu, nie możemy go ściągać.

— Mężu... — Podniecona atakiem nerwowym albo nieszczęściem córki, które pobudziło jej tkliwość i jej inteligencję, pani Grandet ujrzała w tej chwili straszliwą wróżbę w narośli na nosie męża; zmieniła więc myśl, nie zmieniając tonu. — Mężu, czyż ja mam nad nią więcej władzy niż ty sam? Nic mi nie powiedziała, wdała się w ciebie.

— Kroćset diabłów, jakaś ty wyszczekana dzisiaj! Ta ta ta ta, ty sobie kpisz ze mnie, tak mi się widzi. Zmówiłyście się z sobą.

Popatrzył bystro na żonę.

— Doprawdy, mężu, jeżeli chcesz mnie zabić, postępuj tylko tak dalej. Powiadam ci i choćby mnie to miało kosztować życie, powtórzę raz jeszcze: źle postępujesz z córką, ona jest rozsądniejsza od ciebie. Te pieniądze były jej; mogła z nich zrobić tylko dobry użytek, a sam Bóg tylko ma prawo znać nasze dobre czyny. Mężu, błagam cię, pojednaj się z Eugenią, przywróć jej swoje łaski... Złagodź w ten sposób cios, jaki mi zadał twój gniew, ocalisz mi może życie. Mężu, oddaj mi moją córkę!

— Zmykam — rzekł. — Dom jest nie do wytrzymania, matka i córka rezonują i rozprawiają jak... Brrr... Tfy!... ładną mi wyprawiliście kolędę. Eugenio! — krzyknął. — Tak, tak, płacz. Będziecie żałować tego co robicie, słyszysz. Na co ci się zda łykać pana Boga sześć razy na kwartał, jeśli dajesz po kryjomu złoto ojca próżniakowi, który ci zeżre serce, gdy już będziesz miała dla niego tylko to. Zobaczysz, co jest wart twój Karol ze swymi safianowymi trzewikami i z miną niewiniątka. Nie ma serca ani duszy, skoro śmie zabierać skarb biednej dziewczyny bez pozwolenia rodziców.

Gdy tylko drzwi od ulicy zamknęły się za starym, Eugenia wyszła z pokoju i podbiegła do matki.

— Mężna byłaś, mamo, dla swego dziecka — rzekła.

— Widzisz, dziecko, dokąd nas prowadzą rzeczy zakazane?... Wpędziłaś mnie w kłamstwo.

— Och, poproszę Boga, aby ukarał tylko mnie.

— Czy to prawda — rzekła wystraszona Nanon, wchodząc — że panienka ma być na chlebie i wodzie przez resztę życia?

— Cóż to znaczy, Nanon — rzekła spokojnie Eugenia.

— Och, ja tam nie będę jadła omasty, kiedy nasza panienka je suchy chleb. Nie, nie.

— Ani słowa o tym wszystkim, Nanon — rzekła Eugenia.

— Zamknę gębę na klucz, ale zobaczy panienka!

Pierwszy raz od dwudziestu czterech lat Grandet jadł obiad sam.

— No i co, został pan wdowcem — rzekła Nanon. — To bardzo przykro być wdowcem, kiedy się ma dwie kobiety w domu.

— Nie gadam z tobą. Trzymaj gębę albo fora ze dwora. Co ty tam masz w garnku, słyszę, że się coś gotuje?

— Topię tłuszcz...

— Będą goście wieczór, zapal ogień.

Cruchotowie, pani des Grassins i jej syn przyszli o ósmej i zdziwili się, że nie widzą ani pani Grandet, ani jej córki.

— Żona jest trochę cierpiąca, Eugenia została przy niej — odparł stary winiarz, którego twarz nie zdradzała żadnego wzruszenia.

Po godzinie spędzonej na nieznaczących rozmówkach, pani des Grassins, która poszła odwiedzić panią Grandet, zeszła; każdy zapytał jej po kolei:

— Jak się ma pani Grandet?

— Niedobrze, wcale niedobrze. Stan jej wydaje mi się doprawdy niepokojący. W jej wieku powinna bardzo uważać na siebie, panie Grandet.

— Zobaczę — odparł z roztargnieniem.

Wszyscy pożegnali się. Gdy Cruchotowie znaleźli się na ulicy, pani des Grassins rzekła do nich:

— Coś jest u Grandetów. Z matką jest bardzo niedobrze, gorzej niż myśli. Córka ma oczy czerwone, jakby dużo płakała. Czyżby ją chcieli wydać wbrew jej woli?

Skoro winiarz się położył, Nanon udała się w pantoflach, stąpając na palcach, do Eugonii i pokazała jej pasztet upieczony w rondlu.

— Ma panienka — rzekła poczciwa dziewczyna. — Cornoiller dał mi zająca. Panienka je tak mało, że ten pasztet starczy jej na tydzień; a przez ten mróz nie ma obawy, aby się zepsuł. Przynajmniej nie będzie panienka o suchym chlebie. Bo co to, to wcale nie jest zdrowo.

— Poczciwa Nanon! — rzekła Eugenia, ściskając jej rękę.

— Dobry pasztet, delikatny; przyłożyłam się, a pan niczego nie spostrzegł. Wzięłam słoniny, bobkowych liści, wszystko z moich sześciu franków; wolno mi, moje są.

Służąca pierzchła, zdawało się jej, że słyszy swego pana.

Przez kilka miesięcy winiarz zachodził stale do żony o rozmaitych porach, nie wymieniając imienia córki, nie widząc jej, ani nie wspominając o niej bodaj słowem. Pani Grandet nie opuszczała pokoju; stan jej stawał się z każdym dniem gorszy. Nic nie zmiękczyło starego bednarza. Był nieubłagany, twardy i zimny jak słup granitu. Wciąż wychodził z domu, jak miał zwyczaj, ale nie jękał się już, mniej mówił, a w interesach był twardszy niż kiedykolwiek. Często zdarzyło mu się pomylić w rachunkach.

— Coś się dzieje u Grandetów — mówili cruchotyści i grassyniści.

— Co tam się dzieje u państwa Grandet? — to było sakramentalne pytanie, jakie sobie zadawano na wszystkich zebraniach w Saumur. Eugenia chodziła do kościoła w towarzystwie Nanon. Przy wyjściu z kościoła, jeżeli pani des Grassins zagadnęła ją, odpowiadała wymijająco, nie zaspokajając jej ciekawości. Bądź co bądź, niepodobna było, po upływie dwóch miesięcy, ukryć czy to panom Cruchot, czy też pani des Grassins sekretu zamknięcia Eugenii. Przyszła chwila, w której zabrakło usprawiedliwień dla jej wiecznej nieobecności. Następnie — mimo iż niepodobna było dojść, kto zdradził sekret — całe miasto dowiedziało się, że w Nowy Rok ojciec zamknął pannę Grandet w jej pokoju o chlebie i wodzie, bez ognia, że Nanon robi dla niej przysmaki i przynosi je w nocy. Wiedziano nawet, że młoda osoba może odwiedzać i pielęgnować matkę jedynie w porze, gdy ojca nie ma w domu.

Wówczas osądzono bardzo surowo postępowanie starego Grandet. Całe miasto zastosowało względem niego rodzaj ostracyzmu; przypomniało sobie jego zdrady, jego bezwzględność, wyklęto go. Kiedy przechodził, wszyscy pokazywali go sobie, szepcąc. Kiedy córka jego szła krętą ulicą, udając się na mszę lub na nieszpory w towarzystwie Nanon, mieszkańcy Saumur wystawali w oknie, śledząc z ciekawością zachowanie bogatej dziewczyczki i jej twarz, na której się malowała anielska melancholia. Zamknięcie, gniew ojca, niczym były dla niej. Czyż nie widziała swojej mapy, ławeczki, ogrodu, zrębu muru; czyż nie czuła na swoich ustach miodu, jaki na nich zostawiły pocałunki miłości? Przez pewien czas nie знаła — tak samo jak jej ojciec — gadań, których przedmiotem była w mieście. Dziewczynie religijnej i czystej przed Bogiem własne sumienie i miłość pozwalały cierpliwie znosić gniew i pomstę ojca.

Zresztą głęboka boleść tłumiała wszystkie inne cierpienia. Matka jej, słodka i tkliwa istota — coraz piękniejsza blaskiem, jaki rzuciła jej dusza, zbliżając się do grobu — matka jej nikła z każdym dniem w oczach. Często Eugenia wyrzucała sobie, że jest przyczyną okrutnej, a powolnej choroby, która zjadała panią Grandet. Co rano, gdy tylko ojciec wyszedł, przybiegała do wezgłowia matki i tam Nanon przynosiła jej śniadanie. Ale biedna Eugenia, smutna i cierpiąca cierpieniem matki, pokazywała służącej niemym gestem jej twarz, płakała i nie śmiała mówić o swym kuzynie. Pani Grandet pierwsza musiała jej spytać:

— Gdzie on jest? Czemu nie pisze?

Matka i córka nie znały zupełnie odległości i rozmiarów świata.

— Myślmy o nim, mamó — odpowiadała Eugenia — ale nie mówmy o nim. Ty cierpisz, ty przede wszystkim.

*Wszystko to był on.*

— Moje dzieci — mówiła pani Grandet. — Nie żałuję życia; Bóg łaskaw był dla mnie, dając mi oglądać z radością kres moich niedoli.

Słowa tej kobiety były zawsze chrześcijańskie i święte. Kiedy jedząc u niej śniadanie, mąż przechadzał się po pokoju, mówiła mu przez kilka miesięcy wciąż to samo, z tą samą anielską słodyczą, ale ze stałością kobiety, której bliska śmierć daje odwagę, zbywającą jej za życia.

— Mężu, dziękuję ci za pamięć o moim zdrowiu — odpowiadała, kiedy jej rzucił najbardziej zdawkowe pytanie. — Ale jeśli chcesz mi osłodzić ostatnie chwile i ulżyć moim cierpieniom, przebac córce, okaż się chrześcijaninem, mężem i ojcem.

Słyszac te słowa, Grandet siadał koło łóżka i robił, jak człowiek, który, widząc zbliżającą się ulewę, chroni się spokojnie do bramy: słuchał w milczeniu i nie odpowiadał. Kiedy zwracała do niego najbardziej wzruszające, najtkliwsze, najświętsze prośby, odpowiadał:

— Błada dziś jesteś trochę, żoneczko.

Najgłębsze zapomnienie córki zdawało się być wryte na jego kamiennym czole, na zaciśniętych wargach. Nie wzruszały go nawet łzy, które jego wymijające, powtarzające się niemal w tych samych słowach odpowiedzi wyciskały z oczu żony i które spływały po jej bladej twarzy.

— Niech ci Bóg przebaczy, mężu — mówiła. — Tak jak ja ci przebaczam. Będzie ci kiedyś potrzeba pobjaźania.

Od czasu choroby żony nie śmiał już się posługiwać swoim strasliwym: Ta ta ta ta! Ale też jego despotyzm nie kapitulował wobec tej anielskiej kobiety, której brzydota znikwała z każdym dniem, wygnana pięknosci ducha wykwitającą na jej twarzy. Była cała duszą. Geniusz modlitwy jak gdyby oczyszczał ją, uszlachetniał grube rysy, dawał im jakiś blask. Kto nie obserwował takiej przemiany na świętych twarzach, na których przyzwyczajenia duszy pokonują w końcu najbrutalniejsze rysy, wyciskając na nich znamię właściwe szlachetnym i podniosłym myślom! Widok tego przeobrażenia, spełnionego przez męczarnie, które zżerały resztkę istnienia ludzkiego w tej kobiecie, działał — mimo iż słabo — na starego bednarza, którego charakter pozostał z brązu. Słowa jego przestały być pogardliwe, ale niezmacone milczenie, którym chronił swą godność ojca rodziny, przeważało w jego postępowaniu. Gdy wierna Nanon ukazała się na targu, natychmiast żarciki, ubolewania nad jej panem, świstały jej koło uszu; ale mimo iż opinia potępiła głośno pana Grandet, służąca przez ambicję familijną broniła go.

— Więc co! — odpowiadała szydercom — czyż nie robimy się wszyscy twardsi na starość? Czemuż nie pozwalacie temu człowiekowi stwardnieć trochę? Przestańcie z waszymi kłamstwami. Panienska żyje jak królowna. Jest sama, no to co? Taki ma gust. Zresztą, moi państwo mają swoje racje.

Wreszcie jednego wieczora pod koniec wiosny pani Grandet, trawiona zgryzotą bardziej jeszcze niż chorobą, nie zdoławszy mimo próśb pogodzić Eugenii z ojcem, zwierzyła swoje tajemne zgryzoty Cruchotom.

— Zamykać pannę dwudziestotrzyletnią o chlebie i wodzie?... — wykrzyknął prezydent de Bonfons. — I to bez powodu; ależ to podpada pod *znęcanie się zabronione prawem*, ona może *złożyć sprzeciw i zważyć uszy* iż...

— Ech, chłopcze — rzekł rejent. — Daj spokój swojej sądowej gwarze. Niech pani będzie spokojna, jutro położę koniec temu więzieniu.

Słyszac, że o niej mowa, Eugenia wyszła z pokoju.

— Panowie — rzekła, zbliżając się z wyrazem dumy. — Proszę was, abyście się nie zajmowali tą sprawą. Ojciec jest panem u siebie. Dopóki mieszkam w jego domu, winna mu jestem posłuszeństwo. Postępowanie jego nie może podlegać uznaniu lub naganie świata; odpowiedzialny jest za nie tylko przed Bogiem. Żądam od waszej przyjaźni najgłębszego milczenia w tej mierze. Wdzięczna jestem panom za życzliwość, jaką mi okazujecie; ale dowiedziecie mi jej lepiej jeszcze, jeśli zechcecie położyć koniec obrażającym pogłoskom obiegającym miasto, o których dowiedziałam się przypadkiem.

— Ma słusznosc — rzekła pani Grandet.

— Proszę pani, najlepszym sposobem zamknięcia ust ludziom jest wrócić pani wolność — odparł z uszanowaniem stary rejent, uderzony pięknoscią, jaką samotność, melancholia i miłość opromieniły Eugenię.

— No więc, córko, pozwól panu Cruchot załatwić tę sprawę, skoro ręczy za sukces. Zna ojca i wie, jak się wziąć do niego. Jeśli chcesz mnie widzieć szczęśliwą przez tych niewiele dni, które mi zostały do życia, trzeba koniecznie, abyście się pojednali z ojcem.

Nazajutrz Grandet, zgodnie z obyczajem, jaki przybrał od czasu zamknięcia Eugenii, przechadzał się po ogrodzie. Obrął na tę przechadzkę czas, w którym Eugenia się cesała. Kiedy stary dochodził do grubego orzecha, chował się za drzewo, stał parę chwil, patrząc na długie włosy córki; wahał się widocznie między myślami, jakie mu podsuwał jego upór

a ochotą uściskania swego dziecka. Często siadywał na spróchniałej ławeczce, na której Karol i Eugenia przysięgli sobie wieczną miłość, podczas gdy ona patrzyła też na ojca ukradkiem albo w zwierciadle. Jeżeli wstał i rozpoczął na nowo przechadzkę, ona siadała przy oknie i patrzyła na mur, z którego zwisały najpiękniejsze kwiaty i z którego szczelin puszczały się pędy roślin.

Rejent Cruchot przyszedł wcześniej i zastał starego winiarza siedzącego w piękny dzień czerwcowy na ławeczce i wpatzonego w córkę.

— Czym panu mogę służyć, rejencie? — rzekł.

— Mam z panem pomówić o interesach.

— Ha, ha! Masz pan dla mnie może trochę złota za moje talary?

— Nie, nie; nie chodzi o pieniądze, ale o pańską Eugenię. Całe miasto mówi o niej i o panu.

— Czego się mieszają? Wolność Tomku w swoim domku.

— Zgoda; wolno Tomkowi także się zabić i, co gorsze, wyrzucać pieniądze oknem.

— Jak to?

— Ano tak, że żona pańska jest bardzo chora, mój drogi Grandet. Powinieneś się pan nawet poradzić doktora Bergerin; pani Grandet jest w niebezpieczeństwie życia. Gdyby miała umrzeć z braku należytej pielęgnacji, nie miałbyś pan spokojnego sumienia, jak sądzę.

— Ta ta ta ta, pan nie wiesz, co to jest moja żona! Ci lekarze, gdy raz przestąpią próg domu, zaraz przychodzą pięć i sześć razy dziennie.

— Zrobisz pan, panie Grandet, jak zechcesz. Jesteśmy starzy przyjaciele, nie ma w całym Saumur człowieka, który interesowałby się bardziej wszystkim, co ciebie dotyczy, musiałem więc panu to powiedzieć. Teraz niech się dzieje co chce; jesteś pan pełnoletni, wiesz, jak postępować; rób co chcesz. Zresztą, nie to mnie tutaj sprowadza. Chodzi o rzecz może ważniejszą dla pana. Ostatecznie, nie masz ochoty zabić swojej żony, jest ci zanadto użyteczna. Pomyśl o położeniu, w jakim się znajdziesz wobec córki, gdyby pani Grandet umarła. Winien jesteś rachunki Eugonii, skoro żyjesz we wspólnocie majątkowej z żoną. Córka będzie miała prawo żądać podziału majątkowego, zmusić cię do sprzedaży Froidfond. Słowem, dziedziczy po matce, po której pan nie możesz dziedziczyć.

Te słowa były uderzeniem gromu dla starego, który nie był równie kuty w prawie, co w handlu. Nigdy nie pomyślał o licytacji.

— Zatem radzę panu, abyś obchodził się z nią względnie — rzekł Cruchot na zakończenie.

— Ale pan nie wiesz, co ona zrobiła!

— Co takiego? — spytał rejent, ciekaw wydobyć jakieś zwierzenie ze starego i poznać przyczynę zwady.

— Darowała swoje złoto.

— No więc co? Czy było jej? — spytał rejent.

— Wszyscy mi to powtarzają! — rzekł stary, opuszczając ręce tragicznym gestem.

— Chcesz pan dla głupstwa — podjął Cruchot — utrudniać ustępstwa, których będziesz od niej żądał w razie śmierci matki?

— Ha! Pan nazywasz sześć tysięcy franków w złocie głupstwem!

— Ech, stary druhu, czy ty wiesz, ile cię będzie kosztował inwentarz i podział spadku po żonie, jeśli Eugenia tego zażąda?

— Ile?

— Dwieście, trzysta, może czterysta tysięcy franków! Czy nie będzie trzeba licytować i sprzedać, aby stwierdzić realną wartość? Podczas gdy, ułożywszy się...

— Kroćset fur beczek! — krzyknął winiarz, który usiadł poblady. — Zastanowimy się nad tym, Cruchot.

Po chwili milczenia lub agonii, stary spojrzął na rejenta, mówiąc:

— Życie jest bardzo ciężkie, jest w nim wiele boleści. Cruchot — ciągnął uroczyście — ty nie chcesz mnie oszukać: przysięgnij mi na honor, że to, co mi prawisz, opiera się na kodeksie. Pokaż mi kodeks, chcę widzieć kodeks.

— Mój dobry przyjacielu — odparł rejent. — Czyż ja nie znam swego rzemiosła?

— Więc to jest prawda! Mam być ograbiony, zdradzony, pożarty przez własną córkę?

— Dziedziczy po matce.

— Na co zdadzą się więc dzieci! Przecież ja kocham żonę. Szczęśliwie, ona jest trwała kobieta. Urodzona La Bertellière.

— Nie ma ani miesiąca życia.

Bednarz uderzył się w czoło, uszedł kilka kroków, wrócił i obejmując reagenta przerażającym spojrzeniem, rzekł:

— Co począć?

— Eugenia będzie mogła po prostu zrzec się spadku po matce. Nie chcesz jej pan wydziedziczyć, prawda? Ale, aby uzyskać tego rodzaju podział, nie trzeba jej gnębić. To, co ja ci tu mówię, mój stary, to jest przeciw memu interesowi. Cóż ja mam innego do roboty?... Likwidacje, inwentarze, sprzedaże, podziały...

— Zobaczymy, zobaczymy. Nie mówmy już o tym, Cruchot. Targasz mi wnętrzności. Czy dostałeś złoto?

— Nie, ale mam kilka starych ludwików, ot, z dziesięć, dam ci je. Mój przyjacielu, pogódź się z Eugenią. Widzisz, całe Saumur jest przeciw tobie.

— Głupcy!

— No, no, renta jest po dziewięćdziesiąt dziewięć. Bądźże choć jeden raz zadowolony w życiu.

— Po dziewięćdziesiąt dziewięć?

— Tak.

— He, he, dziewięćdziesiąt dziewięć! — rzekł stary, odprowadzając reagenta do bramy. Następnie, zbyt wzruszony tym, co usłyszał, aby móc wysiedzieć w domu, poszedł do żony i rzekł:

— Słuchaj, stara, możesz spędzić dzień z córką; ja jadę do Froidfond. Zabawcie się. To dzień naszego ślubu, żoneczko, ot, masz swoich dziesięć talarów na ołtarz na Boże Ciało. Od dawna już marzyłaś o tym ołtarzu, uciesz się. Bawcie się, bądźcie wesołe, miejcie się dobrze. Niech żyje wesołość!...

Rzucił dziesięć dubeltowych talarów na łóżko i ujął żonę za głowę, aby ją ucałować w czoło.

— I co, żonusi, lepiej się masz, prawda?

— Jak możesz myśleć o tym, aby przyjąć w domu miłosiernego Boga, skoro wypędzasz córkę ze swego serca?... — rzekła wzruszona.

— Ta ta ta ta! — rzekł ojciec miękko. — Zobaczymy jeszcze.

— Miłosierdzie niebios! Eugenio! — krzyknęła matka, czerwieniąc się z radości. — Chodź uściskać ojca, przebacza ci.

Ale stary znikł. Umykał, co miał sił, do swojej winnicy, starając się uporządkować wzburzone myśli.

Grandet zaczynał wówczas siedemdziesiąty szósty rok życia. Od dwóch lat zwłaszcza skąpstwo jego wzrosło, tak jak rosną wszystkie trwałe namiętności człowieka. W myśl spostrzeżenia dokonanego na skąpcach, na ludziach ambitnych, na wszystkich, których życie wypełnione jest jedną myślą, uczucie jego czepiło się szczególnie jednego symbolu swej namiętności. Widok złota, posiadanie złota stało się jego monomanią. Jego despotyzm wzrósł w proporcji do jego skąpstwa: oddać zarząd bodaj najmniejszej części swoich dóbr po śmierci żony, to wydawało mu się czymś przeciw naturze. Zdradzić córcę stan swego majątku, sporządzić inwentarz ruchomości i nieruchomości, wystawić je na licytację?...

— To już lepiej poderżnąć sobie gardło! — mówił głośno, chodząc po winnicy i oglądając szczepy.

Wreszcie powziął postanowienie; wrócił do Saumur w porze obiadu, zdecydowany ugiąć się przed Eugenią, ugłaskać ją, upieścić, aby móc umrzeć po królewsku, dzierżąc do ostatniego tchnienia wodze swoich milionów. W chwili gdy stary, który przypadkowo wziął klucz od bramy, szedł cicho po schodach, aby zająć do żony, Eugenia przyniosła do łóżka matki piękny neseker. W nieobecności Grandeta czyniły sobie tę przyjemność, aby oglądać portret Karola w rysach jego matki.

— Zupełnie jak jego czoło, jego usta — mówiła Eugenia w chwili, gdy winiarz otworzył drzwi.

Widząc spojrzenie, jakim mąż objął złoto, pani Grandet wykrzyknęła:

— Boże! zlituj się nad nami!

Stary skoczył na nesesor, jak tygrys skacze na uśpione dziecko.

— Co to jest takiego — rzekł, unosząc skarb i siadając przy oknie. — Dobre złoto, złoto! — wykrzyknął. — Dużo złota! to waży ze dwa funty. Ha, ha! Karol ci to dał w zamian za twoje dukaty. He, czemuś mi tego nie powiedziała? Jesteś moją córką, poznaję cię.

Eugenia drżała na całym ciele.

— To Karola, prawda? — ciągnął stary.

— Tak, ojczu, to nie moje. To święty depozyt.

— Ta ta ta! Zabrał ci twój majątek, trzeba ci odrobić twój skarbczyk.

— Ojczu?...

Stary chciał wziąć nóż, aby podważyć złotą blachę i musiał postawić nesesor na krześle. Eugenia rzuciła się, aby go schwycić, ale bednarz, który równocześnie miał oko na córkę i na szkatułkę, odepchnął ją tak silnie, że upadła na łóżko matki.

— Mężu, mężu! — krzyczała matka, podnosząc się na łóżku.

Grandet wyjął nóż i chciał podważyć złoto.

— Ojczu! — krzyknęła Eugenia, padając na kolana i czołgając się do starca ze złożonymi rękami. — Ojczu, na imię wszystkich świętych i Matki najświętszej, na imię Chrystusa, który umarł na krzyżu, ojczu, na moje życie, nie tykaj tego! Ta szkatulka nie jest ani twoja, ani moja, należy do nieszczęśliwego krewniaka, który mi ją powierzył i muszę ją oddać nienaruszoną.

— Czemuś ją oglądała, skoro to depozyt? Oglądać to więcej niż dotykać.

— Ojczu, nie psuj tego albo mnie okryjesz hańbą. Ojczu, słyszysz?

— Mężu, przez litość! — rzekła matka.

— Ojczu — krzyknęła Eugenia głosem tak przesywającym, że Nanon, przestraszona, weszła do pokoju.

Eugenia rzuciła się na nóż, który znalazła pod ręką i stanęła w obronnej pozycji.

— No i co? — rzekł zimno Grandet, uśmiechając się chłodno.

— Mężu, mężu, zabijasz mnie! — rzekła matka.

— Ojczu, jeżeli twój nóż naruszy bodaj cząsteczkę tego złota, ja się przebiję tym oto nożem. Już doprowadziłeś matkę do śmiertelnej choroby, zabijesz i córkę. Więc dobrze, rana za ranę, rób swoje.

Grandet trzymał nóż i szkatułkę i patrzył na córkę wahającą.

— Ty byłabyś do tego zdolna, Eugenio? — rzekł.

— Tak, mężu — odparła matka.

— Panienska zrobiłaby na pewno to, co mówi — krzyknęła Nanon. — Niechże pan będzie rozsądny, przynajmniej raz w życiu.

Bednarz patrzył na przemian chwilę na złoto i na córkę. Pani Grandet zemdląca.

— No i co, widzi pan, drogi panie, nasza pani umiera! — krzyknęła Nanon.

— Masz, dziecko, nie kłóćmy się o szkatułkę. Bierże — krzyknął żywo bednarz, rzucając nesesor na łóżko. — A ty, Nanon, leć po doktora Bergerin.

— No, mamu — rzekł, całując żonę w rękę. — To nic, nic, już się pogodziliśmy. Prawda, córuchno? Już nie będzie suchego chleba, będziesz jadła co ci się spodoba. A, otwiera oczy. No i co, mamu, mamusiu, mamusieczko, no! O, patrz, całuję Eugenię. Kocha swego kuzyna, wyjdzie za niego, jeżeli zechce, przechowa mu jego szkatułkę. Ale żyj długo, moja dobra żono. No, porusz się. Słuchaj, będziesz miała najpiękniejszy ołtarz, jaki kiedykolwiek wysztyftowano w Saumur.

— Mój Boże, jak ty możesz tak traktować żonę i córkę — rzekła słabym głosem pani Grandet.

— Już nie będę nigdy — krzyknął bednarz. — Zobaczysz, żoneczko.

Poszedł do gabinetu i wrócił z garścią dukatów, które rozsywał na łóżku.

— Masz, Geńciu, masz, żonusiu — rzekł, bawiąc się dukatami. — No, rozchmurz się, moja żono, miej się dobrze, nie będzie ci brakowało nic ani Eugonii. Te sto dukatów to dla niej. Nie oddasz ich, Eugenio, tym razem, prawda?

Pani Grandet i córka patrzyły na siebie zdumione.

— Zabierz je, ojczu, potrzeba nam jedynie twej czułości.



— No więc dobrze — rzekł, chowając dukaty do kieszeni. — Żyjmy jak dobrzy przyjaciele. Zejdźmy wszyscy do sali na obiad; po obiedzie zagramy w loteryjkę po dwa su. Bawmy się. Co, żonusi?

— Niestety, chciałabym, skoro ci to może zrobić przyjemność — rzekła umierająca — ale nie mogę wstać.

— Biedna mama — rzekł bednarz. — Ty nie wiesz, jak ja cię kocham. I ciebie, córuś! Uściskał ją, przytulił.

— Och, jak to dobrze uściskać swoją córkę po sprzecze. Moja córuchna! O, patrz, mamula, jesteśmy teraz wszyscy troje niby jedno serce. Schowajże to — rzekł do Eugonii, pokazując szkatułkę. — No, nie bój się. Już nie będę ci o tym wspominał, nigdy.

Pan Bergerin, najsławniejszy lekarz w Saumur, przybył niebawem. Ukończywszy badanie oświadczył wyraźnie panu Grandet, że z żoną jego jest bardzo źle, ale że zupełny spokój, lekka dieta i troskliwe starania mogłyby odsunąć śmierć do końca jesieni.

— Czy to będzie drogo kosztowało? — spytał stary. — Czy wiele lekarstw?

— Mało lekarstw, ale dużo starań — odparł lekarz, który nie mógł wstrzymać uśmiechu.

— Słowem, panie Bergerin — odparł Grandet. — Pan jest człowiek honoru, nieprawdaż? Zdaję się na pana; niech pan odwiedza żonę tyle razy, ile pan uzna za stosowne. Niech mi pan zachowa moją dobrą żoneczkę, kocham ją bardzo, widzi pan, choć tego nie znać; bo u mnie wszystko odbywa się wewnątrz, w głębi duszy. Gryzie mnie to. Zgryzota weszła w mój dom ze śmiercią mego brata, dla którego wydaję w Paryżu istne sumy... ostatnią żyłą z siebie wypruwam i nie ma temu końca. Do widzenia panu, jeśli da się ocalić moją żonę, niech ją pan ocali, gdyby nawet trzeba było wydać na to sto albo dwieście franków.

Mimo żarliwych pragnień Grandeta, aby przywrócić zdrowie żonie, której sukcesja była dla niego niemal śmiercią, mimo ustępliwości, jaką objawiał w każdej okazji wobec najłżejszego życzenia zdumionej matki i córki, mimo najtkliwszych starań, jakimi otoczyła ją Eugenia, pani Grandet posuwała się szybko ku śmierci. Z każdym dniem była słabsza; ginęła tak, jak ginie większość kobiet dotkniętych w tym wieku chorobą. Była tak krucha jak liście w jesieni. Promienie słońca dawały jej blask niby owym liściom, które słońce przenika i złoci. Była to śmierć godna jej życia, śmierć prawdziwej chrześcijanki; czyż to nie znaczy powiedzieć wzniosła? W październiku roku 1822 rozbłysły szczególnie jej cnoty, jej anielska cierpliwość, jej miłość do córki; zgasła, nie wydawszy najmniejszej skargi. Jako baranek bez zmayı szła do nieba; żałowała na tym padole jedynie słodkiej towarzyszki swego zimnego życia, której ostatnie jej spojrzenia przepowiadały tysiąc niedoli. Drżała, że musi zostawić to jagnię, białe jak ona, samo pośród samolubnego świata, który chciał jej wydrzeć jej runo, jej skarby.

— Moje dziecko — rzekła, nim wydała ostatnie tchnienie. — Szczęście istnieje jedynie w niebie; dowiesz się o tym kiedyś.

Nazajutrz po tej śmierci Eugenia znalazła nowe pobudki przywiązania do tego domu gdzie się urodziła, gdzie tyle wycierpiała, gdzie matka jej umarła. Nie mogła spojrzeć na okno, na wysokie krzesło, aby się nie zalać łzami.

Miała uczucie, że nie doceniła swego starego ojca, widząc się przedmiotem jego najtkliwszych starań; podawał jej rękę, aby ją sprowadzić na śniadanie, patrzył na nią okiem prawie czułym całe godziny, pieścił ją, jakby była ze złota. Stary bednarz tak mało podobny był do samego siebie, tak drżał przed córką, że Nanon i Cruchotowie, świadkowie jego słabości, przypisywali ją podszłemu wiekowi i obawiali się o upadek jego władz umysłowych. Ale w dniu, w którym rodzina przybrała żalobę, po obiedzie, na który zaproszono rejenta Cruchot, jedyne go piastuna tajemnicy swego klienta, postępowanie starego wyjaśniło się.

— Moje drogie dziecko — rzekł do Eugonii, gdy tylko sprzątnięto ze stołu i szczelnie zamknięto drzwi. — Jesteś oto spadkobierczynią swojej matki i mamy z sobą ułożyc drobne sprawy. Nieprawdaż, Cruchot?

— Tak.

— Czyż konieczne jest zajmować się tym dzisiaj, ojczu?

— Tak, tak, córuchno. Nie mógłbym wytrwać w takiej niepewności. Nie sądzę, abyś mi chciała sprawić przykrość.

— Och, ojcze!

— No więc trzeba to wszystko ułożyć dziś wieczór.

— Cóż chcesz, ojcze, abym zrobiła?

— Ależ córuchno, to nie moja rzecz. Powiedzże jej wszystko, Cruchot.

— Proszę pani, ojciec pani nie chciałby ani dzielić, ani sprzedawać swoich dóbr, ani też płacić olbrzymiego podatku od gotówki, którą można posiadać. Zatem w tym celu trzeba by go zwolnić od inwentaryzacji całego majątku, który obecnie stanowi niepodzielną własność pani i jej ojca...

— Cruchot, czy ty jesteś tego zupełnie pewny, aby tak mówić przy dziecku?

— Pozwólże mi mówić, Grandet.

— Tak, tak, mój przyjacielu. Ani ty, ani moja córka nie chcecie mnie obłupić. Prawda, córuchno?

— Ależ panie Cruchot, co trzeba mi uczynić? — spytała Eugenia zniecierpliwiona.

— Zatem — rzekł rejent. — Trzeba by podpisać ten akt, którym zrzeka się pani spadku po matce i zostawia ojcu używalność wszystkich dóbr niepodzielnych między wami, z tym że ojciec zapewnia pani własność...

— Nic nie rozumiem z tego, co pan mówi — odparła Eugenia. — Niech mi pan da akt i pokaże, gdzie mam podpisać.

Stary Grandet spoglądał kolejno na akt i na córkę, na córkę i na akt, doznając tak gwałtownych wzruszeń, że otarł kilka kropel potu, które mu wystąpiły na czoło.

— Córuchno — rzekł. — Zamiast podpisywać ten akt, którego zarejestrowanie będzie grubo kosztowało, gdybyś ty chciała zrzec się całkowicie i po prostu spadku po swojej drogiej matce i zdać się na mnie co do przyszłości; to byłoby lepiej. Dawałbym ci za to co miesiąc ładną sumkę... sto franków. Widzisz, mogłabyś zafundować tyle mszy, ile byś zechciała, za tych, za których dajesz je odprawiać. Hej, sto franków miesięcznie... w funtach?

— Zrobię wszystko, co zechcesz, ojcze.

— Pani — rzekł rejent. — Obowiązkiem moim jest zwrócić pani uwagę, że pani się wyzuwa...

— Ech, Boże — rzekła. — Co mi znaczy to wszystko!

— Cicho siedź, Cruchot. Zrobione, zrobione — wykrzyknął Grandet, biorąc rękę córki i uderzając w nią dłonią. — Eugenio, nie zrzucisz się, jesteś uczciwa dziewczyna, prawda?

— Och, ojcze!

Uściskał ją czule, omal nie zdusił jej w uściskach.

— Tak, moje dziecko, wracasz życie swemu ojcu, ale oddajesz mu to, co on ci dał: skwitowaliśmy się. Oto jak powinno się załatwiać sprawy. Życie to jest interes. Błogosławię cię! Jesteś zacna dziewczyna, która kocha swego ojca. Zrób teraz, co zechcesz. Cruchot — rzekł, patrząc na przestraszonego rejenta. — Dopilnujesz, aby pisarz sądowy przygotował akt zrzeczenia.

Nazajutrz koło południa podpisano akt, którym Eugenia sama się wyzuła z majątku. Jednakże, mimo swego słowa, z końcem pierwszego roku stary bednarz nie dał jeszcze ani grosza z owych miesięcznych stu franków, tak uroczyście przyrzeczonych córce. Toteż, kiedy Eugenia mówiła o nich żartem, mimo woli się rumienił; udał się żywo do gabinetu, wrócił i podał jej mniej więcej trzecią część klejnotów, które nabył od bratanka.

— Masz, mała — rzekł tonem nabrzmiałym ironią. — Czy chcesz to za swoich tysięcy dwieście franków?

— Och, ojcze, naprawdę dajesz mi to?

— Dam ci tyleż samo na przyszły rok — rzekł, rzucając jej klejnoty do fartuszka. — Tak więc, w krótkim czasie będziesz miała wszystkie jego fatalaszki — dodał, zacierając rękę, szczęśliwy, że może spekulować na uczuciu córki.

Mimo to starzec, jakkolwiek jeszcze krzepki, czuł potrzebę wtajemniczenia córki w sekrety gospodarstwa. Dwa lata z rzędu kazał jej dysponować w swojej obecności dziennymi wydatkami i przyjmować należności. Nauczył ją stopniowo nazwisk i obszaru swoich winnic i folwarków. W trzecim roku tak dobrze ją włożył do wszystkich nawyków swego skąpstwa, tak dobrze obrócił je w niej w nałóg, że mógł jej bez obawy oddać klucze od szaf i uczynić ją panią domu.

Pięć lat upłynęło bez żadnej zmiany w jednostajnym życiu Eugonii i jej ojca. Wciąż te same czynności, spełniane z regularnością wahadła u starego zegara. Głęboka melancholia panny Grandet nie była tajemnicą dla nikogo, ale o ile każdy mógł się domyślać jej przyczyny, nigdy żadne słowo z jej ust nie usprawiedliwiło podejrzeń, jakie całe Saurmur powzięło co do stanu serca bogatej dziedziczki. Jedyne jej towarzystwo składało się z trzech panów Cruchot i z kilku ich przyjaciół, których nieznacznie wprowadzili do domu.

Nauczyli ją grać w wista i przychodzili co wieczór na partyjkę. W roku 1827 ojciec, przygnieciony brzemieniem niemocy, zmuszony był wtajemniczyć Eugonię w sekrety swoich majątków, dodając, aby w razie jakich trudności, odniosła się do rejenta Cruchot, którego uczciwości był pewny. Pod koniec tegoż roku stary, licząc osiemdziesiąt dwa lata, uległ atakowi paraliżu, który posuwał się szybko. Doktor Bergerin uznał stan za beznadziejny.

Czując, że niebawem zostanie sama na świecie, Eugenia trzymała się, aby tak rzec, bliżej ojca i zacisnęła tym mocniej ten ostatni pierścień uczucia. W jej duszy, jak u wszystkich kochających kobiet, miłość była całym światem, a Karola nie było. Była wzniosła w oddaniu i staraniach dla swego starego ojca, którego władze zaczęły podupadać, ale którego skąpstwo żyło instynktownie.

Toteż śmierć tego człowieka zgodna była z jego życiem. Od rana kazał się wozić od kominka w swoim pokoju do drzwi gabinetu z pewnością pełnego złota. Siedział tam bez ruchu, ale patrzył kolejno z obawą na odwiedzających i na drzwi okute żelazem. Kazał sobie zdawać sprawę z najmniejszego szelestu; ku wielkiemu zdumieniu rejenta, słyszał nawet ziewnięcie psa w dziedzińcu. Budził się z pozornego otępienia w dniu i godzinie, kiedy trzeba było odbierać czynsze, robić rachunki z dzierżawcami lub wystawiać pokwitowania. Poruszał wówczas swój fotel na kółkach, aż się znalazł na wprost drzwi gabinetu. Kazał go otwierać córce i czuwał, aby ułożyła sama po kryjomu worki srebra jedne na drugich, aby zamknęła drzwi. Potem wracał na swoje miejsce w milczeniu, skoro tylko mu oddała szacowny klucz, zawsze znajdujący się w jego kieszeni od kamizelki, po której macał się od czasu do czasu. Zresztą jego stary przyjaciel rejent, czując, że bogata dziedziczka z konieczności zaślubi jego bratanka, prezydenta, o ile Karol Grandet nie wróci, podwoił starania i względy: przychodził co dnia, oddał się na rozkazy starego, jeździł z jego zlecenia do Froidfond, do jego majątków, folwarków, winnic; sprzedawał jego zbiory, zmieniając wszystko na złoto i srebro, które się gromadziło potajemnie w workach piętrzących się w gabinecie.

Wreszcie nadeszły dni konania, podczas których silna budowa starego toczyła walkę z niszczącym działaniem śmierci. Uparł się siedzieć przy kominku na wprost gabinetu. Przyciągał do siebie i zwijał wszystkie kołdry, jakimi go nakrywano i powiadał do Nanon:

— Trzymaj to, trzymaj, żeby mnie nie okradziono.

Kiedy mógł otworzyć oczy, w których skupiło się całe jego życie, obracał je natychmiast ku drzwiom gabinetu, gdzie leżały jego skarby i powtarzał do córki głosem, który zdradzał paniczny lęk:

— Czy jest tam?... Czy jest tam?...

— Tak, ojczu.

— Czuwaj nad złotem... połóż złoto przede mną...

Eugenia układała dukaty na stole, a on trwał tak godziny całe z oczami wlepionymi w dukaty, niby dziecko, które w chwili, gdy zaczyna widzieć, patrzy tępo na jeden przedmiot, i jak dziecku wydierał mu się uśmiech:

— To mnie grzeje — mówił czasami, przybierając wyraz błogości.

Kiedy proboszcz przyszedł go opatrzeć<sup>18</sup>, oczy jego, umarłe na pozór od kilku godzin, ożywiły się na widok krzyża, lichtarzy, srebrnej kropielnicy; patrzył w nie uparcie, a narośl na jego nosie poruszyła się ostatni raz. Kiedy ksiądz zbliżył mu do ust połączany krucyfik, aby mu dać pocałować Chrystusa, zrobił straszliwy ruch, aby go pochwycić i ten ostatni wysiłek kosztował go życie. Zawołał Eugonię, której nie widział, mimo że klęczała koło niego i zwilżyła łzami jego rękę już zimną.

— Ojczu, pobłogosław mnie — rzekła.

<sup>18</sup>opatrzeć — tu: namaścić ostatnimi sakramentami. [przypis edytorski]

— Pilnuj dobrze wszystkiego. Zdasz mi sprawę tam w górze — rzekł, dowodząc ostatnimi słowami, że chrystianizm powinien być religią skąpców.

Eugenia Grandet znalazła się więc sama w tym domu, mając jedną Nanon, z którą mogła wymienić spojrzenie, pewna iż będzie zrozumiana; Nanon, jedyną istotę, która ją kochała dla niej samej i z którą mogła rozmawiać o swoich zgryzotach. Wielka Nanon była opatrnością Eugenii. Toteż nie była już służącą, ale uniżoną przyjaciółką.

Po śmierci ojca Eugenia dowiedziała się przez rejenta Cruchot, że ma trzysta tysięcy renty w dobrach w powiecie Saumur, sześć milionów ulokowanych na trzy od sta po sześćdziesiąt franków, a renta stała wówczas po siedemdziesiąt siedem, do tego dwa miliony w złocie i sto tysięcy w srebrze, nie licząc czynszów do odebrania. Ogólny szacunek jej majątku dochodził siedemnastu milionów.

— Gdzie jest Karol? — myślała.

W dniu, w którym rejent Cruchot zdał klientce sprawę ze stanu jej sukcesji, zupełnie jasnej i płynnej, Eugenia została sama z Nanon. Siedziały przy kominku w tej sali tak pustej, gdzie wszystko było wspomnieniem, od wysokiego krzesła, na którym siadała jej matka, aż do szklanki, z której pił jej kuzyn.

— Nanon, jesteście same...

— Tak, panienko. Gdybym wiedziała, gdzie on jest, ten kochaneczek, poszłabym bodaj pieszo poszukać go.

— Morze jest między nami — rzekła.

Podczas gdy biedna dziedziczka płakała tak w towarzystwie starej służącej w tym zimnym i ciemnym domu, który dla niej stanowił cały świat, od Nantes do Orleanu mówiono tylko o siedemnastu milionach panny Grandet. Jednym z jej pierwszych aktów było dać tysiąc dwieście franków dożywotniej renty Nanon, która, mając już swoich sześćset franków renty, stała się bogatą partią. W niespełna miesiąc przeszła ze stanu panny do stanu mężatki, pod protekcją Antoniego Cornoiller, który został mianowany generalnym strażnikiem posiadłości panny Grandet. Pani Cornoiller miała nad swymi rówieśnicami olbrzymią przewagę. Mimo że miała pięćdziesiąt dziewięć lat, nie wyglądała ani na czterdzieści. Grube jej rysy oparły się działaniu czasu. Dzięki swemu klasztornemu trybowi życia urągała starości żywą cerą, żelaznym zdrowiem. Może nigdy nie wyglądała tak dobrze jak w dniu ślubu. Zebrała korzyści swej brzydoty; wydała się tęga, tłusta, krzepka, mając na twarzy niezniszczalny wyraz szczęścia, który kazał niejednemu pozazdrościć losu Cornoillera.

— Rzęsista kobieta — mówił sukiennik.

— Może mieć jeszcze dzieci — mówił kupiec soli. — Zakonserwowana jest, uczciwszy uszy, jak solona flądra.

— Bogata jest, ten hulaj Cornoiller wiedział, co bierze — powiadał inny sąsiad.

Opuszczając dawne mieszkanie, Nanon, która miała sympatię w całym sąsiedztwie, słyszała same komplementy, idąc krętą ulicą do parafii. Jako prezent ślubny Eugenia dała jej trzy tuziny nakryć. Cornoiller, zdumiony tą hojnością, mówił o swojej pani ze łzami w oczach, dałby się za nią porąbać.

Stawszy się zaufaną osobą Eugenii, pani Cornoiller zaznała też nie mniejszego dla niej szczęścia, że ma męża. Miała wreszcie szafę do otwierania, do zamykania, wiktowały do wydawania rano, jak jej nieboszczyk pan. Przy tym miała pod swą władzą dwoje służby, kucharkę i pokojówkę, która naprawiała bieliznę domową i robiła suknie dla panienki. Cornoiller połączył funkcje strażnika i rządcy. Zbyteczne byłoby mówić, że kucharka i pokojówka, wybrane przez Nanon, to były prawdziwe *perły*. Panna Grandet miała w ten sposób czworo służby, oddanej jej bez granic. Dzierżawcy nie odczuli więc śmierci starego, tak surowo Grandet wdroył zwyczaje i obyczaje swej gospodarki, której ściśle przestrzegali państwo Cornoiller.

W trzydziestym roku Eugenia nie znała jeszcze żadnej z rozkoszy życia. Jej blade i smutne dzieciństwo upłynęło stale przy matce, której serce niezrozumiane, zmrożone, zawsze cierpiało. Opuszczając z radością życie, matka ta żalowała córki, że musi żyć i zostawiła jej w duszy lekkie wyrzuty i wiekuiste żale. Pierwsza, jedyna miłość Eugenii była dla niej źródłem melancholii. Spędziwszy ze swoim ukochanym kilka dni, oddała mu serce wśród dwu ukradkowych pocałunków, potem on odjechał, rzucając między nich

dwoje cały ocean. Ta miłość, przeklęta przez ojca, niemal zabrała jej matkę i dawała jej same cierpienia, zmieszane z wątlymi nadziejami.

Tak więc aż dotąd Eugenia rwała się ku szczęściu, tracąc siły, nie wymieniając ich. W życiu moralnym jak w życiu fizycznym istnieje wdech i wydech: dusza potrzebuje chłonąć uczucia drugiej duszy, przyswajając je sobie, aby je zwracać wzbogacone. Bez tego pięknego ludzkiego zjawiska nie istnieje życie serca; brak mu wówczas powietrza, cierpi, ginie. Eugenia zaczynała cierpieć. Dla niej majątek nie był ani władzą, ani pociechą; mogła istnieć jedynie przez miłość, przez religię, przez wiarę w przyszłość. Miłość tłumaczyła jej wieczność. Serce jej i ewangelia ukazywały jej dwa światy. Zanurzała się dniem i nocą w te dwie nieskończoności, które dla niej może tworzyły tylko jedną. Chroniła się w siebie samą, kochając i myśląc, że jest kochana. Od siedmiu lat uczucie jej zagarnęło wszystko. Skarbem jej nie były miliony, których dochody się piętrzyły, ale szkatułka Karola, ale dwa portrety wiszące nad jej łóżkiem, ale klejnoty odkupione od ojca, ułożone dumnie na wacie w szufladzie sekretarzyka, ale napastrzek stryjenki, którego używała jej matka i który codziennie brała ze sobą, aby pracować nad haftem: istne dzieło Penelopy, podjęte jedynie po to, aby włożyć na palec to złoto pełne wspomnień.

Nie wydawało się prawdopodobne, aby panna Grandet zechciała wyjść za mąż w czasie swej żaloby. Szczerą jej pobożność była znana. Tak więc rodzina Cruchot, której polityką kierował roztropnie stary kanonik, zadowolili się osaczeniem dziedziczki, otaczając ją najczulszymi względami.

Co wieczór sala jej napępiała się najgorętszymi i najbardziej oddanymi *cruchotystami*, którzy silili się śpiewać pochwały pani domu na wszystkie tony. Miała swego przybocznego lekarza, swego kapelana, swego szambelana, swoją pierwszą damę dworu, swego pierwszego ministra, swego kanclerza wreszcie, kanclerza, który mówił jej wszystko. Gdyby dziedziczka chciała mieć kogoś do noszenia jej ogona, znaleziono by takiego. Była to królowa otoczona pochlebstwem jak żadna królowa. Pochlebstwo nie płynie nigdy z wielkiej duszy, jest to właściwość dusz małych, które umieją się jeszcze pomniejszyć, aby lepiej wejść w sferę osoby, dokoła której wiszą. Pochlebstwo zawsze jest podszyte interesem. Toteż osoby, które meblowały co dzień salę panny Grandet, zwanej przez nich *panną de Froidfond*, umiały cudownie przytłaczać ją pochwałami. Ten koncert pochwał, nowych dla niej, przyprawił zrazu Eugenię o rumieniec; ale nieznacznie, mimo całej grubości pochlebstw, ucho jej tak się przyzwyczaiło słyszeć hymny na cześć swej piękności, że gdyby jakimś nowo przybytemu wydała się brzydka, nagana ta byłaby jej o wiele dotkliwsza niż osiem lat temu. Z czasem polubiła te holdy, które składała tajemnie u stóp swego bożyszcza. Przyzwyczaiła się więc stopniowo do tego, że ją traktowano jak monarchinię i że dwór jej pełny był co wieczór. Prezydent de Bonfons był bohaterem tego małego kółka, gdzie jego inteligencja, jego osoba, wiedza, jego uprzejmość, były przedmiotem nieustannych pochwał. Jeden nadmieniał, że od siedmiu lat pan prezydent znacznie powiększył swój majątek, że Bonfons warte jest co najmniej dziesięć tysięcy franków renty i że wrzyna się, jak wszystkie posiadłości Cruchotów, w rozległe włości dziedziczki.

— Czy pani wie — mówił któryś bywalec — że Cruchotowie mają razem ze czterdzięci tysięcy franków renty?

— I swoje oszczędności — powiadała stara cruchotystka, panna de Gribeaucourt. — Pewien prawnik z Paryża ofiarował niedawno panu Cruchot dwieście tysięcy za jego kancelarię. Sprzeda ją, jeśli będzie miał widoki zostać sędzią pokoju.

— Chce odziedziczyć po panu de Bonfons prezydenturę trybunału i ma widoki; bo pan prezydent zostanie radcą, później prezydentem sądu najwyższego; jest zanadto zdolny, aby nie miał iść w górę.

— Tak, to człowiek bardzo niepospolity — mówił drugi. Nie uważa pani, panno Eugenio?

Prezydent starał się zharmonizować swoją osobę z rolą, jaką chciał odgrywać. Mimo swoich czterdziestu lat, mimo twarzy ciemnej i zaszuszonej, jak są przeważnie twarze sędziów, ubierał się jak młody człowiek, bawił się laseczką, nie zażywał tabaki u panny de Froidfond, zawsze zjawiał się w białym krawacie i koszuli, której grubo prasowany żabot dawał mu jakieś rodzinne powinowactwo z indykiem. Odzywał się poufale do pięknej dziedziczki, mówił o niej: *nasza kochana Eugenia!* Wreszcie, poza liczbą osób, z zamianą loteryjki na wista i zniknięciem obojga starych Grandet, scena, którą rozpoczyna się ta

historia, była mniej więcej taka sama jak w przeszłości. Sfora ścigała wciąż Eugenię i jej miliony, ale sfora, będąc liczniejsza, szczerkała głośniejsze i oblegała swą zdobycz dokładniej. Gdyby Karol przybył z głębi Indii, odnalazłby te same osoby i te same interesy. Pani des Grassins, do której Eugenia odnosiła się z cudowną uprzejmością i dobrocią, dalej dokuczała Cruchotom. Ale wówczas jak niegdyś, Eugenia zajmowałaby główne miejsce w obrazie; i jak dawniej, Karol byłby tam królem.

Mimo wszystko był pewien postęp. Bukiet, jaki niegdyś ofiarowywał prezydent Eugonii w dzień urodzin, stał się periodyczny. Co wieczór przynosił bogatej dziedziczce wielki i wspaniały bukiet, który pani Cornoiller kładła ostentacyjnie do wazonu i wyrzucała potajemnie na podwórze, gdy tylko goście wyszli. Z początkiem wiosny pani des Grassins próbowała zmącić szczęście *cruchotystów*, mówiąc Eugonii o margrabi de Froidfond, którego zrujnowany dom mógłby się podnieść, gdyby dziedziczka zechciała mu zwrócić jego ziemię w drodze kontraktu małżeńskiego. Pani des Grassins podkreślała parostwo i tytuł margrabiny, a biorąc wzgardliwy uśmiech Eugonii za zgodę, opowiadała wszędzie, że małżeństwo prezydenta Cruchot nie jest tak pewne, jak przypuszczają.

— Mimo że pan de Froidfond ma pięćdziesiąt lat, nie wydaje się starszy od pana Cruchot; jest wdowcem, ma dzieci, to prawda, ale jest margrabią, będzie parem Francji; znajdźcie mi państwo w dzisiejszych czasach taką partię. Wiem z pewnością, że stary Grandet, łącząc wszystkie swoje majątki z dobrami Froidfond, miał zamiar skoligacić się z Froidfondami. Często mi o tym mówił. On miał głowę, ten stary filut!

— Jak to, Nanon — rzekła jednego wieczoru Eugenia, kładąc się. — Nie napisze do mnie ani razu w ciągu siedmiu lat?

---

Gdy tak rzeczy działy się w Saumur, Karol robił majątek w Indiach. Sprzedał bardzo dobrze swój ładunek. Szybko zrealizował sumę sześciu tysięcy dolarów. Chrzest równika pozbawił go wielu przesądów; rozumiał, że najlepszym sposobem dojścia do fortuny jest w okolicach podzwrotnikowych, tak samo jak w Europie, kupować i sprzedawać ludzi. Udał się zatem na wybrzeża Afryki i uprawiał handel Murzynami, łącząc do handlu ludźmi handel towarami, najkorzystniejszymi do wymiany na rozmaitych rynkach, na które zawiodły go jego interesy. Rozwijał czynność, która nie zostawiała mu ani chwili wolnej. Trawiła go żądza pojawienia się znów w Paryżu w całym blasku wielkiego majątku i odzyskania pozycji świetniejszej jeszcze niż ta, z której runął.

W miarę jak poznawał ludzi i okolice, jak oglądał najsprzeczniesze obyczaje, pojęcia jego przeobrażały się; stawał się sceptykiem. Zatracił poczucie tego, co sprawiedliwe a co niesprawiedliwe, widząc, jak uchodzi za zbrodnię w jednym kraju to, co w drugim jest cnotą. W ustawicznej grze interesów serce jego wystygło, skurczyło się, wyschło. Krew Grandetów nie sprzeniewierzyła się sobie. Karol stał się twardy, drapieźny, chciwy. Sprzedawał Chińczyków, Murzynów, gniazda jaskółcze, dzieci, artystów; uprawiał lichwę na wielką skalę. Nawyk obchodzenia ustaw celnych zrobił go mniej skrupulatnym na punkcie praw człowieka. Udawał się do Saint-Thomas kupować za bezcen towary zrabowane przez piratów i wioził je na rynki, gdzie ich zbywało.

Jeżeli szlachetna i czysta twarz Eugonii towarzyszyła mu w pierwszej podróży niby obraz madonny, jaki umieszczają na swoich okrętach hiszpańscy marynarze, jeżeli Karol przypisywał pierwsze swoje powodzenia działaniu życzeń i modlitw tej słodkiej dziewczyny, to później Murzynki, Mulatki, białe, Jawajki, Almejki, orgie wszystkich kolorów i przygody w rozmaitych krajach zatępiły zupełnie wspomnienie kuzynki, Saumur, domu, ławki, pocałunku uszczkniętego w korytarzu. Pamiętał jedynie mały ogródek okolony starym murem, ponieważ tam zaczął się jego burzliwy los, ale wyparł się rodziny. Strój był to stary pies, który wyludził mu klejnoty; Eugenia nie zaprzętała ani jego serca, ani myśli; zajmowała miejsce w jego interesach jako wierzycielka na sumę sześciu tysięcy franków. Te obyczaje i te pojęcia tłumaczył milczeniem Karola Grandet.

W Indiach, w Saint-Thomas, w Lizbonie, na wybrzeżach Afryki i w Stanach Zjednoczonych, aby nie hańbić swego nazwiska, spekulant przybrał pseudonim Sepherd. Karol Sepherd mógł bez obawy okazać się wszędzie nieznużonym, śmiałym, chciwym, jak człowiek, który postanowiwszy zrobić majątek *za wszelką cenę*, chce szybko skończyć z bezceństwem, aby zostać uczciwym człowiekiem na resztę swoich dni.

Trzymając się tego systemu, zrobił wielki majątek; fortuna jego była szybka i świetna. W roku więc 1827 wracał do Bordeaux, na *Marii-Karolinie*, ładnym breku, należącym do rojalistycznej firmy handlowej. Posiadał milion dziewięćset tysięcy franków w trzech beczkach złotego prochu, dobrze opatrzonych, na czym spodziewał się zarobić siedem do ośmiu od stu, spieniężając złoto w Paryżu. Na tym breku znajdował się również szambelan J. K. Mości Karola X, pan d'Aubrion, zacny staruszek, który zrobił to szaleństwo, że zaślubił kobietę modną, i który miał majątek na Wyspach. Aby powetować marnotrawstwo pani d'Aubrion, jeździł właśnie spieniężyć własne posiadłości. Państwo d'Aubrion z rodziny d'Aubrion de Buch, której ostatni Captal umarł przed rokiem 1789, zredukowani do dwudziestu tysięcy renty, mieli córkę dość brzydką, którą matka chciała wydać bez posagu, jako że własny majątek ledwo jej wystarczał na życie w Paryżu. Było to przedsięwzięcie, którego sukces zdawał się wątpliwy ludziom znającym świat, mimo całej zęczności, jaką przypisują kobietom modnym. Toteż pani d'Aubrion, patrząc na swoją córkę, sama niemal zwątpiła, aby w nią mogła ubrać kogokolwiek, choćby to był człowiek najbardziej czuły na punkcie szlachectwa.

Panna d'Aubrion była to dziewczyna długa jak glista, chuda, cienka, z wzdargliwym grymasem ust, nad którymi zwieszał się nos długi i gruby, żółtawy w stanie normalnym, ale zupełnie czerwony po jedzeniu; zjawisko tym przykrzejsze na twarzy bladej i znudzonej. Słowem, była taka, jakiej mogła pragnąć matka trzydziestoosmioletnia, która, czując się jeszcze ładną, mogła mieć pretensje. Aby wyrównać te braki, margrabina d'Aubrion dała córce wygląd bardzo dystygowany; poddała ją diecie, utrzymującej czasowo jej nos w tonie przyzwoitej bladeści, nauczyła jej sztuki gustownego ubierania się, wyposażyła ją w piękne maniery, nauczyła jej owych melancholijnych spojrzeń, które interesują mężczyznę i każą mu wierzyć, że spotkał wreszcie nadaremnie szukanego anioła, nauczyła ją manewrować nóżką, wysuwać ją w porę i uwydatniać jej małość w chwili, gdy nos miał ten nietakt, aby się czerwienić — słowem, wydobyła z córki wszystkie możliwe zalety. Za pomocą szerokich rękawów, zdradliwych gorsetów, sukien bufiastych i starannie garnirowanych, uzyskała produkty kobiece tak ciekawe, że dla nauki matek powinna je złożyć w jakimś muzeum. Karol zaprzyjaźnił się wielce z panią d'Aubrion, która wzięła go na oko. Wiele osób twierdzi nawet, że w czasie podróży piękna pani d'Aubrion nie zaniedbała żadnego sposobu oblaskawienia tak bogatego zięcia. Wsiadłszy na łód w Bordeaux w czerwcu roku 1827, pan, pani, panna d'Aubrion i Karol mieszkali w jednym hotelu i razem wyjechali do Paryża. Pałac d'Aubrionów przeciążony był długami, Karol miał go oczyścić. Matka mówiła mu już o szczęściu, jakim będzie dla niej odstąpić parter córce i zięciowi. Nie dzieląc przesądów pana d'Aubrion na punkcie szlachectwa, przyrzekła Karolowi Grandet uzyskać u dobrego Karola X patent królewski, który uprawni jego, Grandeta, do noszenia nazwiska d'Aubrion, przybrania herbu i dziedziczenia po panu d'Aubrion w drodze stworzenia majoratu z trzydziestu sześciu tysięcy renty, tytułów Captala de Buch i margrabiego d'Aubrion. Jednocząc oba majątki, żyjąc w harmonii i uzyskawszy jakieś synekury, można by skupić sto i kilka tysięcy funtów renty w pałacu Aubrion.

— A kiedy się ma sto tysięcy franków renty, nazwisko, rodzinę, kiedy się bywa na dworze — bo ja ci się postaram o nominację na szambelana — wówczas można zostać, czym się chce — mówiła do Karola. — Toteż będziesz wedle tego, jak sam zechcesz, referendarzem w Radzie Stanu, prefektem, sekretarzem ambasady. Karol X bardzo lubi mego męża: znają się od dziecka.

Upity ambicją przez tę kobietę, Karol pieścił w czasie tej przeprawy wszystkie nadzieje, które mu ukazała zęczna ręka, i to w formie zwierzeń przelewanych wprost z serca do serca. Myśląc, że stryj uładził interesy jego ojca, Karol widział się już zadomowionym w dzielnicy *Saint-Germain*, dokąd wszyscy się cisną i gdzie w cieniu błękitnego nosa panny Matyldy pojawi się jako hrabia d'Aubrion.

Uderzony pomyslnością Restauracji, którą zostawił chwiejącą się, olśniony blaskiem idei arystokratycznych, przetrwał w Paryżu w upojeniu, które zaczęło się na statku i postanowił wszystko uczynić, aby zdobyć świetną pozycję, jaką mu błyskała przed oczami samolubna matka. Eugenia była dla niego już tylko punktem w przestrzeni tej błyszczącej perspektywy.

Zobaczył się z Anetą. Jako kobieta światowa, Aneta żywo doradzała dawnemu kochankowi ten związek i przyrzekła mu swoją pomoc we wszystkich ambitnych zamiarach. Aneta była zachwycona widokami panny brzydkiej i nudnej dla Karola, którego pobyt w Indiach uczynił bardzo uroczym; cera mu ściemniała, obejście stało się stanowcze, śmiało, jak u ludzi nawykłych decydować, panować, zwyciężać. Karol odetchnął swobodnie w Paryżu, widząc, że może w nim grać rolę. Des Grassins, dowiedziawszy się o jego przyszłym małżeństwie, o jego majątku, odwiedził go, aby mu wspomnieć o trzystu tysiącach franków, za pomocą których może spłacić długi ojca. Zastał Karola w czasie narady z jubilerem, u którego zamówił klejnoty na podarki ślubne dla panny d'Aubrion; właśnie oglądał rysunki. Mimo wspaniałych diamentów, jakie Karol przywiózł z Indii, srebra i roboty jubilerskie dla młodego małżeństwa miały kosztować przeszło dwieście tysięcy franków. Karol przyjął pana des Grassins, którego nie poznał, z impertynencją modnego furfanta, który w Indiach zabił czterech ludzi w pojedynku. Des Grassins przychodził już po raz trzeci; Karol wysłuchał go zimno, po czym, nie rozumiawszy go dobrze, odpowiedział:

— Interesy mego ojca nic mnie nie obchodzą. Wdzięczny jestem panu za starania, jakie pan raczył podjąć, ale nie będę z nich korzystał. Nie po to zebrałem w pocie czoła blisko dwa miliony, aby je pakować do kieszeni wierzycielom ojca.

— A gdyby ojca pańskiego w ciągu kilku dni ogłoszono bankrutem?

— Mój panie, za kilka dni ja się będę nazywał hrabia d'Aubrion. Pojmuje pan, że mi to będzie zupełnie obojętne. Zresztą, pan wie lepiej ode mnie, że kiedy człowiek ma sto tysięcy renty, nigdy ojciec jego nie był bankrutem — dodał, popychając grzecznie pana des Grassins ku drzwiom.

W początkach sierpnia tegoż roku Eugenia siedziała na drewnianej ławeczce, gdzie kuzyn poprzysiągł jej wieczną miłość i gdzie zwykła była śniadać, kiedy było ładnie. W tej chwili biedna dziewczyna, w ów świeży, wesoły ranek, przechodziła w myśli duże i małe wydarzenia swej miłości oraz katastrofy, jakie po niej nastąpiły. Słońce oświecało malowniczy zrąb muru, splekany, prawie w gruzach, którego kapryśna dziedziczka zabroniła tykać, mimo że Cornoiller często powtarzał żonie, że kiedyś runie komu na głowę. Naraz zapukał listonosz i oddał list pani Cornoiller, która wbiegła do ogrodu, wołając:

— Panienko, panienko, list!

Oddała go pani, mówiąc:

— Czy to ten, którego panienka oczekuje?

Słowa te zabrzmiały w sercu Eugenie tak silnie, jak zabrzmiały w istocie między murami dziedzińca i ogrodu.

— Paryż! To od niego. Wrócił.

Eugenia zbladła i trzymała chwilę list. Była zanadto wzruszona, aby móc otworzyć i przeczytać. Wielka Nanon stała obok z rękami na biodrach: radość parowała jak dym szczelinami jej smągłej twarzy.

— Niechże panienka czyta...

— Ach, Nanon, czemu on wraca przez Paryż, kiedy wyjechał przez Saumur?

— Niech panienka czyta, dowie się panienka.

Eugenia, drżąc, otworzyła list. Wypadł z niego przekaz na firmę des Grassins i Corret w Saumur. Nanon podniosła go.

„Droga kuzynko...”

„Nie jestem już Eugenią” — pomyślała. I serce się jej ścisnęło.

„Dowie się pani...”

„On mi mówił »ty«...”

Założyła ręce, nie miała już odwagi czytać, duże łzy napłynęły jej do oczu.

— Czy umarł? — spytała Nanon.

— Nie pisałby wówczas — rzekła Eugenia.

Przeczytała cały list, który brzmiał, jak następuje:



„Droga kuzynko, dowie się pani, jak sądzę, z przyjemnością o sukcesie moich zamiarów. Przyniosła mi kuzynka szczęście: wróciłem bogaty i poszedłem za radą stryja, o którego śmierci — zarówno jak o śmierci stryjenki — dowiedziałem się przez pana des Grassins. Śmierć naszych rodziców jest rzeczą naturalną; nam przypadło zająć ich miejsce. Mam nadzieję, że już się pani pocieszyła. Nic nie oprze się czasowi, wiem to po sobie. Tak, droga kuzynko, nieszczęściem dla mnie, chwila złudzeń minęła. Cóż chcesz! Podróżując po licznych krajach dumalem nad życiem. Z dziecka, jakim byłem wyjeżdżając, stałem się po powrocie mężczyzną. Dziś myślę o wielu rzeczach, które nie powstały mi w głowie niegdyś. Jesteś wolna, kuzynko, a ja jestem wolny jeszcze; nic nie przeszkadza na pozór ziszczeniu naszych rojeń; ale zbyt jestem uczciwy, aby kryć przed tobą stan swoich interesów. Nie zapomniałem bynajmniej, że nie należę do siebie; zawsze, w czasie moich długich podróży, wspominałem drewnianą ławeczkę...”

Eugenia wstała, jak gdyby siedziała na rozpalonych węglach; poszła usiąść na schodach wiodących na dziedziniec.

„... drewnianą ławeczkę, na której przysięgliśmy sobie wieczną miłość, korytarz, szarą jadalnię, mój pokój na poddaszu i noc, w której dzięki swej delikatnej dobroci uczyniłaś mi przyszłość łatwiejszą. Tak, te wspomnienia podtrzymywały mnie; mówiłem sobie, że ty myślisz zawsze o mnie, jak ja myślałem często o tobie, w godzinie umówionej między nami. Czy przyglądałaś się chmurom o dziewiątej? Tak, nieprawdaż? Toteż ja nie chcę zdradzić przyjaźni świętej dla mnie; nie, nie chcę cię oszukiwać. Chodzi w tej chwili dla mnie o związek, który czyni zadość wszystkim pojęciom, jakie sobie stworzyłem o małżeństwie. Miłość w małżeństwie jest chimera. Dziś doświadczenie moje powiada mi, że trzeba być posłusznym wszystkim prawidłom społecznym i skupić wszystkie względy, jakich świat żąda od małżeństwa. Otóż istnieje już między nami różnica wieku, która bardziej może zaważyłaby na twojej przyszłości, droga kuzynko, niż na mojej. Nie będę ci mówił o twoim sposobie życia, o twoim wychowaniu, ani o twoich przyzwyczajeniach, które zupełnie nie wchodzą w ramy życia paryskiego i które nie godziłyby się z pewnością z moimi planami. Mam zamiar prowadzić wielki dom, dużo przyjmować a, o ile pamiętam, ty lubisz życie ciche i spokojne. Nie, będę szczerzy i ciebie samą uczynię sędzią mej przyszłości: powinnaś ją znać i masz prawo ją sądzić. Dziś mam osiemdziesiąt tysięcy funtów renty. Majątek ten pozwala mi skojarzyć się z rodziną d'Aubrion, której dziedziczka, młoda osoba dziewiętnastoletnia, wnosi w nasz związek swoje nazwisko, tytuł, godność szambelana Jego Królewskiej Mości i najświetniejszą sytuację. Wyznam ci, kochana kuzynko, że nie kocham ani trochę panny d'Aubrion; ale przez to małżeństwo zapewniam swoim dzieciom pozycję społeczną, której korzyści będą kiedyś nieobliczalne; z każdym dniem idee monarchiczne idą w górę. Zatem nieco później syn mój, zostawszy margrabią d'Aubrion, posiadając majorat dający czterdzieści tysięcy franków renty, będzie mógł zająć w kraju stanowisko, jakie mu się spodoba wybrać. Mamy obowiązki wobec naszych dzieci. Widzisz, droga kuzynko, jak szczerze kreślę ci stan mego serca, moich nadziei i mego majątku. Możliwe jest, że i ty ze swej strony zapomniałaś o naszych dzieciństwach po siedmiu latach rozłąki; ale ja nie zapominałem ani twojej dobroci, ani swoich słów, pamiętam wszystkie, nawet dane najlekkomyślniej, o których młody człowiek, mniej sumienny niż ja, mając serce nie tak młode i nie tak uczciwe, nawet by nie pomyślał. Mówiąc ci, że układam jedynie małżeństwo z rozsądku i że pamiętam jeszcze o naszych dziecinnych miłostkach, czyż nie zdaję się całkowicie na twoją dyskrecję, i czyż nie mówię tym samym, że jeśli mi trzeba wyrzec się swoich ambicji, zadowolę się chętnie owym prostym i czystym szczęściem, którego mi ukazałaś tak wzruszające obrazy?...”

— Tan ta ta. — Ta ta ti. — Tin ta ta. — Tun! — Tun ta ti. — Tin ta ta... etc. — nucił Karol na nutę *Non piu andrai*, podpisując:

*Twój oddany kuzyn*

*Karol*

— Tam do licha! To się nazywa robić ceremonie. — Poszukał czeku i dopisał co następuje:

„P. S. Dołączam do mego listu przekaz na bank des Grassins, na osiem tysięcy franków na twoje zlecenie, płatne w zlocie, przedstawiający procenty i kapitał sumy, którą mi byłaś łaskawa pożyczyć. Oczekuję z Bordeaux skrzyni, gdzie znajdują się rozmaite przedmioty, które pozwolił sobie ofiarować w dowód mojej wiekistej wdzięczności. Neseser mój możesz odesłać dyliżansem do pałacu d’Aubrion, ulica Hillerin-Bertin”.

— Dyliżansem! — rzekła Eugenia. — Rzecz, dla której oddałabym tysiąc razy życie! Prerażająca i zupełna klęska! Okręt zatonął, nie zostawiając ani liny, ani deski na wielkim oceanie nadziei. Czując się opuszczone, niektóre kobiety pędzą wydrzeć kochanka z ramion oceanu, zabijają ją i uciekają na kraj świata — na rusztowanie albo w grób. To jest z pewnością piękne; pobudką takiej zbrodni jest wspaniała namiętność, która imponuje samej Sprawiedliwości. Inne kobiety spuszczają głowę i cierpią w milczeniu; idą przez życie, wloką się umierające i zrezygnowane, płacząc i przebacząc, modląc się i pamiętając do ostatniego tchnienia. To jest miłość, miłość prawdziwa, miłość aniołów, miłość dumna, która żyje swoim bólem i od niego umiera.

Takie było uczucie Eugeniej po przeczytaniu tego okropnego listu. Obróciła oczy ku niebu, myśląc o ostatnich słowach matki, która, jak niektórzy umierający, objęła przyszłość spojrzeniem przenikliwym i jasnowidzącym. Następnie Eugenia, przypominając sobie tę śmierć i to prorocze życie, zmierzyla jednym spojrzeniem cały swój los. Pozostawało jej już tylko rozwinąć skrzydła, dążyć ku niebu, żyć modlitwą aż do dnia wyzwolenia.

— Matka miała słuszność — rzekła, płacząc. — Cierpieć i umrzeć.

Przeszła wolnym krokiem z ogrodu do sali. Wbrew swemu zwyczajowi nie szła przez korytarz, ale odnalazła wspomnienie Karola w tej starej szarej sali, gdzie na kominku znajdował się zawsze pewien spodek, którego używała co rano przy śniadaniu, równie jak sewrskiej cukierniczki. Ten ranek miał być dla niej uroczysty i pełen zdarzeń. Nanon oznajmiła jej wizytę proboszcza. Proboszcz ten, krewny Cruchotów, sprzyjał rachubom prezydenta de Bonfons. Od kilku dni stary kanonik Cruchot skłaniał go do pomówienia z panną Grandet, w sensie czysto religijnym, o jej obowiązku wejścia w stan małżeński. Widząc swego pasterza, Eugenia myślała, że przychodzi po tysiąc franków, jakie dawała co miesiąc dla biednych i zawołała na Nanon, aby je przyniosła; ale proboszcz uśmiechnął się.

— Dziś, droga pani, przychodzę z panią pomówić o biednej dziewczynie, którą interesuje się całe Saumur, a która z braku litości nad sobą nie żyje po chrześcijańsku.

— Mój Boże, księżę proboszczu, zastaje mnie ksiądz w chwili, w której niepodobna mi jest myśleć o bliźnich; jestem całkowicie zajęta sobą. Jestem bardzo nieszczęśliwa, nie mam innego schronienia prócz Kościoła, ma on łono dość szerokie, aby zawrzeć wszystkie nasze cierpienia, a uczucia dość płodne, abyśmy mogli czerpać w nich bez obawy, że ich zabraknie.

— Droga pani, mówiąc o tej dziewczynie, będziemy mówili o pani. Niech pani posłucha. Jeśli pani chce być zbawiona, ma pani przed sobą tylko dwie drogi: albo porzucić świat, albo poddać się jego prawom. Słuchać swego losu ziemskiego albo swego losu niebiańskiego.

— Ach, głos twój, księżę proboszczu, mówi do mnie w chwili, w której pragnęłam usłyszeć jakiś głos. Tak, Bóg skierował księdza tutaj. Pożegnaj świat i będę żyła dla samego Boga w ciszy i samotności.

— Trzeba, moja córko, dobrze się zastanowić nad tym ostatecznym postanowieniem. Małżeństwo jest życiem, welon jest śmiercią.

— Zatem śmierć, śmierć jak najrychlej, księżo proboszczu — rzekła z przerażającą namiętnością.

— Śmierć! Ależ pani ma wielkie zobowiązania wobec społeczeństwa. Czy nie jesteś matką ubogich, którym dajesz odzież, drzewo w zimie i pracę w lecie? Twój wielki majątek to depozyt, który trzeba zwrócić i rozumiałaś to najświęciej. Zagrzebać się w klasztorze to byłby egoizm; zostać starą panną, to się nie godzi. Po pierwsze, czy zdołasz sama kierować swoim ogromnym majątkiem? Straciłabyś go może. Miałabyś niebawem tysiąc procesów, zaplątałabyś się w trudności nie do rozwiązania. Wierz swemu pasterzowi, mąż jest ci potrzebny, powinnaś zachować to, co Bóg ci dał. Mówię do ciebie jak do drogiej owieczki. Zbyt szczerze kochasz Boga, aby nie osiągnąć zbawienia wśród świata, którego jesteś jedną z najpiękniejszych ozdób i któremu dajesz święte wzory.

W tej chwili oznajmiono panią des Grassins. Przychodziła wiedziona zemstą i rozpaczą.

— Panno Eugenio! A, ksiądz proboszcz. Uciekam, miałam mówić z panią o interesach, a widzę, że trafiłam na wielką naradę.

— Pani — rzekł ksiądz. — Zostawiam pani wolne pole.

— Och, księżo proboszczu, proszę wrócić za chwilę; obecność księdza jest mi w tej chwili bardzo potrzebna.

— Tak, moje biedne dziecko — rzekła pani des Grassins.

— Co pani ma na myśli? — spytali równocześnie panna Grandet i ksiądz.

— Alboż nie wiem o powrocie twego kuzyna, o jego małżeństwie z panną d'Aubrion?... Kobieta wszystko zgaduje w lot.

Eugenia zaczerwieniła się i zamilkła, ale obrała na przyszłość drogę owego niewzruszonego spokoju, jaki umiał przybierać jej ojciec.

— Zatem, proszę pani — rzekła z ironią. — Ja widocznie nie umiem zgadywać w lot, bo nic nie rozumiem. Niech pani mówi przy księdzu proboszczu; wie pani, że jest moim spowiednikiem.

— Dobrze więc, oto co mi pisze pan des Grassins:

Eugenia przeczytała następujący list:

„Droga żono! Karol Grandet wrócił z Indii, jest w Paryżu od miesiąca...”

„Miesiąc!” — pomyślała Eugenia, opuszczając ręce.

Po pauzie wzięła list.

„... trzeba mi było wysiadywać w przedpokoju dwa razy, zanim zdołałem dotrzeć do tego przyszłego wicehrabiego d'Aubrion. Mimo że cały Paryż mówi o tym małżeństwie i że zapowiedzi już wyszły...”

„Pisał do mnie zatem w chwili gdy...” — rzekła sobie Eugenia. Nie dokończyła, nie wykrzyknęła jak paryżanka: *Éobuz!* — ale, mimo że niewyrażona, wzgarda jej była zupełna.

„...małżeństwo to dalekie jest od celu: margrabia d'Aubrion nie odda córki synowi bankruta. Przyszedłem oznajmić mu o staraniach, jakie stryj jego i ja rozwinęliśmy wokoło spraw jego ojca, o zręcznych krokach, którymi zdołaliśmy utrzymać wierzycieli w spokoju aż do dziś. Ten błazen ośmielił się odpowiedzieć mi, który pięć lat pracowałem dla jego interesów i dla jego szczęścia, że interesy ojca nic go nie obchodzą. Adwokat miałby prawo zażądać od niego trzydziestu albo czterdziestu tysięcy franków honorarium, licząc jeden od stu od sumy długów; ale cierpliwości! Należy się najlegalniej w świecie milion dwakroć tysięcy franków wierzycielom i ogłosić jego ojca bankrutem. Puściłem się na tę sprawę na słowo tego starego rekina Grandet i poczyniłem obietnicę imieniem rodziny. Jeżeli wicehrabia d'Aubrion tak mało troszczy się o swój honor, ja troszczę się bardzo o mój. Toteż wyłuszczyć swoje położenie wierzycielom. Mimo to zbyt wiele mam szacunku dla

panny Eugenii, o której w szczęśliwszych czasach pozwalaliśmy sobie myśleć dla naszego syna, aby działać bez porozumienia się z nią w tej sprawie...”

Eugenia oddała zimno list, nie kończąc go.

— Dziękuję pani — rzekła do pani des Grassins. — *Zobaczmy...*

— Ma pani w tej chwili zupełnie głos nieboszczyka ojca — rzekła pani des Grassins.

— Proszę pani, ma nam pani wypłacić osiem tysięcy sto franków w złocie — rzekła Nanon.

— To prawda; może pani Cornoiller będzie tak grzeczna pofatygować się za mną.

— Księżę proboszczu — rzekła Eugenia ze szlachetnym spokojem, jaki zrodziła w niej nagła myśl. — Czy byłoby grzechem pozostać w małżeństwie w stanie dziewiczym?

— To jest zagadnienie sumienia, którego nie umiem rozwiązać. Jeżeli chcesz wiedzieć, moja córko, co o tym myśli w swojej książce *de Matrimonio* słynny Sanchez, mogę ci powiedzieć jutro.

Po odejściu księdza panna Grandet udała się do gabinetu ojca i spędziła tam dzień sama, nie chcąc zejść na obiad, mimo próśb Nanon. Zjawiała się wieczorem o godzinie, gdy schodzili się goście. Nigdy salon Grandetów nie był tak pełny jak tego wieczora. Wiadomość o powrocie i o głupiej zdradzie Karola rozeszła się po całym mieście. Ale wytężona ciekawość gości nie znalazła pokarmu. Eugenia, która spodziewała się tego, zachowała twarz spokojną, nie zdradziła żadnego z okrutnych wzruszeń, jakie nią miotają. Umiała przybrać uśmiech, odpowiadając tym, którzy chcieli jej wyrazić współczucie melancholijnym spojrzeniem lub słowem. Umiała wreszcie pokryć swoje nieszczęście zasłoną grzeczności. Około dziewiątej partie pokończyły się, gracze wstali od stolików, rozplacali się i omawiali ostatnie rozgrywki, mieszając się między rozmawiających. W chwili, gdy goście ruszyli ławą, aby opuścić salon, rozegrała się scena, która rozległa się po całym Saumur, w powiecie i w czterech przyległych prefekturach.

— Niech pan zostanie, panie prezydencie — rzekła Eugenia do pana de Bonfons, widząc, że bierze laskę.

Na te słowa nie było w całym zgromadzeniu nikogo, kto by się nie czuł wzruszony. Prezydent zbladł i musiał usiąść.

— Dla prezydenta miliony — rzekła panna de Gribeaucourt.

— To jasne, prezydent de Bonfons żeni się z panną Grandet — wykrzyknęła pani d'Orsonval.

— To najlepsza rozgrywka — rzekł ksiądz.

— Wielki szlem — rzekł rejent.

Każdy powiedział swoje słówko, popełnił swój kalambur, wszyscy patrzyli na dziewczkę siedzącą na milionach niby na piedestale. Dramat zaczęty przed dziewięćmi laty dobiegał końca. Powiedzieć w obliczu całego Saumur prezydentowi, aby został, czyż nie znaczyło oznajmić, że chce go uczynić swoim mężem? W małych miasteczkach przestrzega się tak ściśle form, że wyłom tego rodzaju równa się najuroczystszeniu przyrzeczeniu.

— Panie prezydencie — rzekła Eugenia wzruszonym głosem, skoro zostali sami. — Ja wiem, co się panu podoba we mnie. Niech mi pan przysięgnie, że mi zostawisz swobodę na całe życie, że mi nie będziesz przypominał żadnych praw, jakie małżeństwo daje ci nade mną, a oddam panu rękę. Och — dodała, widząc, że prezydent klęka. — Nie powiedziałam wszystkiego. Nie godzi mi się pana oszukiwać. Żywię w sercu niewygasłe uczucie. Przyjaźń będzie jedynym uczuciem, jakie mogę ofiarować memu mężowi. Nie chcę ani go obrażać, ani sprzeniewierzyć się prawom mego serca. Ale posiadź pan moją rękę i majątek jedynie za cenę olbrzymiej usługi.

— Jestem gotów na wszystko — rzekł prezydent.

— Oto milion pięćset tysięcy franków, panie prezydencie — rzekła, wydobywając zza gorsu kwit na sto akcji Banku Francuskiego. Niech pan jedzie do Paryża, ale nie jutro, nie dziś w nocy, ale natychmiast. Uda się pan do pana des Grassins, dowie się pan o nazwiska wszystkich wierzycieli stryja, zgromadzi ich pan, zapłaci pan wszystko, co masa spadkowa może być dłużna, kapitał i procenty, po pięć od sta od dnia pożyczki aż do dnia zapłaty, słowem — dopilnuje pan, aby uzyskać pokwitowanie, generalne i rejentalne, po wszelkiej formie. Jest pan sędzią, polegam na panu w tej mierze. Jest pan uczciwy i zacny człowiek, zawierę pańskiemu słowu, aby przebyć niebezpieczeństwa życia pod ochroną

pańskiego nazwiska. Będziemy mieli dla siebie wzajemne pobrażanie. Znamy się od tak dawna, jesteście prawie krewni; pan nie zechce mnie uczynić nieszczęśliwą.

Prezydent upadł do stóp bogatej dziedziczki, drżąc z radości i lęku.

— Będę twoim niewolnikiem — rzekł.

— Kiedy pan będzie miał pokwitowanie — ciągnęła Eugenia, mierząc go zimnym spojrzeniem. — Zanieś je pan ze wszystkimi aktami memu kuzynowi Grandet i odda mu pan ten list. Po pańskim powrocie dotrzymam słowa.

Prezydent zrozumiał, że zawdzięcza pannę Grandet zawodowi w miłości, toteż postarał się wypełnić jej rozkazy z największą chyżością, tak aby udaremnić pojednanie między kochankami.

Skoro pan de Bonfons wyszedł, Eugenia padła na fotel i zalała się łzami. Wszystko było skończone! Prezydent najął pocztę i znalazł się w Paryżu nazajutrz wieczór. Nazajutrz rano udał się do pana des Grassins. Prezydent zwołał wierzycieli do kancelarii rejenta, gdzie były złożone tytuły wierzytelności; stawili się co do jednego. Mimo że to wierzyciele, trzeba im oddać sprawiedliwość: byli punktualni. Tam prezydent de Bonfons, imieniem panny Grandet, zapłacił im kapitał i należne procenty. Zapłacenie procentów było dla handlu paryskiego jednym z najbardziej zdumiewających wydarzeń owego czasu. Kiedy zaprotokołowano pokwitowanie, a panu des Grassins wręczono jako wynagrodzenie jego usług pięćdziesiąt tysięcy franków przyznane mu przez Eugenię, prezydent udał się do pałacu d'Aubrion, gdzie zastał Karola w chwili, gdy wracał do swego apartamentu, zmiażdżony przez teścia. Stary markiz oświadczył mu, że córka wyjdzie za niego tylko wówczas, gdy wszyscy wierzyciele Karola Wilhelma Grandet zostaną spłaceni.

Prezydent wręczył mu najpierw następujący list:

„Mój kuzynie! Prezydent de Bonfons wręczy ci pokwitowanie wszystkich kwot dłużnych przez mego stryja oraz kwit, w którym stwierdzam, że je od ciebie otrzymałam. Usłyszałam o bankructwie!... Pomyślałam sobie, że syn bankruta nie mógłby zapewne zaślubić panny d'Aubrion. Tak, kuzynie, dobrześ osądził moją duszę i mój charakter; nie ma we mnie nic światowego; nie znam ani rachub świata, ani jego obyczajów i nie umiałabym ci z pewnością dać uciech, których tam szukasz. Bądź szczęśliwy, wedle wymagań towarzyskich, dla których poświęcasz naszą pierwszą miłość. Aby uczynić twoje szczęście zupełnym, mogę ci jedynie ofiarować honor twego ojca. Bądź zdrow, będziesz miał zawsze wierną przyjaciółkę w twojej kuzynce

*Eugonii*”.

Prezydent uśmiechnął się z okrzyku, jakiego nie mógł powstrzymać ambitny dorobkiewicz w chwili, gdy ujrzał autentyczny akt.

— Nawzajem obwieszczamy sobie nasze małżeństwa — rzekł.

— A, pan zaślubia Eugenię. Ślicznie, bardzo jestem rad z tego, to zacna dziewczyna. Ale — podjął, olśniony nagłą myślą — ona musi być bogata?

— Miała — odparł prezydent jowialnie — blisko dziesięćnaście milionów cztery dni temu; ale dziś ma tylko siedemnaście.

Karol spojrzął na prezydenta osłupiały.

— Siedemnaście... mil...

— Siedemnaście milionów, tak, proszę pana. Pobrawszy się, będziemy oboje posiadali razem z panną Grandet siedemset pięćdziesiąt tysięcy franków renty.

— Drogi kuzynie — rzekł Karol, odzyskując nieco swobody. — Będziemy mogli popierać się wzajem.

— Zgoda — rzekł prezydent. — Oto jeszcze mała szkatułka, którą mam również oddać tylko panu — dodał, kładąc na stole puzdro, w którym był nesesor.

— No i co, drogi zięciu — rzekła margrabina d'Aubrion, która weszła, nie zwracając uwagi na pana Cruchot. — Nie zważaj na to, co ci nagadał stary d'Aubrion, któremu znowuż księżna de Chaulieu zawróciła głowę. Powtarzam ci, nic nie przeszkodzi twemu małżeństwu...

— Nic, pani — rzekł Karol. — Trzy miliony, które był dłużny mój ojciec, spłacono wczoraj.

— Gotówką? — rzekła.

— W całości, kapitał i procenty; obecnie przystąpię do zrehabilitowania pamięci ojca.

— Cóż za głupstwo! — wykrzyknęła teściowa. — Kto to jest ten pan — szepnęła do ucha zięcia, spostrzegając pana Cruchot.

— Mój plenipotent — odparł cicho.

Margrabina skłoniła się lekceważąco panu de Bonfons i wyszła.

— Już się popieramy — rzekł prezydent, biorąc kapelusz. — Bywaj zdrów, kuzynie.

— Kpi sobie ze mnie ten niedźwiadek z Saumur. Mam ochotę wpakować mu parę cali żelaza w brzuch.

Prezydent wyjechał. W trzy dni potem, wróciwszy do Saumur, pan de Bonfons ogłosił swoje małżeństwo z Eugenią. W pół roku później mianowano go radcą sądu apelacyjnego w Angers. Przed opuszczeniem Saumur, Eugenia dała stopić złoto klejnotów tak długo drogich jej sercu i obróciła je — tak jak osiem tysięcy franków swego kuzyna — na złotą monstrancję: ofiarowała ją parafii, gdzie tyle modliła się za niego do Boga. Podzieliła zresztą swój czas między Angers a Saumur. Mąż jej, który okazał gorliwość w pewnej okoliczności politycznej, został prezydentem, wreszcie, po kilku latach, pierwszym prezydentem Apelacji. Czekał niecierpliwie powszechnych wyborów, aby uzyskać mandat do Izby. Już marzył o parostwie, a wtedy...

— Wtedy król będzie jego kuzynem — mówiła Nanon, Wielka Nanon, pani Cornoiller, obywatelka Saumur, której pani jej oznajmiała zaszczyty, jakie ją czekają.

Mimo to, prezydent de Bonfons (pozbył się wreszcie rodowego miana Cruchot) nie ziścił żadnego ze swych ambitnych planów. Umarł w tydzień po zostaniu posłem z Saumur. Bóg, który widzi wszystko i który nigdy nie uderza mylnie, skazał go zapewne za jego rachuby i za zęczność kauzyperdy<sup>19</sup>, z jaką sporządził *accurante Cruchot* kontrakt ślubny, w którym oboje małżonkowie darowali sobie nawzajem, *w razie gdyby nie mieli dzieci, całość swego majątku, ruchomości i nieruchomości, nic z nich nie wyjmując ani zastrzegając, na całkowitą własność, zwalniając się nawet nawzajem od formalności inwentarza, tak że zaniechanie inwentarza nie może być zaczepione przez ich spadkobierców, zważywszy iż etc.* Ta klauzula może wytłumaczyć głęboki szacunek, jaki prezydent stale okazywał wobec woli i osamotnienia pani de Bonfons. Kobiety cytowały prezydenta jako jednego z najdelikatniejszych ludzi, żałowały go i posuwały się aż do oskarżenia Eugonii, ale tak, jak one umieją obwiniać kobietę, z najokrutniejszymi restrykcjami.

— Musi prezydentowa de Bonfons być bardzo cierpiąca, aby tak zostawić męża samego. Biedna kobietka! Czy ona się prędko wykuruje? Co ona ma? Gastryczne czy raka? Czemu nie radzi się lekarzy? Robi się żółta od jakiegoś czasu; powinna się poradzić sławnych lekarzy w Paryżu. Jak ona może nie chcieć dziecka? Kocha bardzo męża, jak powiadają; jak ona może nie postarać mu się o spadkobiercę? Czy wiecie, że to jest okropne: gdyby to był kaprys, to by było bardzo naganne. Biedny prezydent.

Obdarzona ową delikatnością, jakiej ludzie samotni nabywają dzięki nieustannym rozmyśleniom oraz dzięki subtelnemu spojrzeniu, którym obejmują rzeczy wchodzące w ich sferę, Eugenia, przyzwyczajona nieszczęściem i ostatnią szkołą życia do odgadywania wszystkiego, wiedziała, że prezydent pragnie jej śmierci, aby się stać panem tego olbrzymiego majątku, jeszcze zwiększonego spadkiem po stryju rejencie i po stryju kanoniku, których podobano się Bogu powołać do siebie. Biedna samotnica litowała się nad prezydentem. Opatrzność pomściła ją za rachuby i za haniebną obojętność męża, który szanował — jako najlepszą rękojmię — beznadziejną miłość hodowaną w sercu Eugonii. Dać życie dziecku, czyż to nie znaczyło zabić nadzieje egoizmu i rozkosze ambicji, pieszczone przez prezydenta? Bóg rzucił więc masy złota swojej brance, której złoto było obojętne i która wdychała do nieba, żyjąc pobożnością, dobrocią i świętymi myślami, która potajemnie wciąż wspierała nieszczęśliwych.

Pani de Bonfons została więc wdową, mając osiemset tysięcy franków renty, jeszcze piękna, ale tak, jak jest piękna kobieta blisko czterdziestoletnia. Twarz jej jest blada, spokojna, równa: głos łagodny i skupiony, obejście proste. Ma całe szlachectwo bólu,

<sup>19</sup>kauzyperda — pot. prawnik (zwykle: nieudolny). [przypis edytorski]

świętość osoby, która nie splamiła duszy dotknięciem świata, ale także sztywność starej panny i małostkowe nawyki, zrodzone z ciasnego życia prowincji. Mimo swoich osmiuset tysięcy franków renty żyje, jak żyła biedna Eugenia Grandet; zapala ogień w pokoju jedynie w dniu, w których niegdyś ojciec pozwalał zapalić w sali, i gasi go zgodnie z programem obowiązującym za jej młodości. Chodzi zawsze ubrana tak, jak się ubierała jej matka. Dom w Saumur, dom bez słońca, bez ciepła, zawsze w cieniu, melancholijny, jest obrazem jej życia. Gromadzi starannie swoje dochody i może wydałaby się skąpa, gdyby nie przeczyła wszelkiej obmowie szlachetnym użytkowaniem, jaki robi ze swej fortuny. Pobożne i miłosierne fundacje, przytułek dla starców i szkoły chrześcijańskie dla dzieci, bogato wyposażona biblioteka publiczna, świadczą co roku przeciw skąpstwu, jakie jej zarzucają niektórzy. Kościoły w Saumur zawdzięczają jej wiele blasku. Pani de Bonfonds, którą przez ironię nazywają *panienką*, budzi religijną cześć. To szlachetne serce, które biło jedynie dla najtkliwszych uczuć, musiało się poddać rachubom ludzkiego interesu. Pieniądz miał rzucić swoje zimne cienie na to niebiańskie życie i zrodzić nieufność do uczuć w kobiecie, która była samym uczuciem.

— Ty jedna mnie kochasz — mówiła do Nanon.

Ręka tej kobiety goi tajemne rany wszystkich rodzin. Eugenia idzie do nieba, otoczona orszakiem dobrodziejstw. Wielkość jej duszy łagodzi małostki jej wychowania i nałogi jej pierwotnego życia.

Takie są dzieje tej kobiety, która nie jest ze świata, żyjąc pośród świata, i która, stworzona na to, aby być wspianą żoną i matką, nie ma ani męża, ani dzieci, ani rodziny.

Od kilku dni jest mowa o nowym związku dla panny Grandet. Mieszkańcy Saumur zajmują się nią i margrabią de Froidfond, którego rodzina zaczyna oblegać bogatą wdowę, jak to niegdyś czynili Cruchotowie. Nanon i Cornoiller przeszli jakoby, tak niesie plotka, na stronę margrabiego; ale to wierutny fałsz. Ani Wielka Nanon, ani Cornoiller nie mają dość inteligencji, aby zrozumieć rachuby zepsutego świata.

*Paryż, wrzesień 1833*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-eugenia-grandet>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Komedia ludzka*, Eugenia Grandet, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Biblioteka Boya, Warszawa [1933]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0060-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).